

Jeden z najważniejszych brytyjskich autorów kryminałów

DAILY MAIL

TONY PARSONS

KLUB WISIELCÓW

DETEKTYW
MAX WOLFE
#3

BOHATEROWIE CZY... KACI?

O książce

Albert Pierrepoint – najsłynniejszy brytyjski kat, który powiesił 435 skazańców, w tym 202 nazistów osądzonych w Norymberdze.

Członek gangu pedofili... Kierowca, który zbiegł z miejsca wypadku. Muzułmanin nawołujący do dżihadu...

**BRYTYJSKIE PRAWO JEST ZBYT ŁAGODNE – LUB NIEUDOLNE –
ŻEBY ODPOWIEDNIO ICH OSĄDZIĆ**

Ktoś więc bierze sprawy w swoje ręce – grupa ludzi porywająca złoczyńców i wymierzająca im sprawiedliwość. Udostępniają nagrania z egzekucji w internecie. Na stronie nawiązującej do najsłynniejszego angielskiego kata.

Opinia publiczna wcale nie jest tym oburzona; wręcz przeciwnie, traktuje zabójców jak bohaterów. Detektyw Max Wolfe, któremu powierzono tę sprawę, szybko się przekonuje, że prowadzenie śledztwa w takiej atmosferze nie jest łatwe, zwłaszcza że są momenty, gdy sam zaczyna myśleć jak ludzie, których ściga.

TONY PARSONS KLUB WISIELCÓW

Z angielskiego przełożył
PAWEŁ LIPSZYC



Wydanie elektroniczne

TONY PARSONS

(ur. 1953 r.)

Pisarz i felietonista „Daily Mirror”, należy do najbardziej znanych brytyjskich dziennikarzy pokolenia punk rocka. Współpracował m.in. z „The Guardian”, „Elle”, „The Daily Telegraph”, „The Sunday Times”, „GQ” i „Marie Claire”. Przez sześć lat regularnie występował w programach telewizji BBC2, The Late Show i Newsnight Review, a także we własnych programach dokumentalnych. W 1999 r. opublikował pierwszą, entuzjastycznie przyjętą powieść **Mężczyzna i chłopiec**, która w Wielkiej Brytanii otrzymała prestiżowy tytuł Książki Roku 2000 i osiągnęła rekordową liczbę dwóch milionów sprzedanych egzemplarzy. Na jej podstawie powstał dwuczęściowy film telewizji BBC. Kolejne tytuły – **Za moje dziecko**, **Mężczyzna i żona**, **Kroniki rodzinne**, **Miłość to wszystko, czego potrzebujesz** i **Moja ulubiona żona** – również osiągnęły status bestsellerów. **Krwawa wyliczanka** to jego debiut w dziedzinie kryminału, pierwsza z cyklu powieści z detektywem Maxem Wolfe'em.

Tego autora

**SERIA KRYMINALNA
Z DETEKTYWEM MAXEM WOLFE'EM**

Krwawa wyliczanka

Rzeźnik

Klub wisielców

POWIEŚCI OBYCZAJOWE

Za moje dziecko

Kroniki rodzinne

Miłość to wszystko, czego potrzebujesz

Moja ulubiona żona

Druga szansa

Harry Silver

Mężczyzna i chłopiec

Mężczyzna i żona

Tytuł oryginału:
THE HANGING CLUB

Copyright © Tony Parsons 2016
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Paweł Lipszyc 2017

Redakcja: Katarzyna Kumaszevska

Zdjęcia na okładce: © Nik Keevil/Arcangel Images, Pixabay

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-081-8

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

--000--()--000--
(@@)

Spis treści

PROLOG

CZĘŚĆ PIERWSZA. Czarna scena

CZĘŚĆ DRUGA. Belka i sznur

CZĘŚĆ TRZECIA. Śmiertelny mechanizm

OD AUTORA

Dla Freda Kindalla z Kentish Town

Przed gmachem zebrały się już tłumy ludzi, spragnionych egzekucji. By uprzyjemnić sobie oczekiwanie, jedni palili fajki i grali w karty, inni posilali się, jeszcze inni czytali dzienniki. Wszystko dookoła było pełne życia. Wszystko z wyjątkiem czarnego rusztowania i wysokiego słupa, na którego szczycie kołysał się stryczek.

Charles Dickens, *Oliver Twist*, przełożyła Barbara Mirowska

Drogi panie, egzekucje mają przyciągać widzów. Jeśli ich nie przyciągają, nie spełniają swego zadania.

Dr Samuel Johnson

PROLOG

Po modlitwach

Po piątkowych modłach Mahmud Irani poszedł do swojej taksówki i kilka minut później zabrał człowieka, który miał go zabić.

Mężczyzna stał przed wejściem do londyńskiego zoo i mimo panującego w południe upału miał na sobie garnitur, krawat i zapiętą kamizelkę. Oczy były ukryte za ciemnymi okularami. Przywoływał taksówkę uniesioną ręką, jak gdyby oczekiwał, że Mahmud zaraz po modłach będzie objeżdżał Outer Circle w Regent's Park; jakby wiedział, że nadjedzie.

Jakby na niego czekał.

Mahmud podjechał do niego, wdychając zwierzęcą woń ogrodu zoologicznego, latem bardziej intensywnej.

– Tylko gotówka, szefie – powiedział.

Mężczyzna skinął głową, zerknął na komórkę i pokazał ją Mahmudowi. Na ekranie iPhone'a widniała mapa City z celem podróży zaznaczonym na czerwono.

Newgate Street, EC1.

Niespełna siedem kilometrów, ale trzeba będzie przejechać przez miasto zablokowane w porze lunchu. Mahmud mruknął, niechętnie wyrażając zgodę, i patrzył, jak pasażer zajmuje miejsce z tyłu.

W milczeniu sunęli na wschód przez skwarne miasto.

Skrećając w Newgate, taksówkarz zobaczył w lusterku wstecznym, jak pasażer wyjmuje niewielkie etui na karty kredytowe, i westchnął. Ile razy trzeba powtarzać tym matołom?

– Tylko gotówka – powtórzył, tym razem bardziej stanowczo, i poprawił przepoconą koszulkę.

Pasażer nie wyjmował jednak karty kredytowej.

Pochyliwszy się do przodu, przytknął staromodną brzytwę do prawej powieki Mahmuda.

Ten wciągnął powietrze i zatrzymał je w płucach.

Czuł, jak zimne stalowe ostrze zagłębia się w miękkie ciało pod brwią. Okrywająca oko delikatna skóra drżała pod brzytwą. Wezbrało w nim czyste przerażenie.

– Proszę – powiedział. – Proszę. Weź pieniądze. Są pod moim siedzeniem.

Mężczyzna na tylnym siedzeniu się zaśmiał.

– Nie chcę twojej forsy. Jedź dalej. Bez numerów.

Zgodnie z jego wskazówkami Mahmud dojechał do końca ulicy, po czym skręcił w lewo na olbrzymi opustoszały plac budowy – enklawę całkowitej ciszy i pustki, która w mieście może człowieka zaskoczyć. Byli tu sami. Przed nimi w nierównym gruncie ział wykop.

– Na dół – rozkazał pasażer.

– Mam żonę i dzieci.

– Na to już za późno, kolego.

Gdy ostrze brzytwy mocniej ucisnęło ciało Mahmuda, poczuł, jak gałka oczna się porusza; zebrało mu się na mdłości. Kiedy wjeżdżał do wykopu, samochód podskoczył na progu zwalniającym; minęli gruzowisko i znaleźli się w pogrążonych w półmroku podziemiach.

Co to za miejsce?

Mahmud nie potrafił stwierdzić, czy kiedyś był tu parking, czy dopiero będzie. Przed jego oczami rozpościerała się pusta przestrzeń

z bardzo niskim sklepieniem. Jedyne oświetlenie tej osobliwej piwnicy były wpadające skądś promienie letniego słońca.

– Dokąd jedziemy? – zapytał, nie mogąc przestać mówić.

Tym razem pasażer delikatnie przesunął brzytwę po powiece, najwyżej półtora centymetra, ale wystarczyło, by Mahmud krzyknął z bólu.

Z prawej powieki powoli spłynęła strużka krwi.

Potem już się nie odzywał.

Kiedy wysiedli z taksówki, przez chwilę sądził, że mógłby uciec, gdyby nie paraliżowało go przerażenie i niedowierzanie z powodu tego, co się działo; z powodu ciepłej krwi ciekącej teraz po obu stronach prawego oka. Lęk odebrał mu przytomność umysłu, i nawet jeśli Mahmud miał przez moment szansę na ucieczkę, to ją przegapił.

Nieznajomy stanął za nim i znów przyłożywszy ostrze brzytwy do miękkiej fałdki skóry nad prawym okiem, drugą ręką chwycił taksówkarza za nadgarstek i pociągnął za sobą.

Przecięli pustą przestrzeń i dotarli do drzwi.

Zeszli po schodach.

Powietrze było tu chłodniejsze.

Zagłębiali się w całkowitą ciemność, idąc wąskim korytarzem. Nagle z góry padła na nich cienka smuga światła dziennego. Mahmud dostrzegł stare płytki, pozieleniałe ze starości i pod wpływem warunków atmosferycznych. Zrobiło się jeszcze zimniej. Lato było na odległej planecie. W powietrzu unosiła się woń stojącej wody. Wszystko razem rodziło w Mahmudzie poczucie wkraczania do innego świata.

Wtedy ich zobaczył.

Trzech.

Czarne maski skrywały twarze z wyjątkiem oczu.

Jeden trzymał coś, co świeciło na czerwono.

Kamerę skierowaną na Mahmuda Iraniego.

Nieopodal stał kuchenny taboret. Mahmud nie rozumiał, co się dzieje, gdy pomagano mu wejść na taboret i zakładano coś na szyję. Krew napływała mu do oczu, kiedy patrzył, jak jego pasażer rozmawia z mężczyzną trzymającym kamerę. Otarł dłonią krew, z trudem utrzymując równowagę na taborecie.

Nerwowo dotknął szyi.

Sznur.

Założyli mu go na szyję.

Spojrząwszy w górę, zobaczył, że sznur jest przywiązany do zardzewiałych rur na suficie.

Chwycili go za ręce i pociągnęli je za plecy.

Słowa popłynęły rwącym strumieniem. Mówił bez trudu. Teraz nawet brzytwa przytknięta do oka nie mogła zamknąć mu ust.

– Mam żonę i dzieci! – krzyknął, a echo odpowiedziało w tajemnej piwnicy.

Żonę i dzieci!

Żonę i dzieci!

– Jestem tylko taksówkarzem! Proszę! Macie niewłaściwego człowieka!

Mężczyzna z taksówki właśnie zakładał na twarz czarną maskę. Jak kat.

– Czy wiesz, dlaczego znalazłeś się na tym miejscu egzekucji? – zwrócił się do Mahmuda Iraniego.

– Co takiego? – wykrztusił Mahmud. – Nie rozumiem. Co? Jestem taksówkarzem...

Słowa ugrzęzły mu w gardle, ponieważ za czerwonym światłem kamery jeden z mężczyzn przyczepiał do starych białych płytek kartki papieru formatu A4.

Portrety ściągnięte z internetu.

Same twarze dziewcząt. Młodych dziewcząt. Uśmiechniętych dziewcząt.

Wszystkie się uśmiechały, chociaż niektóre sztywno i nieśmiało, inne zaś naturalnie i pewnie.

Każda uśmiechała się na swój własny sposób. Szkolny fotograf nalegał, aby się uśmiechały, zachęcał je do tego, wręcz je rozśmieszał.

Na ścianie wisiały szkolne fotografie, jakie robi się co rok, by uwiecznić i uhonorować dorastanie uczniów. Dziewczęta uchwycono w ulotnej chwili, gdy trwały w zawieszeniu między niedawnym dzieciństwem a czekającą je kobiecością.

Uśmiechnięte twarze patrzyły na Mahmuda Iraniego.

Znał je. Wszystkie bez wyjątku.

Poznał te twarze w pokojach pełnych roześmianych mężczyzn. Słyszał, jak wołały o pomoc, która nie nadchodziła. Widział, jak traciły przytomność, oszołomione tanim alkoholem i mocnymi narkotykami, jak zdejmowano z nich ubranie.

Razem z innymi mężczyznami śmiał się z tych dziewcząt.

– Dzielki – wycedził z goryczą, pogardą i gniewem. – Tanie dzielki, które lubią alkohol i narkotyki. Wywłoki, które się obnażają. Takie, co lubią mężczyzn. Typowe dziewczyny z tego kraju. Posłuchajcie mnie! To nie są przyzwoite dziewczyny. Wysłuchacie mnie?

Ktoś kopał w taboret.

– Dzielki. – Mohamed Irani splunął, a potem nie wymówił już żadnego słowa, ponieważ taboret zniknął, sznur momentalnie wbił się głęboko w szyję, a nogi zaczęły wierzgać w powietrzu.

Zrobił w spodnie.

Czerwone światło patrzyło, jak oszalały z paniki i potwornego bólu, wije się, rzuca i skręca, podczas gdy sznur wrzyna się w jego ciało, z każdą sekundą coraz głębiej.

Najpierw sznur ścisnął żyłę szyjną wewnętrzną, potem wbił się głębiej w tętnice, zatrzymując dopływ krwi do mózgu i gwałtownie go wyłączając. Mózg Mahmuda natychmiast spuchł, oczy uciekły w tył głowy, język wysunął się z ust. Z głębi zaciśniętej szyi dobył się zduszony charkot.

Czerwone światło patrzyło, jak sznur dusi Mahmuda.

Co za ból!

Nie zdawał sobie sprawy, że na świecie jest tyle bólu. Minuty wlokły się jak stulecia. Po upływie niespełna pięciu minut, choć wydawało mu się, że to tysiąc lat, w końcu przestał wierzgać, a ręce opadły luźno wzdłuż ciała.

Mahmud Irani wydał ostatnie tchnienie w piwnicy z białej cegły, ukrytej głęboko pod miastem.

Czerwone światło zgasło.

Dziewczęta na ścianie nadal się uśmiechały.

CZĘŚĆ PIERWSZA
Czarna scena

1

Siedzieliśmy w Pierwszym Sądzie w Old Bailey, czekając na sprawiedliwość.

– Proszę powstać – powiedział woźny.

Nie puszczając dłoni kobiety u mego boku, podniosłem się z miejsca. Długi dzień wreszcie zbliżał się do końca.

Znajdowaliśmy się tu z powodu człowieka, który przez blisko dwadzieścia lat był jej mężem, człowieka, którego nigdy nie poznałem, choć chyba ze sto razy widziałem, jak umiera.

Patrzyłem, jak wychodzi z ich skromnego domu w ciepły wiosenny wieczór, mężczyzna w średnim wieku, w piżamie i kapciach. Chciał tylko zachować się przyzwoicie, zrobić to, co należy, przede wszystkim chronić swoją rodzinę. Widziałem, jak trzech młodych ludzi, siedzących teraz na ławie oskarżonych, powaliło go na ziemię i skopało na śmierć.

Sto razy widziałem, jak umiera, ponieważ jeden z tej trójki nagrał wszystko telefonem. Mały ekran trząsł się z rozbawienia, chwiał się od śmiechu; jasny marcowy wieczór umożliwiał dobrą jakość nagrania. Raz po raz widziałem, jak umiera, aż głowę wypełnił mi bezgłośny krzyk, który nie opuszczał mnie w snach.

– Był dobrym człowiekiem – szepnęła Alice, wdowa po zamordowanym i dla podkreślenia tych słów ścisnęła mnie za rękę. Czując jej palce wpijające się w moją dłoń, przytaknąłem. Po drugiej stronie Alice stała dwójka jej nastoletnich dzieci: dziewczyna w wieku

około szesnastu lat i o rok młodszy chłopak. Dalej stała kobieta przed trzydziestką, przedstawicielka policji do kontaktów z rodziną.

Według mnie, Centralny Sąd Kryminalny – tak bowiem brzmiała pełna nazwa Old Bailey – nie był odpowiednim miejscem dla dzieci, zwłaszcza takich, które widziały przez okno swego domu, jak mordują ich ojca.

Policjantka od kontaktów z rodziną – przyzwoita, troskliwa młoda kobieta z wyższym wykształceniem, która nadal wierzyła, że świat jest w gruncie rzeczy przyjaznym miejscem – powiedziała, że przyszli tu, aby zamknąć sprawę. Zamknięcie nie było jednak właściwym określeniem tego, co chcieli znaleźć w Old Bailey.

Chcieli sprawiedliwości.

Potrzebowali jej, by móc wierzyć, że cokolwiek jeszcze ma sens.

Kiedy po raz pierwszy udałem się do ich domu w ten marcowy wieczór, w towarzystwie komisarz Pat Whitestone i detektyw Edie Wren, utrzymywał się jeszcze zimowy chłód. Teraz był lipiec i miasto ledwie zipało z powodu największych upałów znanych meteorologom. Choć upłynęło zaledwie kilka miesięcy, kobieta i dzieci wyraźnie się postarzel, co nie ma większego związku z upływem czasu. Cała trójka przeżyła traumę.

Dla naszego wydziału zabójstw w komisariacie głównym na West Endzie, przy Savile Row 27, sprawa była prosta. Nie dało się jej nazwać rutynową, ponieważ brutalne zabicie człowieka nigdy nie jest rutyną, lecz w smartfonach tych matołów z ławy oskarżonych znajdowały się dowody obciążające, a krew zamordowanego pozostała na ich dłoniach i ubraniach. Nasi ludzie nie mieli trudnego zadania.

Nie polowaliśmy na geniuszów zbrodni. Kiedy aresztowaliśmy podejrzanych, wciąż mieli świeżą krew na tenisówkach. Mieliśmy do czynienia z trzema chuliganami, którzy posunęli się o wiele za daleko.

Dla mnie jednak sprawa miała wymiar osobisty.

Ponieważ go znałem. Zamordowanego. Utraconego męża, skradzionego ojca. Nazywał się Steve Goddard. Miał czterdzieści lat.

W życiu go nie spotkałem, ale wiedziałem, co zmusiło go do wyjścia z domu, kiedy trzech chuligani sikali na samochód jego żony. Rozumiałem go. Mógł odpuścić, zignorować hałas, śmiechy, ohydny obrazę pod adresem jego rodziny oraz ulicy, przy której mieszkał, wyszydzenie wszystkiego, co kochał.

Zdawałem sobie sprawę, że wychodzenie w kapciach do tych trzech nie miało sensu. Bo nie było warto. Powinien był nastawić głośniej telewizor, zaciągnąć zasłony, a potem patrzeć, jak jego dzieci dorastają, żenią się i wychodzą za mąż, mają własne dzieci; powinien był zostać w domu, by móc zestarzeć się u boku żony. Tak, powinien...

Rozumiałem jednak, dlaczego ten przyzwoity człowiek nie mógł siedzieć beczynn timer.

– Czy przysięgli uzgodnili wyrok? – zapytał sędzia.

Przewodniczący ławy przysięgłych odchrząknął. Ponownie poczułem, jak paznokcie Alice wpijają się w moją dłoń, tym razem głębiej. Na twarzach trzech oskarżonych – podczas procesu wyrażających skwaszoną tępotę – po raz pierwszy dało się dostrzec strach.

– Tak, Wysoki Sądzie – odpowiedział przewodniczący.

Przysięgli nie podają powodów. Nie muszą tego robić. Przysięgli wydają orzeczenia.

– Winny.

– Winny.

– Winny.

Nie uczestniczą też w ustalaniu kary. Wszyscy spojrzeliśmy na sędziego, starego człowieka o papierowej cerze, który patrzył na nas spod peruki, zza okularów, jakby znał tajemnice naszych dusz.

– Nieumyślne spowodowanie śmierci jest poważnym przestępstwem – zagrzemiał, tocząc groźnym spojrzeniem po sali sądowej. – Jest zagrożone maksymalną karą dożywotniego więzienia.

– Nie! – zawołała na galerii kobieta z wytatuowanym drutem kolczastym na odsłoniętych ramionach. To pewnie matka jednego z chłopaków, pomyślałem. Od blisko dwudziestu lat nie widziano żadnego z ich ojców.

Sędzia uderzył młotkiem i zażądał spokoju, bo w przeciwnym razie każe opuścić salę.

– Sąd przy ustalaniu wyroku musi mieć na uwadze dobro społeczne i brać pod uwagę odstrasżającą funkcję kary – ciągnął. – Jednakże ustawa o wymiarze sprawiedliwości wymaga, by sąd uwzględniał faktyczną winę oskarżonego. Dopuszczam możliwość, że ofiara zmarła w wyniku krwotoku podpajęczynówkowego jeszcze przed upadkiem na ziemię. A to by oznaczało, że śmierć nastąpiła w wyniku jednego uderzenia.

– Ale co to znaczy? – dopytywał się syn zabitego, podobnie jak ojciec noszący imię Steve. Matka uciszyła go, nawet teraz, w takim miejscu, przestrzegając dobrych manier.

To znaczy, że tych trzech Boże Narodzenie spędzi już w domu, pomyślałem i zebrało mi się na mdłości.

To znaczy, że sukinsynom się upiecze.

Nie miało znaczenia, że kopali w głowę leżącego Steve’a Goddarda, że oddali mocz na jego ciało, a nagranie umieścili na YouTube.

Wszystko to nie miało znaczenia, ponieważ sędzia łyknął przedstawione przez obronę dowody świadczące o tym, że człowiek, który zaatakował trzech nieuzbrojonych chłopców, zmarł, zanim padł na ziemię.

Postaraj się o odpowiedniego obrońcę, a wymigasz się ze wszystkiego.

– Ponadto muszę też uwzględnić okoliczności łagodzące wynikające z faktu, że zmarły usiłował atakować oskarżonych – ciągnął sędzia. – Widzę, że wszyscy trzej nie jesteście źli z natury. Skazuję was na dwanaście miesięcy więzienia.

Było po wszystkim.

Spojrzałem na twarz Alice Goddard. Nic z tego nie pojmowała. Nie rozumiała, dlaczego jej mąż zginął trzydzieści lat za wcześnie. Nie rozumiała słów sędziego ani dlaczego oskarżeni się śmiali, podczas gdy jej dzieci cicho płakały. Chciałem coś powiedzieć, ale nie było nic do powiedzenia. Nie potrafiłem znaleźć słów, które mogłyby ich pocieszyć.

Alice Goddard puściła moją dłoń. Cała sprawa zakończyła się dla wszystkich oprócz niej i jej dzieci. Dla nich nigdy nie miała się skończyć.

Uśmiechała się, co rozdzierało mi serce. Spięty, straszny uśmiech.

– W porządku, Max – powiedziała. – Naprawdę. Nic nie mogło przywrócić mi mojego Steve’a, prawda?

Bardzo chciała mnie zapewnić, że to nie moja wina.

Spojrzałem na oskarżonych. Znali mnie. Ja ich znałem. W pokoju przesłuchań widziałem, jak jeden z nich płacze za matką. Drugi zmoczył się ze strachu przed więzieniem. Trzeci w ciągu całego procesu miał pusty wzrok; niczego nie kojarzył, nie było dla niego nadziei.

Kiedy ich aresztowano, przesłuchiowano i postawiono w stan oskarżenia, każdy z tych trzech młodych ludzi zachowywał się inaczej.

Tchórz. Słabeusz. Osilek terroryzujący słabszych.

Teraz znowu stali się jednością. Znowu byli bandą. Owszem, szli za kratki, ale za pół roku mieli wrócić do domu. Odebranie komuś życia nie będzie miało wpływu na ich własne. Z pewnością da im pewną pozycję w okrutnym świecie, w jakim żyli.

Wezbrał we mnie gniew. Wstałem z miejsca i ruszyłem do tych trzech. Woźny sądowy zastąpił mi drogę, unosząc potężne dłonie, ale milczał i niczym mi nie groził, jeśli tylko się wycofam.

– Niech pan da spokój – powiedział.

Postąpiłem rozsądnie. Nie zrobiłem nic.

To był typowy woźny sądu Old Bailey; zachowywał się częściowo jak dyplomata, częściowo jak wykidajło. Spojrzał na mnie współczująco z nieznacznym uśmiechem – nie szyderczym, lecz smutnym – a ja po chwili zdławiłem w sobie mdłości towarzyszące gniewowi.

Twarz płonęła mi ze wstydu.

Zanim trzech młodzi chuligani zostali wyprowadzeni, posłali mi uśmieški.

Już widziałem ten wyraz twarzy.

Zbyt wiele razy.

Wyraz twarzy człowieka, który wie, że popełnił morderstwo, ale mu się upiekło.

2

Później, tego samego dnia, patrzyliśmy, jak wieszają człowieka.

Nagranie z egzekucji oglądaliśmy na dużym ekranie telewizora HD w sali numer jeden w komisariacie głównym na West Endzie. Początkowo nie byliśmy pewni, na co patrzymy; oszołomieni faktem, że można w internecie oglądać egzekucję człowieka, nie mieliśmy nawet pewności, czy to prawda.

Ignorując telefony dzwoniące w całej sali, wczesnym wieczorem staliśmy przy naszych stanowiskach pracy i patrzyliśmy, jak pomagają mężczyźnie wejść na kuchenny taboret i zakładają mu na szyję pętlę.

Potem ta upiorna wymiana zdań między dwoma mężczyznami.

„Czy wiesz, dlaczego przywieziono cię na to miejsce egzekucji?”

„Co takiego? Nie rozumiem. Co? Jestem taksówkarzem...”

Głos pierwszego mężczyzny tłumiała maska. Głos drugiego był zduszony z przerażenia.

– Kto to jest? – zapytała komisarz Pat Whitestone.

– IC4 – odparła detektyw Edie Wren, przesuwając dłonią po rudych włosach i nie odrywając wzroku od dużego ekranu. IC4 oznaczało, że człowiek z pętlą na szyi pochodził z południowej Azji. – Około czterdziestu lat. Nieogolony. Dżinsy. Sportowa koszulka Lacoste.

– Podróbka Lacoste – sprecyzowałem. – Krokodylek patrzy w niewłaściwą stronę.

– Gdzie to się odbywa, Max? – spytała Whitestone.

Podszedłem do ekranu. Nagranie było dobrej jakości, ale w pomieszczeniu, w którym odbywała się egzekucja, panował mrok.

W cieniu dostrzegłem białe kafelki lub cegły pożółkłe ze starości.

Miałem wrażenie, że widziałem już to miejsce. Część Londynu tuż za rogiem, ale odległa o całe stulecie, poza zasięgiem pamięci. Cofnąłem się od ekranu.

– Nie wiem – przyznałem.

– Co oni mu robią? – spytał detektyw posterunkowy Billy Greene, odbywający u nas staż.

Na ekranie ktoś kopnął taboret. Bez słowa patrzyliśmy, jak człowiek zawisa, ciało skręca się i podryguje w powietrzu, a jedynym odgłosem jest zduszony charkot dobywający się z gardła. Kiedy wisielec zaczął robić w spodnie, kamerzysta skierował kamerę na trzy osoby w ciemnych strojach i czarnych maskach, spod których widać było jedynie oczy. Stali oparci plecami o pożółkłe ściany.

– Jest ich trzech lub czterech – powiedziałem. – Może więcej. Noszą maski narciarskie... Nie, to są maski taktyczne z nomexu czy coś w tym rodzaju. – Po chwili dodałem: – Ci goście znajdują się na rzeczy.

W miarę jak z wisielca uchodziło życie, jego twarz zaczęła zmieniać kolor. Wreszcie znieruchomiał i było po wszystkim. Nagranie trwające dziesięć minut i dwadzieścia jeden sekund nagle zaczęło krążyć po całym świecie.

– Widzicie ten hashtag? – powiedziała Edie pochylona nad swoim laptopem. – Jest wszędzie: *przywroccie*. Przywróćcie.

– Przywróćcie co? – spytał stażysta Greene.

– Puść to jeszcze raz – poleciła Whitestone. – Odbieraj telefony, Billy. Edie, sprawdź, skąd pochodzi ten hashtag.

Edie zaczęła stukać w klawiaturę.

– Czy to ci wygląda na morderstwo na tle nienawiści rasowej, Max? – zapytała Whitestone.

– Scena przypomina samosąd, więc może tak – odparłem.

– Gotowe – oznajmiła Edie i na dużym ekranie pojawił się pasek.

Ujrzelismy czarno-białe zdjęcie z połowy dwudziestego wieku, przedstawiające uśmiechniętego mężczyznę o króliczej twarzy. Konto nazywało się @AlbertPierrepontUK. Żadnej wiadomości. Tylko #przywrocce oraz link do filmu z egzekucji.

– Liczba odwiedzających wynosi niespełna dwadzieścia pięć tysięcy – powiedziała Edie. – Nie, już jest ponad siedemdziesiąt osiem tysięcy. Poczekajcie. – Oparła się na krzesło i westchnęła. – Kurczę, ten Albert Pierrepont to popularny facet. Dlaczego to nazwisko brzmi znajomo?

– Albert Pierrepont był najsłynniejszym katem w tym kraju – wyjaśniłem. – Przeprowadził ponad czterysta egzekucji, w tym wielu nazistów w Norymberdze.

– Ktoś właśnie dzwonił na dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć – oznajmił Billy, odkładając słuchawkę. – Kobieta rozpoznała ofiarę. – Spojrzał na ekran i skrzywił się na widok człowieka w ostatnich drgawkach agonii. – Kobieta nazywa się Fatima Irani, mieszka w Bethnal Green. Ten człowiek to jej mąż, *Mahmud Irani*.

– Jak się pisze jego nazwisko? – spytała Whitestone. – Masz datę urodzenia? Opis ubrania, które miał na sobie?

Greene przeczytał to, co zapisał na kartce, po czym spojrział na ekran.

– Mówiła, że jej mąż miał na sobie dżinsy i koszulkę z krokodylkiem. – Pochylił się i zwymiotował do kosza. Po chwili doszedł do siebie. – Przepraszam.

– Puść to jeszcze raz – poleciła Whitestone. – Napij się wody, Billy. Sprawdzasz w państwowym komputerze policyjnym, Edie?

Edie wpisała do bazy komputera: Mahmud Irani.

– Siedział – rzuciła. – Zaliczył sześć lat z dwunastu, na które został skazany. Należał do gangu z Hackney. Nie odpuszczali nawet jedenastoletnim dziewczynkom. Wiele ich ofiar zaszło w ciążę, ale nie

wszystkie. Niektórzy członkowie gangu dostali dożywocie. Mahmuda Iraniego uznano za winnego handlu ludźmi. Jest taksówkarzem... a raczej był. Dostał stosunkowo lekką karę.

Po raz trzeci obejrzeliśmy, jak go wieszają.

– Może wcale nie taką lekką, jeśli te sprawy są powiązane – stwierdziłem.

W drzwiach sali stanął młody Chińczyk, Colin Cho. Pracował w centralnej jednostce policji do spraw przestępczości internetowej, powołanej przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w celu przeciwdziałania najpoważniejszym przestępstwom w sieci.

– Szukamy Alberta Pierrepointa – zwrócił się do komisarz Whitestone, wskazując ekran ruchem głowy. – On... Oni najwyraźniej korzystają z tej samej technologii co terroryści i ludzie zajmujący się pornografią. Konto zostało przepuszczone przez urządzenie ukrywające tożsamość, zacierające wszelkie ślady cyfrowe. Nie jest to jednak Tor ani 12P. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. Jest silna presja polityczna, medialna oraz ze strony użytkowników internetu i zaniepokojonych rodziców, którzy domagają się zdjęcia tego filmu w imię przyzwoitości, ale przekonaliśmy ich, by pozostawić go do czasu, aż ustalimy adres IP nadawcy. Oczywiście zrobiliśmy to nieoficjalnie.

– Dzięki, Colin – powiedziała Whitestone i spojrzała na swój telefon. – Poinformowano nas, że w Hyde Parku znaleziono ciało. Jeszcze go nie zidentyfikowano. – Popatrzyła na ekran, potem na mnie. – Oficer dyżurny mówił, że denat ma na sobie koszulkę z krokodylkiem.

– Hyde Park? – zdziwiłem się. – Ciało znaleziono w parku? – Popatrzyłem na ekran, na pomieszczenie wyłożone brudnymi białymi kafelkami. – Oni nie zrobili tego w parku.

Pomyślałem o podziemnych parkingach dużych hoteli przy Park Lane, po wschodniej stronie Hyde Parku. Żaden z nich nie przypominał jednak pomieszczenia, w którym powieszono Mahmuda Iraniego. To miejsce pochodziło z innego stulecia.

Na ekranie telewizora zobaczyliśmy, że @AlbertPierrepointUK rozprzestrzenia się jak wirus.

#przywroccie

#przywroccie

#przywroccie

#przywroccie

#przywroccie

– Myślę, że ktoś właśnie przywrócił karę śmierci – odezwałem się.

Edie wcisnęła klawisz PLAY i Mahmud Irani miał zawisnąć ponownie.

– Ale kto chciałby mu robić coś takiego? – zapytał nowy chłopak, stażysta Greene, a ja przypomniałem sobie o gangu z Hackney. Gdy szedłem do drzwi, w mojej głowie pojawiła się myśl.

A kto by nie chciał?

3

Dziwnie spokojnie staliśmy pośrodku Hyde Parku w tę ciepłą letnią noc. Członkowie grupy poszukiwawczej myszkowali w ciemności, spece z kryminalistyki cicho rozkładali sprzęt, a komisarz Whitestone i ja przyglądaliśmy się zwłokom.

Bez trudu dało się stwierdzić, że to Mahmud Irani.

W świetle księżyca widać było na koszulce krokodylka zwróconego w niewłaściwą stronę, a na szyi ślady przypominające ciężkie oparzenie.

Dlatego jeszcze zanim patolog oficjalnie oznajmił zgon, na długo przed tym, jak krewni mogli zidentyfikować ciało w kostnicy, znaleźliśmy tożsamość ofiary leżącej pod drzewami w Hyde Parku.

– Mahmud Irani – powiedziała cicho Whitestone.

– Nie jest to zatem zabójstwo na tle nienawiści – stwierdziłem. – Nie zabito go z powodu rasy czy religii.

– U podłoża każdego zabójstwa leży nienawiść. Wiesz, co ludzie z tego gangu robili dziewczynkom? Piętnowali je, Max. Potrafisz uwierzyć, że dorośli mężczyźni mogą robić dzieciom coś podobnego? – Pokręciła głową. – Niektórzy zasługują na to, by ich nienawidzić.

Odwróciłem wzrok od ciała i zaczerpnąłem do płuc świeżego powietrza. Hyde Park ciągnął się w nieskończoność. Londyńczycy nieustannie narzekają, że ich miasto jest zatłoczone i ciasne, ale Henryk VIII polował tu na dziki. Nawet dzisiaj w Londynie można znaleźć łąki. W oddali jarzyły się białe światła West Endu, nad

którymi unosiła się pomarańczowa poświata, jakby słońce wschodziło nad inną planetą.

Whitestone w milczeniu przyglądała się ciału.

Drobna blondynka w okularach, nie była ani młoda, ani stara, a gdyby człowiek spotkał ją w pociągu, do głowy by mu nie przyszło, że jest jedną z najbardziej doświadczonych londyńskich detektywów zajmujących się sprawami zabójstw. Wiedziałem, że będę milczał, dopóki ona nie odezwie się do mnie, były to bowiem kluczowe chwile, gdy komisarz lustrowała wzrokiem miejsce zbrodni, z ciałem leżącym dokładnie tam, gdzie je znaleziono; chłonęła wszystko i próbowała dowiedzieć się jak najwięcej, zanim zacznie się filmowanie, fotografowanie, zbieranie dowodów. Ostatnie momenty, gdy miejsce zbrodni pozostawało nietknięte.

Nawet niebieskie światła radiowozów wydawały się bardzo odległe, jak gdyby czekały na sygnał naszej szefowej – duży krąg niebieskich świateł w rozległym ciemnym parku, odgradzających nas od świata. Widzieliśmy, jak Edie Wren i stażysta Billy Greene przesłuchują Rumunów, którzy znaleźli ciało, kiedy szykowali się do nielegalnego grilla.

– Dobra – rzuciła Whitestone. – Widziałam już dość.

Dałem znak ręką szefowej ekipy technicznej i poleciała swoim ludziom, żeby się odsunęli. Zobaczyłem, że taśma z napisem POLICJA WSTĘP WZBRONIONY ciągnie się wzdłuż całej Park Lane, przy której co dwadzieścia metrów stali mundurowi.

– Zamknęłaś cały Hyde Park? – spytałem.

– Później zawsze mogę zmniejszyć obwód – wyjaśniła cicho Whitestone, nie odrywając wzroku od ciała. – Ale powiększyć go nie mogę. Lepiej mieć za duże miejsce zbrodni niż za małe. Przyjrzyjmy się uważniej.

Z rękawicami nitrylowymi na rękach, białych maskach na twarzach i ochraniaczach na butach stanęliśmy na niewidocznych gołym okiem foliach.

Whitestone i ja mieliśmy zapas takiej folii – przezroczystej i lekkiej jak piórko – i kładliśmy ją przed sobą na trawie, tworząc czyste przejście do ciała. W końcu uklękliśmy przy Mahmudzie Iranim.

– Twój pierwszy wisielec? – spytała Whitestone.

Przytaknąłem.

Skierowała palec wskazujący w rękawicy na jaskrawe ślady na szyi.

– Takie coś powstaje tylko w wyniku powieszenia – powiedziała. – Każde inne uduszenie sznurem powoduje poziome ślady.

– Ale te biegną po przekątnej – zauważyłem. – Od dolnej części szyi po jednej stronie do ucha po drugiej.

Whitestone skinęła głową.

– Dlatego że sznur, pasek, prześcieradło, drut czy cokolwiek innego kieruje się w stronę węzła. Widzisz, jak głęboki jest ślad? Udusił się pod własnym ciężarem. Sznur uciska tętnice szyjne, odcinając dopływ krwi do mózgu. Podczas wykonywania wyroków sądowych przez powieszenie przerywano drugi krąg szyjny. Bardziej ludzkie podejście. Ci goście nie zawracali sobie tym głowy. Po prostu go związali. Ale powieszenie zawsze daje taki efekt: ślad biegnący pod kątem. Niezwykle jest to, że nie mamy tu do czynienia z samobójstwem. – Pat wstała. – Wszystkie przypadki powieszenia, z którymi dotąd miałam do czynienia, a było ich trochę, stanowiły celowe lub przypadkowe samobójstwo.

– Przypadkowe samobójstwo?

– Asfiksja autoerotyczna. Wiesz... zabawy seksualne, które cię zabijają.

– Aha.

– To zazwyczaj męska rozrywka, jak majsterkowanie czy oglądanie krykieta. Kobiety lubią to chyba mniej. Duszenie najwyraźniej wzmaga orgazm. I niby co mogłoby pójść nie tak? – Ruchem głowy wskazała ciało. – W przypadku Mahmuda Iraniego niezwykle jest to, że powieszenie nie było związane z masturbacją ani chęcią odebrania sobie życia. To było zabójstwo. Kto ucieka się do wieszania, żeby kogoś zamordować?

– Ktoś, kto szuka zemsty? – podsunąłem po chwili zastanowienia.

– Nie, ktoś, kto pragnie sprawiedliwości. – Pat powiodła wzrokiem po parku. – To nie jest miejsce do zabijania, prawda? On tu nie umarł.

Przypomniałem sobie pomieszczenie wyłożone białymi kafelkami, gdzie chyba nie dochodziło światło dzienne. Przyszły mi też na myśl położone w tej okolicy podziemne parkingi, nie tylko te obok Hyde Parku, ale także pod eleganckimi hotelami i salonami samochodowymi przy Park Lane. Z tego, co wiedziałem, żaden nie przypominał pomieszczenia z filmu; tamto wyglądało na miejsce, które sto lat temu powinno było zostać zburzone.

– Czyli postanowili przenieść go do parku po egzekucji – powiedziałem. – Po co?

– To nam utrudnia pracę – przyznała Whitestone. – Nie możemy zbadać miejsca zabójstwa.

– Tak, ale coś takiego wiąże się też z ryzykiem. Ktoś mógł zobaczyć, jak porzucają ciało. Dlaczego nie zostawili go tam, gdzie go powiesili?

Pat zastanawiała się chwilę.

– Ponieważ chcieli, żebyśmy go znaleźli – odparła w końcu.

Patrzyliśmy, jak członkowie zespołu poszukiwawczego suną po Hyde Parku na czworakach. W oddali zaszczekał owczarek niemiecki jednostki wspomagającej.

– Przydałby mi się sznur, na którym go powiesili – odezwała się Whitestone bardziej do siebie niż do mnie. – Ze sznurów można wiele

wyczytać. Jakiego są rodzaju. Jakiego węzła użyto.

Ostre białe reflektory upodobniały miejsce do planu filmowego. W tym świetle ciało Mahmuda Iraniego wyglądało upiornie; na martwej twarzy malowała się agonia. Krokodyl na koszuli patrzył w niewłaściwą stronę, jakby odwracał wzrok od plamy na dzinsach.

Szef techników i jego ludzie pocili się już w kombinezonach z tyveku, niebieskich rękawicach i maskach. Jadąc po wyschniętej trawie, zbliżała się do nas furgonetka z przyciemnianymi szybami. Pojazd z kostnicy. Za nim ujrzałem wielki marmurowy łuk wyznaczający zbieg Oxford Street, Edgware Road i Park Lane. Coś zaszepotało pośród drzew, jak westchnienie nieukojonych zmarłych.

– Tu było Tyburn – powiedziałem. – Może dlatego postanowili zostawić ciało tutaj. Miejsce porzucenia zwłok może być częścią rytualnego zabójstwa. Niewykluczone, że najważniejszą.

– Tyburn? – spytała Whitestone. – Szubienica?

– Londyńskie miejsce straceń przez blisko tysiąc lat – przytaknałem. – Trzynożna szubienica, która stała przy Marble Arch. – Wielki łuk triumfalny jarzył się światłami w ciemnościach nocy. – Stoimy w miejscu, gdzie powieszono pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Oni nie tylko go zabili, prawda? – Spojrzałem na ciało Mahmuda Iraniego z przekrzywioną raną na szyi. – Oni wymierzili mu karę.

4

Tuż przed piętnastą w słoneczne poniedziałkowe popołudnie Stan i ja czekaliśmy na Scout przed szkolną bramą. Oboje staraliśmy się opanować emocje.

Nasz mały rudy cavalier king charles spaniel zawsze ekscytował się widokiem szkolnych bram – te wszystkie dzieciaki, uwaga, komplementy – ale dzisiaj był dla mnie wyjątkowy dzień: ostatni dzień roku szkolnego.

Udało się nam.

Dzieci zaczęły się pojawiać i rodzice ruszyli do przodu.

Zobaczyłem długie jasne włosy panny Davies – ukochanej nauczycielki mojej córki – potem rozpoznałem twarze kilku dziewczynek, wreszcie pojawiła się Scout z wielką teczką, w szkolnej sukience w najmniejszym rozmiarze, jaki był dostępny, a mimo to sięgającej daleko za kolana.

Na mój widok panna Davies uśmiechnęła się i skierowała kciuk w górę.

Pragnąłem jej za wszystko podziękować, ale tłoczyło się wokół niej zbyt wielu rodziców, którzy wręczali jej podarki, chcieli zamienić słowo przed wakacjami, więc Stan i ja czekaliśmy przy bramie; pies szaleńczo machał ogonem i wytrzeszczał z podniecenia okrągłe czarne oczy.

– Z okazji ostatniego dnia oglądaliśmy film – oznajmiła Scout w ramach przywitania. – O japońskiej rybie imieniem Ponyo. – Moja

córka dostrzegła koleżankę, której nie widziała od co najmniej pięciu minut.

– MIA! MIA! MIA!-MIA!-MIA!-MIA!-MIA!

– Cześć, Scout!

– Cześć, Mia!

Scout wręczyła mi teczkę z pracami z minionego roku. Na okładce schludnie wydrukowano jej imię, nazwisko i klasę.

SCOUT WOLFE, 1D.

Na początku znajdowała się jedna z jej wczesnych prac, rysunek zatytułowany „Moja rodzina”, który pamiętałem z września. Rodzina Scout składała się jedynie z mężczyzny zbudowanego z kresek, nawet bez walizeczki, oraz dziewczynki o brązowych włosach z rudym psem. W zeszłym roku na widok tego rysunku ścisnęło mi się serce, ponieważ mężczyzna, dziewczynka i pies wyglądali na zagubionych na białej przestrzeni. Teraz jednak się uśmiechnąłem.

Udało się nam!

Gdy oddalaliśmy się od szkolnej bramy i wokół nas rozbrzmiewały życzenia udanych wakacji oraz obietnice pozostania w kontakcie, poczułem tak silne uczucie ulgi, że niemal zważyło mnie z nóg.

Wszyscy rodzice chcą dla swoich dzieci tego samego. Jednak samotny rodzic pragnie czegoś jeszcze. Samotny rodzic chce przetrwać.

Jeżeli Scout i ja mogliśmy przetrwać pierwszy rok szkoły, wiedziałem, że poradzimy sobie ze wszystkim.

Wzięła smycz Stana, owinęła ją sobie dwukrotnie wokół nadgarstka, ale pies wciąż był nerwowy, jak gdyby podniecenie wywołane bliskością szkolnej bramy jeszcze nie ustąpiło. Z rozbieganym wzrokiem obwąchiwał latarnię, zatopiony we własnym

świecie, psim świecie zapachów, gdy nagle po drugiej stronie ulicy spostrzegł zadbaną pudelkę. Bez ostrzeżenia spróbował pomknąć między samochodami, aż Scout musiała go oburącz powstrzymać.

Odebrałem córce smycz i oboje spojrzeliśmy na Stana, który wpatrywał się w suczkę po przeciwnej stronie ulicy.

– Osiągnął dojrzałość płciową – stwierdziła Scout. – Musisz spojrzeć prawdzie w oczy, tato.

* * *

Bezdomny mężczyzna siedział na chodniku w cieniu arkady nad wejściem na targ mięsny w Smithfield.

Miał na sobie starą zieloną koszulkę z o wiele za długimi rękawami, wytarte spodnie moro oraz buty wojskowe bez sznurówek. Przed nim leżała czapka bejsbolówka, a w niej garść monet. Niewątpliwie były żołnierz.

Gdy go mijaliśmy, nie podnosząc wzroku zapytał:

– Macie na zbyciu pięćdziesiąt tysięcy?

Uśmiechnąłem się. To była dobra kwestia. Nieoczekiwana.

Potem uśmiech zastygł mi na twarzy, ponieważ przypomniałem sobie ten głos sprzed lat. Nie głos tego mężczyzny, ale chłopca, jakim był. Wtedy znałem ten głos równie dobrze jak własny.

Powoli odwróciłem się i podszedłem do bezdomnego, a Scout i Stan ruszyli za mną. Mężczyzna podniósł wzrok; miał jasną cerę, od pewnego czasu się nie golił, minionej nocy nie spędził w łóżku i od dawna porządnie nie jadł.

Jednak to był on.

– Jackson Rose – powiedziałem, i nie było to pytanie, ponieważ nie miałem żadnych wątpliwości. Na znajomej twarzy odmalował się szok.

– Max?

Ile to lat? Trzydzieści. Również ostatni dzień szkoły. Przedtem przez pięć lat byliśmy sobie bliźsi niż bracia.

Ten rodzaj przyjaźni z dzieciństwa, jakiej człowiek nigdy już potem nie znajduje.

Wyciągnąłem rękę i pomogłem mu wstać. Uśmiechnął się i ujrzałem szczerbaty uśmiech, który pamiętałem, chociaż teraz jeden zęb był nadłamany; uścisnęliśmy się, śmiejąc się z niesłychanego zbiegu okoliczności. Potem każdy z nas cofnął się, kręcąc głową. Pochłonął nas czas.

Spojrzałem na jego brudne spodnie od munduru.

On patrzył na moją córkę. Na naszego psa.

Znowu się roześmialiśmy.

– Jesteś ojcem? – spytał.

– Owszem.

– Gratulacje. – Znowu ten szczerbaty uśmiech.

– Dzięki.

Podał rękę Scout, która ujęła ją poważnie.

– Jackson Rose – przedstawił się.

– Scout Wolfe – powiedziała, patrząc, jak Jackson klęka i głaszcze Stana. – Jesteś przyjacielem mojego taty?

– Zgadza się. Wiesz, co mówią?

Pokręciła głową.

– Nie wiem, co mówią.

– Można nawiązać nowe przyjaźnie – Jackson Rose spojrzał na mnie – ale nie można nawiązać starych. – Wyszczrzył w uśmiechu szczerbate zęby. – Prawda, Max?

– Zabieramy cię do domu – oświadczyłem.

Coś przemknęło przez jego twarz.

– Nie mogę iść do waszego domu – odparł, odwracając wzrok, a ja zobaczyłem, że się wstydzi.

– Dlaczego?

Zawahał się, po czym zaśmiał się z zażenowaniem.

– Ponieważ bardzo potrzebuję prysznicu.

– Mamy prysznic – zapewniłem go.

Potem spojrzałem na Scout, ciekaw, czy będzie zakłopotana obecnością obcego w naszym domu. Ona jednak wzięła Jacksona za rękę.

– Moja przyjaciółka ma na imię Mia – poinformowała Jacksona i zabraliśmy go do domu.

* * *

Zamierzałem zamówić na wynos tajskie jedzenie, pizzę, cokolwiek Jackson zechce, ale gdy tylko wspomniałem o jedzeniu, otworzył lodówkę i sprawdził, co mamy.

– W wojsku byłem kucharzem – oznajmił. – Lubisz curry, Scout? Wszyscy lubią curry, prawda?

Twarz mojej córki wyrażała wątpliwości. W życiu nie jadła curry.

– To jest specjalne curry – mówił Jackson, wyjmując cebulę, marchew, kurczaka kupione przez naszą gospozię, panią Murphy. Ja poprzestawałem na jajecznicy. – Japońskie curry – dodał, a ja ujrzałem chłopca, jakim kiedyś był. Nic nie mogło go odwieść od raz podjętej decyzji. – Nie będzie zbyt ostre. – Uspokajająco mrugnął do Scout. – O nic się nie martw.

Curry było pyszne. Upał na dworze słabł, siedzieliśmy przy kolacji, a Stan spał w swoim koszyku. Kiedy Scout zjadła pierwsze w życiu curry i poszła do swojego pokoju, Jackson i ja uśmiechnęliśmy się do siebie.

– Sypiasz na dworze? – spytałem.

– Tylko tymczasowo – odparł z uśmiechem. – A co z tobą? Ktoś jeszcze wróci do domu?

Pokręciłem głową.

– Jesteśmy tylko my dwoje. Ja i Scout. Nikt więcej.

Szeroki uśmiech powoli znikł z twarzy Jacksona.

– Co się stało, Max?

Nie byłem pewien, czy potrafię to wytłumaczyć jemu, czy choćby sobie.

– Poznałem dziewczynę, zakochaliśmy się, urodziła dziecko, najpiękniejsze dziecko na świecie. Potem sprawy stały się trudniejsze, niż to sobie wyobrażaliśmy. Zero pieniędzy. Jej kariera utknęła w martwym punkcie. Pracowałem na okrągło i może czasem za bardzo mnie to pochłaniało. To była piękna dziewczyna...

– Jak ma na imię?

– Anne – odparłem, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zdołam wymówić to imię bez ukłucia bólu. – Poznała kogoś. Przystojnego faceta z furą pieniędzy.

– Czyli nie kogoś takiego jak ty?

– Nie kogoś takiego jak ja. Zakochała się. – Umilkłem. O tej części historii ciężko mi się mówiło. – Zaszła w ciążę. Zostawiła nas. Teraz ma nowe życie, nową rodzinę, a ja i Scout musieliśmy sobie radzić. I poradziliśmy sobie.

– Czy ta Anne... widuje małą?

– Czasami. Prawdę mówiąc, nie za często. Pochłania ją nowe życie. Takie rzeczy się zdarzają.

– Jasne. Ale to ciężka sprawa.

– Właściwie nie taka ciężka, bo Scout to najlepsze, co mi się przytrafiło. Poza tym wszyscy ludzie, których znamy, trzymają za nas kciuki. – Pomyślałem o pani Murphy, o panie Davies. Przyszła mi też

na myśl Edie Wren, która umiała rozmawiać ze Scout naturalniej niż ktokolwiek.

– Macie na pewno mnóstwo wsparcia.

– Dajemy sobie radę – powiedziałem.

Na stole leżała tekturowa teczka przyniesiona przez Scout ze szkoły. Jackson wertował jej zawartość.

– A ty? – zapytałem. – Żona? Dzieci? – Przypomniałem sobie, jakie miał powodzenie u dziewczyn. Uwielbiały go za urodę, szaleństwo, odwagę.

Jackson pokręcił głową.

– Nie ja. – Uśmiechnął się, jakby coś takiego nigdy nie przyszło mu na myśl. Kiedy potarł oczy i ziewnął, zobaczyłem, że jest wykończony.

– Byłem zajęty karmieniem brytyjskiej armii.

– Jesteś zmęczony – rzuciłem. – Chodź.

Pokazałem mu wolny pokój w głębi loftu, Jackson doszedł do wniosku, że może trochę się zdrzemnie, na co odparłem, że to dobry pomysł.

– Cieszę się, że cię widzę, Max – powiedział, a ja wiedziałem, że nigdy nie będę miał takiego przyjaciela jak on.

– Ja też – zapewniłem. – Potrzeba ci czegoś?

Uśmiechnął się nieśmiało, a ja skłamałem się za własną głupotę.

Jackson potrzebował wszystkiego.

Kiedy wróciłem z czystym ubraniem, ręcznikami i szczoteczką do zębów, stał przy oknie i patrzył na targ mięsny. Wcześniej ściągnął buciory, skarpety i koszulkę. Zobaczyłem, że jego plecy, klatkę piersiową, ramiona pokrywają blizny. Skóra wyglądała, jakby ją zdarto, a następnie niedbale naciągnięto z powrotem. Była jaskrawoczerwona, pomarszczona, pełna odbarwień; odebrało mi dech.

– Co się stało? – zadałem mu to samo pytanie, które wcześniej zadał mi on.

– Służyłem krajowi – odparł z uśmiechem Jackson Rose.

5

– Jaki mamy plan? – spytała nazajutrz Edie Wren. – Sprawdzamy wszystkich, którzy nienawidzili Mahmuda Iraniego z powodu jego przynależności do gangu?

Gwizdnęła, gdy skinąłem głową.

– Długa lista – zauważyła.

– Wobec tego bierzmy się do roboty – powiedziałem.

Bmw X5 zaparkowałem na dziedzińcu przed niskimi budynkami na wzgórzu, które łagodnie wznosi się od King's Cross aż do Angel. Znajdowaliśmy się w Islington, ale nie w Islington z modnymi kafejkami i apartamentami za milion funtów. To było inne Islington – z tanimi blokami, które ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Nawet o tak wczesnej porze dnia upał narastał.

– Wszystkich, którzy mieli uzasadnione powody, by nienawidzić ofiarę, poddajemy procesowi NPE.

Namierzyć, przesłuchać, eliminować.

– Robimy to, ponieważ nie mamy miejsca zbrodni – wyjaśniłem. – Nie mamy też podejrzanych, poszlak ani żadnych innych tropów. – Spojrzałem na ponure blokowisko. – Sofi Wilder miała jedenaście lat, kiedy spotkała Mahmuda Iraniego.

– Jezu – szepnęła Edie.

– Dzisiaj ma osiemnaście. Była jedną z pierwszych ofiar gangu. Obecnie ma spore problemy fizyczne i psychiczne. Wygląda na to, że nie wychodzi z domu.

– Po co zajmujemy się tą biedną dziewczyną? Max, to całkowita strata czasu.

– Nie zajmujemy się Sofi, ale jej ojcem, Barrym Wilderem – wyjaśniłem. – W dniu ogłoszenia wyroku groził w sądzie oskarżonym. – Przeczytałem z notatek: – *Zabiję cię. Wytropię cię i, kurwa, zabiję.* Jest coś jeszcze. Ojciec Sofi siedział.

– Za co?

– Za napaść. Przemoc stadionowa. Dwadzieścia lat temu.

Na twarzy Edie malowały się wątpliwości.

– Linczowanie człowieka nieco różni się od spuszczenia łomotu kibicom drużyny przeciwnej – stwierdziła.

Wzruszyłem ramionami.

– Zobacz, co zrobili jego córce – powiedziałem. – Chodź.

Wysiedliśmy z samochodu i znaleźliśmy mieszkanie.

Drzwi otworzył Barry Wilder. Ogolony na łyso, w koszuli Bena Shermana z krótkimi rękawami i wyblakłymi tatuażami na mięśniach rąk, będących raczej wynikiem pracy fizycznej niż godzin spędzonych na siłowni. Na jednym z tatuaży był napis THE JAM, na drugim MADNESS. Barry był skinheadem po czterdziestce, ale życie wyprało z niego chyba całą agresję. Zerknął na nasz nakaz, ale nieśmiałość nie pozwalała mu spojrzeć nam w oczy.

– Pan Wilder? Jestem detektyw Wolfe, a to detektyw Wren. Chcielibyśmy zadać panu pytania o Mahmuda Iraniego.

Skinął głową.

– Dobra. Nie musicie rozmawiać z naszą Sofi, prawda?

– To pan nas interesuje – wyjaśniła Edie, co przyjął z wyraźną ulgą.

Wpuścił nas do mieszkania.

Przy oknie siedziała rozłożysta blondynka, która wściekle paliła papierosa i wypuszczała dym w ciepły letni wieczór. Camele bez filtra. Na nasz widok wykrzywiła pogardliwie usta.

Jean Wilder. Matka Sofi.

– Dzień dobry pani – przywitałem ją, ona jednak zignorowała mnie i dalej paliła papierosa, jakby szczerze go nienawidziła.

Edie i ja usiedliśmy na kanapie, Barry Wilder w fotelu naprzeciwko. Uważnie przyjrzałem się tatużom na jego muskularnych rękach. Stare tatuże piłkarskie podobne do wyblakłych hieroglifów. Nie sposób nawet było stwierdzić, czy kibicował Tottenhamowi czy Arsenalowi.

– Wie pan, że Mahmud Irani został zamordowany? – spytałem.

Usłyszałem, że ktoś otwiera drzwi, i dostrzegłem bladą przestraszoną twarz młodej kobiety, po czym drzwi zamknęły się cicho.

Sofi.

– Panie Wilder, mam nadzieję, że rozumie pan, że musimy z panem pomówić z powodu związku Mahmuda Iraniego z pańską córką.

– Oni nie mieli żadnego związku – odezwała się cicho pani Wilder i głęboko zaciągnęła się papierosem. – Co wy sobie myślicie? Że chodzili ze sobą? Związek! Czemu nigdy nie wykonujecie swojej pracy? Tyle chyba można od was oczekiwać?

– Proszę pani – zaczęła Edie, ale pani Wilder jej przerwała.

– Jesteście w moim domu – zauważyła całkiem spokojnie. – Mówicie o mojej córce.

Edie spojrzała na mnie i odpuściła.

– Muszę pana zapytać o groźby, jakie wygłaszał pan pod adresem Mahmuda Iraniego – zwróciłem się do Barry'ego Wildera.

Jego żona z wściekłością zdusiła papierosa. On jednak łagodnie skinął głową i zatarł ręce, jakby je mył.

– Słyszano, jak mówił pan to w sądzie, rozumie pan? – Starłem się, aby mój głos zabrzmiał jak najbardziej neutralnie.

– Tak.

– *Zabiję cię. Wytropię cię i, kurwa, zabiję* – przeczytałem i spojrzałem na mężczyznę. – Groził pan w ten sposób?

– Tak.

Pani Wilder przeszła przez pokój. Woń papierosów próbowała ukryć znanymi mi zapachami: Jimmy Choo oraz gumy do żucia Juicy Fruit.

– Ma pan dzieci? – spytała, patrząc na mnie.

– Tu nie chodzi o mnie, proszę pani.

– Dlaczego boi się pan powiedzieć prawdę?

– Mam córkę – powiedziałem.

– Ile ma lat?

– Pięć.

– Dorośnie – rzuciła Jean Wilder. – One zawsze dorastają. Teraz nie może pan sobie tego wyobrazić, ale pańska córka dorośnie tak szybko, że dostanie pan zawrotów głowy. Powinien pan uklęknąć i modlić się do Boga, żeby ona, pańska córka, którą z pewnością kocha pan najbardziej na świecie, nigdy nie wpadła w oko takim ludziom jak Mahmud Irani i jego znajomi. Przeszliśmy przez coś gorszego niż piekło, gorszego niż śmierć, a to może się przydarzyć każdemu w tym kraju, kto ma córkę. A ludzie, którzy mają chronić dzieci? Policjanci, pracownicy społeczni i wszyscy ci zawodowi dobroczyńcy? Odwracają wzrok, kiedy dzieci są torturowane i gwałcone. – Ze świstem wypuściła powietrze i potrząsnęła głową z niedowierzaniem. – Odwracają wzrok.

– Współczuję państwu z powodu tego, co przeszliście – zapewniłem. – Prowadzimy jednak dochodzenie w sprawie zabójstwa i musimy zadać pytania. – Zwróciłem się do jej męża: – Czy po skazaniu Mahmuda Iraniego kontaktował się pan z nim?

Pani Wilder zabrała głos w jego imieniu:

– Barry tego nie zrobił. Kiedy to się stało? On był tutaj. Jest tu każdej nocy. Wszyscy tu jesteśmy, cała nasza trójka. Gdzie niby mielibyśmy pójść? Nie chcemy, żeby sąsiedzi i ludzie, których nawet nie znamy, gapili się na nas, wytykali palcami, patrzyli na Sofi, jakby nie była człowiekiem. Owszem, mój mąż powiedział te rzeczy. Wykrzyczał je co sił w płucach. Wtedy z pewnością mówił prawdę. Ponieważ kiedy tamci siedzieli na ławie oskarżonych, śmiali się z nas. Ci śmierdzący Pakistańczycy, którzy zniszczyli nam życie.

– Proszę – napominałem ją.

Ale Jean Wilder nie chciała odpuścić.

– Mówi pan, że ma pan córkę – powiedziała, jakby istniała możliwość, że kłamię. – Co by pan zrobił, gdyby potraktowali pańską córkę jak zabawkę seksualną, a potem śmiali się panu w twarz?

Stała bardzo blisko mnie. Czułem woń cameli bez filtra, perfum Jimmy Choo i gumy Juicy Fruit.

– Nie kontaktowałem się z tym człowiekiem – odezwał się cicho Barry Wilder. Nie ulegało wątpliwości, że jako młody człowiek organizował rozróbę na stadionach, ale teraz nie widziałem w nim żadnych oznak skłonności do przemocy, tylko niezgłębiony smutek i nieskończony żal.

Utkwił wzrok w podłodze i zatarł dłonie.

– Tak, nie przeczę, powiedziałem to, ale nie widziałem tego człowieka od procesu, aż do czasu, kiedy pokazali w internecie film. – W końcu spojrzał mi w oczy. – Film pokazujący, jak go wieszają.

W milczeniu mierzyliśmy się wzrokiem.

W końcu podziękowałem mu i wstałem.

Jean Wilder odprowadziła nas do drzwi.

– Wy bezużyteczne sukinsyny – wycedziła. – Cackacie się z tymi gangami, bo nie chcecie wyjść na rasistów.

Odwróciłem się i powiedziałem cicho:

– Pani Wilder, ja z nikim się nie cackam. Nie prowadziłem śledztwa w sprawie Mahmuda Iraniego i gangu z Hackney, który skrzywdził pani córkę. Obecna tu detektyw Wren też nie brała udziału w tym śledztwie. Ci ludzie byli przestępcami i ponieśli zasłużoną karę.

Pani Wilder zbliżyła twarz do mojej. Za dużo papierosów, pomyślałem. Za dużo Jimmy’ego Choo.

– Ona mogła kogoś pokochać. Moja Sofi. Mogła pójść na studia i mieć normalne życie, ale wszystko przepadło.

Otworzyłem drzwi. Jean Wilder wyciągnęła rękę i je zamknęła. Jeszcze z nami nie skończyła.

– Wiecie, co oni jej zrobili? – spytała. – Co zrobili tym wszystkim dziewczynom? Wydaje się wam, że wiecie, bo przewertowaliście jakiś raport albo oglądaliście wiadomości. Ale nie wiecie. Przypochlebiali się tym dzieciom, poświęcali im uwagę, a potem poili alkoholem, faszerowali narkotykami i prowadzili do pokoi, gdzie czekali faceci. Dziesiątki śliniących się, cuchnących drani. Grupowo gwałcili te dzieci. Filmowali je. Zapraszali swoich znajomych. Śmierdzących pakistańskich kuzynów i braci. Znakowali te dzieci. – W pani Wilder wezbrały wściekłość i żal. Zdusiła je, jakby powstrzymywała się od wymiotów. – Gasili papierosy na ich ciałach i śmiali się z tego. Oni się, kurwa, śmiali. Moja córka, moja mała dziewczynka, moje dziecko ma oparzenia po papierosach na piersiach i pośladkach...

– DOSYĆ!

Jean Wilder błyszczącymi oczami patrzyła, jak jej zwalisty mąż zbliża się do nas ciężkim krokiem. Położyła dłoń na jego ręce i poklepała.

– On nie miał z tym nic wspólnego – powiedziała, nagle bardzo znużonym głosem. – Ale wiecie co? Żałuję, że nie miał.

Delikatnie otworzyłem drzwi.

Tym razem mi na to pozwoliła.

– I co by pan zrobił, detektywie? – spytała, śmiejąc się, że tak mi pilno wyjść z jej domu złamanych serc. – Gdyby w tamtych pokojach, z tamtymi ludźmi była pańska córka? Co by pan zrobił?

Nie odpowiedziałem.

Nie mogłem na nią patrzeć.

Jean Wilder wyszła za nami z mieszkania.

– Jak ich złapiecie... tych ludzi, co powiesili Mahmuda Iraniego... dajcie im medal.

Gdy szliśmy do samochodu, podniosłem wzrok i ujrzałem w oknie twarz dziewczyny. Sofi. Potem zasłony się złączyły i znikła. Edie i ja nie odzywaliśmy się, dopóki nie wsiedliśmy do samochodu.

– Nie odpowiedziałeś na jej pytanie – powiedziała Edie. – Co byś zrobił, gdyby to była Scout?

– Och, daj mi spokój.

Oboje wiedzieliśmy, co bym zrobił.

6

W Czarnym Muzeum jest szubienica.

Poziomy drewniany trójkąt wsparty na trzech nogach stoi w cichym kącie przybytku znanego jako Muzeum Zbrodni. Szubienicę wieńczy dwadzieścia kilka stryczków, każdy opatrzony nazwiskiem powieszonoego mężczyzny lub kobiety.

– To jest replika Potrójnego Drzewa z Tyburn – wyjaśnił sierżant John Caine, kustosz Czarnego Muzeum. – Szubienica była przenośna i między innymi dlatego nie ma zgody co do tego, gdzie naprawdę stała, chociaż wieszano na niej ludzi przez kilka wieków. – Caine łyknął z kubka z napisem NAJLEPSZY TATA ŚWIATA. – Przenosili ją, rozumiesz.

Dotknąłem jednego stryczka.

Ot, cztery cienkie sznurki przewleczone przez metalowe kółko i tworzące pętlę. Inne sznury były znacznie – nawet dwukrotnie – grubsze; solidnie spleciony sznur przechodził przez sporą mosiężną tulejkę i kończył się pętlą.

– Te cienkie pochodzą z osiemnastego wieku – wyjaśnił sierżant Caine. – Grubsze są bardziej współczesne. Najnowsza jest z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, kiedy zniesiono u nas karę śmierci.

– Masz tu sporo tych sznurów, John. Wcześniej ich nie zauważyłem.

– Powiesiliśmy w tym kraju wielu ludzi. Wisielcami z samego Tyburn można by wypełnić stadion. Niektóre z pętli pochodzą z tysiąc

osiemset dwudziestego drugiego roku, kiedy to powieszono dwustu dwudziestu dwóch przestępców, na przykład za kradzież zająca z wnyków czy kradzież sklepową.

– Ale dlaczego, jeśli ktoś chce kogoś zamordować, wiesz go? – spytałem, dotykając stryczka, jakby mógł mi udzielić odpowiedzi. – Czemu go po prostu nie zastrzeli albo nie zadźga?

– Ponieważ pragnie zemsty – odparł sierżant John Caine. – Pozwól, że ci coś pokażę.

To była sfatygowana czarna walizka. W środku znajdował się kawałek sznura, pas do wiązania nóg oraz kaptur, niegdyś biały, teraz jednak pożółkły ze starości, złożony porządnie jak chusteczka do nosa.

– To jest walizka Alberta Pierrepointa – wyjaśnił. – Ludzie błędnie go postrzegają. Zapominają, jak ważny był dla tego kraju. On nie symbolizował po prostu kary. Dopóki kary śmierci nie zaczęto uważać za coś nikczemnego, okrutnego, niemilego, reprezentował sprawiedliwość. Wcześniej był bohaterem narodowym. Jak myślisz, kto powiesił tych wszystkich zbrodniarzy nazistowskich po drugiej wojnie światowej? Stary Albert jeździł do Niemiec dwadzieścia pięć razy w ciągu czterech lat i powiesił ponad dwustu nazistów. Zresztą, wcale go to nie cieszyło, bo kazali mu pracować hurtowo, po tuzinie naraz. Stary Albert był perfekcjonistą, czerpał dumę ze swojej pracy. – Caine łyknął herbaty. – Ludzie, którzy zabili tego gwałciciela dzieci, posłużyli się w internecie zdjęciem Pierrepointa, tak?

Przytaknąłem.

– Czyli chcą sprawiedliwości – powiedziałem. – Chcą zemsty.

John delikatnie zamknął walizkę Alberta Pierrepointa.

– Co jest złego w odrobinie zemsty? – zapytał.

Rozdzwoniła się moja komórka. DZWONI EDIE WREN, przeczytałem na ekranie. Głos Edie był napięty od adrenaliny.

– Mamy kolejnego wisielca – oznajmiła. – Obejrzyj to w sieci.

– Za kwadrans wracam do biura – odparłem. – Wtedy to obejrzę.
– Max, otwórz internet i zobacz to teraz. – Wzięła wdech. – To jest relacja na żywo.

* * *

Na komputerze Johna Caine'a obejrzeliśmy, jak wieszają drugiego człowieka.

Początkowo wszystko wyglądało identycznie. Kamerę skierowano na przerażonego człowieka stojącego na taborecie i ten sam głos zadał to samo pytanie.

„Czy wiesz, dlaczego znalazłeś się na tym miejscu egzekucji?”

Obraz był jednak znacznie ostrzejszy, a w dolnym prawym rogu przesuwiał się pasek z datą i godziną, jakby sprawcy chcieli, by świat wiedział, że ta publiczna egzekucja odbywa się na żywo.

Pomieszczenie było to samo. Tym razem dało się dokładniej zobaczyć rozsypujące się ze starości ściany, niegdyś białe cegły, które pożółkły, zzieleniały albo zbrązowiały.

– Gdzie to jest, John?

Caine zbliżył twarz do ekranu i cicho zaklął.

– Czuję, że znam to miejsce, ale nie pamiętam skąd.

Skazaniec na taborecie bełkotał z przerażenia. Na szyję założono mu sznur, który wychodził poza kadr i nikał gdzieś na suficie. Mężczyzna, znacznie młodszy niż Mahmud Irani, miał na sobie garnitur i krawat. Był biały.

– Czy wiesz...

Nagle sprawy przybrały zły obrót. Mężczyzna w garniturze zeskoczył lub spadł z taboretu; pętla nie mogła być przytwierdzona do sufitu, bo chociaż okalała mu szyję, nie zapobiegła upadkowi. Potem ktoś puścił kamerę i nic nie było widać, rozlegały się za to wściekłe

odgłosy walki, zadawanych ciosów i wreszcie płacz człowieka, do którego dotarło, że nie ma ucieczki.

Kiedy ponownie podniesiono kamerę, zobaczyłem ciemne postacie stojące pod ścianą. Niczym zamaskowani strażnicy, ustawili się pod wiszącą na ścianie fotografią o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów, przedstawiającą uśmiechniętego mniej więcej jedenastoletniego chłopca w mundurku szkolnym, radośnie pozującego do zdjęcia.

Nabrałem pewności, że zabił go człowiek, któremu kazano z powrotem wejść na taboret.

– Czy wiesz, dlaczego znalazłeś się na tym miejscu egzekucji?

Ktoś kopnął taboret. Mężczyzna zamachał rękami i ujrzałem, że nie związane mu dłoni. Na szyi wciąż miał pętlę, tym razem przytwierdzoną do sufitu.

– Jest ich czterech – stwierdził Caine. – Co najmniej. Widzę czterech. Czarne dresy, chyba mignęło mi logo Nike’a. Wszyscy mają maski taktyczne z nomexu. Facet, który trzymał kamerę, to ten sam, który wykonał ciężką robotę, kiedy ofiara próbowała uciec. Wielki gość. Innych nie widzę dobrze.

„Nie!” – zawołał skazaniec na taborecie.

– Ale kto to jest? – spytał Caine. – I kim jest ten dzieciak?

Mężczyzna na ekranie zaczął intensywniej niż Mahmud Irani szarpać nieskrępowanymi dłońmi sznur zaciskający się na szyi. Łapał się za szyję, darł, wściekle wierzgał nogami i próbował protestować, ale słychać było jedynie okropny odgłos duszonego człowieka. Walczył gwałtowniej, więc wszystko skończyło się szybciej.

Wisielec przestał kopać. Obraz zastygł. Na obiektywie widniała pojedyncza kropla krwi.

– Czemu po prostu nie dźgną go w oko? – powiedziałem, wyjmując komórkę.

– Bo to wyglądałoby na morderstwo – odparł Caine. –
Podejrzewam, że ich zdaniem morderstwo to dla niego zbyt łagodna
kara.

Na moich oczach świat cyfrowy zareagował.

#przywroccie

#przywroccie

#przywroccie

#przywroccie

#przywroccie

– Zawieźć cię do głównego na West Endzie? – zaproponował John
Caine.

– Dzięki, ale jeśli pobiegnę, będę szybciej.

– Gdzie jest to miejsce? – spytał, jakby powinien to wiedzieć.

7

Pobiegłem na Savile Row 27.

Mimo wieczornej pory upał lepił się do miasta, a gdy wdrapałem się na najwyższe piętro komisariatu głównego na West Endzie, byłem zlany potem. W sali numer jeden już tłoczyli się ludzie.

Komisarz Whitestone prowadziła rozmowę z naszą szefową, komendant Policji Metropolitalnej Swire. Obie stały przed wielkim ekranem telewizyjnym, patrząc po raz kolejny, jak wieszają mężczyznę w garniturze i krawacie.

Z zaskoczeniem zdałem sobie sprawę, że poczuły wyraźną ulgę.

– Jesteś tego pewna? – pytała Swire przyciszonym tonem Margaret Thatcher. – Masz całkowitą pewność, Pat?

– Tak, pani komendant – odparła komisarz Whitestone. – Ofiara jest bez wątpienia IC1.

Skrót IC odnosi się do systemu opisującego pochodzenie. IC1 oznaczało, że powieszony człowiek pochodził z północnej Europy.

Mahmud Irani był IC4.

– Dobrze – powiedziała komendant. – Czyli niezależnie od motywu nie chodzi o rasę. Dzięki Bogu!

Edie Wren wściekle waliła w laptop, rozmawiając z Colinem Cho z jednostki zajmującej się przestępczością internetową. Stażysta Billy Greene odpierał ataki reportera, któremu udało się przedrzeć przez centralę. W sali dostrzegłem też niezwykle atrakcyjną młodą kobietę, której wcześniej nie widziałem. Podłączyła swój laptop w jednym ze stanowisk pracy i raz po raz oglądała ten sam fragment nagrania.

„Czy wiesz, dlaczego znalazłeś się na tym miejscu egzekucji?” „Czy wiesz, dlaczego znalazłeś się na tym miejscu egzekucji?” „Czy wiesz...?”

Miała pociągłą, bladą i bardzo poważną twarz i włosy, które nie tyle się przesuwają, ile kołysały. Kiedy pochyliła się, by spojrzeć na ekran, opadły jej na poważną twarz jak długa czarna woalka; odgarnęła je i przygryzła w skupieniu wargę.

– Detektyw Wolfe – przedstawiłem się. – Robisz analizę głosu z tego dialogu?

Kobieta spojrzała na mnie przelotnie, po czym znowu popatrzyła na ekran i odgarnęła długie czarne włosy. Na palcu serdecznym lewej dłoni mignęło złoto. Koniec rozmowy.

Edie Wren podniosła wzrok znad biurka. Na ekranie przed nią widziałem, jak internauci reagują na drugą egzekucję.

Tendencje w Wielkiej Brytanii.

#przywroccie

#przywroccie

#przywroccie

#przywroccie

#przywroccie

– Wygląda na to, że tego nie trzeba przywracać, bo nigdy nie zniknęło – odezwała się Edie.

– Kto to jest? – zapytałem, wskazując głową na kobietę z kołyszącymi się włosami.

– Tara Jones. Analityczka głosu. Nazywają to biometrią głosu.

– Jest dobra?

– Podobno najlepsza. – Edie wzruszyła ramionami. – Ale jeszcze nic nam nie dała.

– Max? – usłyszałem głos z akcentem zza Atlantyku. – Chodź tu i zerknij.

Doktor Joe Stephen, psycholog sądowy z londyńskiego King's College, siedział przy biurku z nieznanym mi człowiekiem, łysym brodaczem w średnim wieku, z plamą potu w kształcie Australii na plecach sztruksowej marynarki. Oni również oglądali egzekucję. Po chwili zobaczyłem, że kolega doktora Stephena wcale nie jest w średnim wieku. Mimo łysiny i brody nie przekroczył trzydziestki, ale przedwcześnie się postarzał. Głowę miał niesamowitą: jak gdyby piłka do rugby udawała jajko na twardo.

– Zabójstwo przez powieszenie jest prawie nieznane, prawda? – powiedział, a doktor Stephen przytaknął.

– Ci niezidentyfikowani sprawcy nie uważają tego za zabójstwo. – Połowa życia spędzona w Londynie złagodziła amerykański akcent Stephena. – Najwyraźniej uważają, że wymierzają karę śmierci za zbrodnię, na którą, ich zdaniem, ofiara zasługuje.

Młody mężczyzna pokiwał głową w zamyśleniu.

– *Capital crime*, oczywiście od łacińskiego *capitalis* – powiedział. – Dosłownie: dotyczący głowy, co odnosi się do dekapitacji.

– Max, to jest profesor Adrian Hitchens – dokonał prezentacji doktor Stephen. – Wykłada historię w King's College.

Wyciągnąłem rękę, ale profesor Hitchens ją zignorował. Wpatrywał się w zastygły obraz na ekranie, ostatni kadr najnowszej egzekucji: zniszczone cegły w miejscu zabójstwa.

Cofnąłem dłoń.

Może bardzo intensywnie zastanawiał się, gdzie może się znajdować ta piwnica. A może wziął mnie za dozorcę.

Nie chowałem urazy. Policja stale korzysta z pomocy specjalistów. Niektórzy, jak nasz psycholog doktor Joe, zostają na wiele lat. Większość jednak szybko wypada, kiedy okazuje się, że w żaden

sposób nie potrafią nam pomóc. Istniało spore prawdopodobieństwo, że nigdy więcej nie zobaczą profesora Hitchensa.

Ani kobiety o rozkołysanych włosach.

Spec od historii wskazał ekran grubym palcem pożąłkłym od nikotyny.

– Ten dom wygląda na późnowiktoriański – powiedział bardziej do siebie niż do Stephena czy do mnie. – Przypuszczam, że to budynek użyteczności publicznej. – Ruchami głowy pokazywał białe ściany, zzieleniałe i pożąłkłe po stu latach. – Szpital psychiatryczny? Więzienie? Tak, prawie na pewno koniec czasów wiktoriańskich.

Dołączyły do nas komendant Swire i komisarz Whitestone.

– Hitch – zwróciła się ta pierwsza do historyka jak do starego kumpla. – Rozumiem, że detektyw Wolfe ma teorię w sprawie miejsca porzucenia pierwszego ciała.

Whitestone dodała mi otuchy skinieniem głowy.

– Według ciebie, fakt, że ciało porzucono w Hyde Parku, ma znaczenie, prawda, Max? – spytała.

Przytaknąłem. Hitchens nadal na mnie nie patrzył.

– Tyburn – wyjaśniłem. – Pierwszą ofiarę znaleźliśmy w Hyde Parku od strony Park Lane.

W końcu na mnie spojrzał.

– Tam gdzie przez tysiąc lat wieszano ludzi – dodałem.

Hitchens uśmiechnął się do mnie, ale bynajmniej nie ciepło. Jego wyszczerbione zęby również wyglądały starzej, niż wskazywałyby jego wiek. Prawdę mówiąc, nie zapalałem do niego sympatią.

– Wiem, czym był Tyburn, detektywie Wood.

– Wolfe.

– Detektywie Wolfe – poprawił się, po czym obrócił się wraz z krzesłem, by zwrócić się do całej sali. Grube żółte palce stukały

w podłokietniki krzesła. – Tyburn jednak z całą pewnością nie znajdował się w Hyde Parku.

– Wiem, ale...

– Według londyńskiej mapy Rocque’a z tysiąc siedemset czterdziestego szóstego roku szubienica stała dalej na północ. Czy zna pan tę mapę?

Pokręciłem głową na znak, że nie znam mapy Rocque’a przedstawiającej osiemnastowieczny Londyn.

– Szubienica Tyburn stała na placu u zbiegu Edgware Road, Oxford Street i Bayswater Road.

– Przecież nie mogli podrzucić ciała na placu – zauważyłem i spostrzegłem, jak historyk, nienawykły do tego, by kwestionowano jego słowa, się najeża. Wielcy akademicy są chyba przyzwyczajeni do tego, że studenci spijają słowa z ich ust. – A co z taboret, profesorze? – spytałem. – Pana zdaniem, też jest późnowiktoriański?

– Nadal nie znamy tożsamości ofiary, Edie?! – zawołała Whitestone do Wren.

Ta pokręciła głową.

– Colin monitoruje aktywność w sieci, a Billy ma stałe połączenie z centralą, ale ciągle nic – odparła.

Centrala odpowiadała za kontakty z obywatelami. Jeśli ktoś zadzwoniłby na 999, bo rozpoznałby człowieka wieszanego w internecie, telefon odebrano by właśnie w centrali.

– Puść to jeszcze raz – zażądała komendant.

Stażysta Greene wcisnął klawisz i w milczeniu po raz kolejny obejrzelśmy egzekucję. Wielokrotne odtwarzanie nie umniejszało szokującej siły nagrania.

Mężczyzna w garniturze walczący o życie. Rozpacзлиwa szamotanina, zanim zawleczono go na taboret, z którego zrobiono naprędce szubienicę. Ostatnie słowa, jakie miał usłyszeć: „Czy wiesz,

dlaczego znalazłeś się na tym miejscu egzekucji?”. Duszenie się na końcu sznura. Ręce szarpiące pętlę na szyi.

I ten chłopiec. Wiszące na ścianie zdjęcie chłopca, uśmiechającego się równie słodko i niewinnie, jak dziewczęta podczas śmierci Mahmuda Iraniego – uśmiechający się przez całą wieczność. Uśmiechy zza grobu.

„Czy wiesz, dlaczego znalazłeś się na tym miejscu egzekucji?”

– Co oni, do diabła, robią, doktorze? – zwróciła się Whitestone do naszego psychologa.

– Ceremonia jest wszystkim – powiedział. – Ten rytuał wydaje się co najmniej tak samo ważny jak sama kara. Oba zabójstwa zaplanowano równie drobiazgowo jak wszystko, co oglądacie w sądzie Old Bailey. Tyle że ci tutaj zamiast peruk noszą czarne maski. Zamiast sędziego i przysięgłych mamy niezidentyfikowanych sprawców. I oskarżonych.

– Którzy nie mogą liczyć na zawieszenie wyroku – dodała Whitestone.

– Ale rytuał, ceremonia, czy jak to chcecie nazwać, stanowi oświadczenie i ostrzeżenie. Przede wszystkim podkreślają w ten sposób swoją władzę – ciągnął doktor Stephen. – To rzecz podstawowa: ponowne podkreślenie własnej władzy. W zwykłym sądzie mamy do czynienia z podkreśleniem władzy państwa. Ci niezidentyfikowani sprawcy uważają, że to, co robią... tylko zgaduję... jest wyrazem wyższej sprawiedliwości, wyższego, szlachetniejszego i mniej chwiejnego prawa. Jest to utwierdzenie władzy ludzi.

– Mamy! – zawołała Wren. – Nazwisko ofiary! – Trzymała słuchawkę przy uchu, a na jej twarzy pojawił się wyraz, którego nie potrafiłem odczytać. – Znamy też nazwisko chłopca na zdjęciu – dodała i nagle euforia ją opuściła. Palcami przeczesła rude włosy i odłożyła słuchawkę. – Dobra – rzuciła. – Powieszony człowiek

nazywa się... nazywał się Hector Welles. Trzydziestopięcioletni kawaler, zarządzał funduszami w City. Skazany za nieumyślne przejechanie rowerzysty.

– Chłopca na ścianie – domyśliłem się, a ona przytaknęła.

– Welles prowadził porsche dziewięćset jedenaście, kiedy ten chłopak jechał na rowerze. – Wcisnęła klawisz na klawiaturze i na wielkim ekranie telewizyjnym pojawiło się zdjęcie uśmiechniętego chłopca.

– Dzieciak zginął na miejscu? – spytała Whitestone.

– Przez sześć miesięcy leżał w śpiączce. W końcu rodzice odłączyli go od urządzeń podtrzymujących życie. Chłopiec nazywał się... – zajrzała do notatek – ...Daniel Warboys.

Wstrzymałem oddech.

– Daniel Warboys? Skąd pochodził?

– Z zachodniego Londynu. Hammersmith.

– Znasz tego dzieciaka, Max? – spytała Whitestone.

– Chyba znałem jego dziadka – odparłem. – Nazywał się Paul Warboys.

W sali zaległo milczenie.

– Ten Paul Warboys? – spytała komendant.

Przytaknąłem.

Paul i Danny Warboysowie rządzą w zachodnim Londynie w czasach, gdy Reggie i Ronnie Krayowie kontrolowali wschodnią część miasta, a Charlie i Eddie Richardsonowie południową.

Bez trudu mogłem uwierzyć, że Paul Warboys miał wnuka noszącego imię jego ukochanego brata Danny'ego.

– Na jak długo posadzili Hectora Wellesa? – zapytała Whitestone.

– Skazano go na pięć lat – odparła Edie. – Musiał też zapłacić dziesięć tysięcy funtów i na trzy lata odebrano mu prawo jazdy. Wymigał się tanim kosztem, bo w jego krwi nie znaleziono alkoholu

ani narkotyków. Także dlatego, że pracodawcy załatwili mu najlepszego adwokata, a Welles sporo płakał na ławie oskarżonych. W końcu odsiedział tylko niecałe dwa lata. Odzyskał nawet dawną pracę.

Milczeliśmy. Telefony przestały dzwonić. Słyszeć było tylko cichy szum samochodów na Savile Row oraz laptop analityczki głosu o rozkołysanych włosach.

„Czy wiesz, dlaczego znalazłeś się na tym miejscu egzekucji?” „Czy wiesz, dlaczego znalazłeś się na tym miejscu egzekucji?” „Czy wiesz...”

– Dwa lata za przejechanie dziecka – powiedziałem. – To za mało, prawda?

Paul Warboys był ostatnim w szeregu.

Ostatnim ze starych gangsterów, których nazwiska powszechnie znano. Ostatnim z zawodowych łajdaków, którzy nosili garnitury, krawaty, strzygli się krótko z tyłu i na skroniach nawet w latach sześćdziesiątych, kiedy wszyscy inni zapuszczali włosy, nosili dzwony i łykali kwas.

Był ostatnią prawdziwą osobistością świata przestępczego.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Paul Warboys i jego brat Danny rezydowali w zachodnim Londynie. Ze swego domu w Hammersmith kierowali salonami masażu, burdelami i knajpami starego Soho. Podczas gdy Ronnie i Reggie Krayowie chowali swoje urazy w lichych spelunkach na East Endzie, a Charlie i Eddie Richardsonowie, marząc o znalezieniu złota w Afryce, myszkowali wśród złomu w południowym Londynie, bracia Warboys spijali soki z West Endu.

Paul i Danny Warboysowie zarabiali więcej niż pozostali.

– Niezła chata – rzuciła Edie Wren, kiedy skręciłem bmw X5 na przestronny podjazd posiadłości w Essex; Paul Warboys z żoną mieszkali tu, gdy nie przebywali w Hiszpanii.

Gdzie tylko spojrzałem, krzątała się służba. Jakiś człowiek usiłował złowić pojedynczy listek pływający w nieskazitelnym basenie. Ekipa ogrodników doglądała klombów i kosiła trawnik. Pokojówka w tradycyjnym czarno-białym uniformie wydawała szczegółowe instrukcje dostawcy z supermarketu.

Drzwi otworzył jednak Paul Warboys osobiście.

– Spodziewałem się ciebie, Max – powiedział, niemal się uśmiechając.

Był w stroju plażowym, a jego głęboka opalenizna nie pochodziła ze sprayu. Sportowa koszula, spodenki khaki, klapki. Na muskularnych rękach pobrzękiwała złota biżuteria. Żadnych tatuaży. Rzednące włosy ufarbował na niewiarygodnie jasny kolor, ale wyglądał jak starszy pan w znakomitej formie, który od dawna nie musiał się martwić o pieniądze.

– Sądziłem, że przyjdiesz sam. – Zerknął ponad moim ramieniem na Edie Wren.

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić, Paul – odparłem.

– Namierzyć, przesłuchać, eliminować – powiedział. – Zgadza się, Max?

– Detektyw Wren, wydział zabójstw i poważnych przestępstw – przedstawiła się Edie i pokazała legitymację.

Paul Warboys uśmiechnął się szerzej. Zęby miał lśniąco białe niczym prezenter telewizyjny.

– Schowaj to, złotko – zwrócił się do niej. – Wierzę ci.

W ślad za gospodarzem weszliśmy do salonu. Angielski bulterier przydreptał do mnie po dywanie, machając kikutem ogona. Gdy wyciągnąłem rękę, pies pochylił ku mnie imponujący łeb, dając do zrozumienia, że już się spotkaliśmy.

– Bullseye cię pamięta. – Paul Warboys zaśmiał się i podrapał psa za uszami.

Bulterier należał kiedyś do starego gangstera Vica Mastersa, którego znalazłem martwego w rowie na Hampstead Heath. Zwierzak mieszkał ze mną, Scout i Stanem, zanim Paul Warboys zgłosił się po psa zmarłego przyjaciela.

– Nie miałem pojęcia o twoim wnuku – powiedziałem. – Przykro mi.

Warboys kiwnął głową i widziałem, jak coś się w nim zamyka. Nie należał do pokolenia mającego potrzebę dzielenia się wszystkimi emocjami ze światem.

– Tak... Cóż... Dzięki. Niby skąd miałeś wiedzieć, prawda? Chłopiec wpada pod samochód. To żadna wiadomość, co? Tu i tam pojawiło się kilka linijek, ale nie na pierwszej stronie.

– Mimo to wydawałoby się, że to duża wiadomość – odezwałem się najłagodniej, jak umiałem. – Wnuk Paula Warboysa...

– Teraz to jest wiadomość! – Znów się zaśmiał. – Teraz skurwiela powiesili. – Kolejny śmiech, tym razem bezlitosny, śmiech w ciemności pełen goryczy. – Teraz to jest wiadomość!

Do salonu weszła kobieta.

Drobna blondynka, może o piętnaście lat młodsza od męża, także w stroju plażowym, niebiesko-złotym batikowym pareo, z opalenizną w kolorze drewna tekowego.

– Doll – powiedział Warboys. – To jest detektyw Wolfe.

– Młody człowiek, który zaopiekował się naszym Bullseye'em? – spytała. – Naturalnie. Dziękuję.

Doll Warboys uściśnęła mi rękę, a łańcuchy na jej opalonych ramionach wydały ten sam odgłos, jaki towarzyszył przy każdym ruchu mężowi – ciche pobrzękiwanie pieniędzy, które nie zostały odziedziczone.

– Witaj, kochanie – zwróciła się do detektyw Wren, a ja przypomniałem sobie Londyn mego dzieciństwa, gdzie „kochanie” było niemal znakiem przestankowym, czułym pozdrowieniem kierowanym do obcych. Kiedy jednak Doll Warboys się uśmiechnęła, zobaczyłem bardzo zmęczoną kobietę, jakby minionej nocy nie pozwoliły jej spać dawne udręki.

Jej wnuk zginął wiele lat temu, ale nagranie z egzekucji sprawcy nadal krążyło w internecie. Stary ból odżył. Kobieta uśmiechnęła się i wyszła. Wren i ja usiedliśmy na krzesłach naprzeciwko kanapy, na której usadowił się Warboys, z monstrualnym łbem Bullseye'a na kolanach.

– Ktoś zabił Hectora Wellea – powiedziałem.

Warboys rzucił mi wściekłe spojrzenie. Dzięki temu, że zaopiekowałem się Bullseye'em, zawsze panowały między nami przyjacielskie relacje, ale nawet w najdzikszych snach nie pomyślałbym o nas jako o przyjaciółach. Jeszcze dziś, choć od czasów, gdy bracia Warboysowie stali się niemal równie sławni jak Krayowie, minęło sporo lat, dostrzegałem w nim pokłady przemocy.

W końcu zapanował nad gniewem.

– W tym domu nie wymawiamy tego nazwiska – powiedział bardzo cicho, zagłębiając palce w sierść bulteriera. Bullseye zawył, po części z rozkoszy, po części z bólu. – Nigdy nie wymawiamy tego nazwiska, Max.

To było zarazem oświadczenie, jak i groźba.

– Ale muszę o nim porozmawiać.

– Rozumiem, że musisz odfajkować swój pieprzony program: namierzyć, przesłuchać, eliminować. Ale to jest mój dom i w tym domu nigdy nie wymawiamy nazwiska człowieka, który zabił mojego wnuka. – Czekaj, aż się przeciwstawię. – Jasne?

Edie Wren wyjęła notes i zapytała:

– Gdzie pan był, kiedy wieszano Hectora Wellea?

Pod głęboką opalenizną błysnęła wściekłość, ta sama, która pozwoliła mu kiedyś rozkazać, by kapusiowi obcięto język. W końcu Warboys się roześmiał.

– Byłem w domu z Doll – rzucił, a ja przypomniałem sobie, że odpowiadał na pytania policji, zanim jeszcze Wren i ja przyszliśmy na

świat.

– Jak pan się o tym dowiedział? – spytała.

– A jak pani myśli? Telefony się rozdzwoniły. Nie przestawały dzwonić. Przyjaciele. Rodzina. Dawni koledzy. Niektórzy płakali. Wszyscy mówili to samo. „Wejdź do internetu, Paul. Ktoś wie o tego skurwiela, który zabił twojego Danny’ego”.

– Czy może pan potwierdzić swoje alibi? – spytała Wren.

– Kochanie, mogę ci dać wszystkie potwierdzenia, jakich chcesz. Ale pozwól, że zadam ci pytanie.

Uniosła notes, jakby się broniła.

– Panie Warboys...

– Czy wiesz, kiedy ostatnio skrzywdziłem kogoś dla zysku lub przyjemności? – zapytał. – W poprzednim życiu. Kiedy ludzie mówią o Krayach, Richardsonach i Warboysach, zapominają, że to wszystko skończyło się, zanim większość ludzi w tym kraju kupiła sobie kolorowe telewizory. Dopadli nas, kochanie. Twoi ludzie. Twoja banda. Dostaliśmy mocno po dupie. Charlie Richardson dostał dwadzieścia pięć lat w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym, w roku, kiedy Anglia wygrała Mundial! Parę lat później Reggie i Ronnie poszli siedzieć na trzydzieści lat, najdłuższy wyrok wydany przez sąd Old Bailey.

– Pan i pana brat dostaliście dożywocie za morderstwo – zauważyła. – Za obcięcie języka waszemu adwokatowi.

– Dowody były tylko poszlakowe – odparł. – Chodzi mi jednak o to, że czasy, kiedy Londynem kierowały rodzinne firmy, skończyły się pięćdziesiąt lat temu. Na długo poszliśmy do pierdła i albo zmarliśmy za kratami, albo wróciliśmy do innego świata. Do uroczej, wielokulturowej Anglii, gdzie czarni, Pakistańczycy, Irakijczycy zasługują na kawałek tortu, bo jeśli go nie dostaną, to naruszy się ich prawa człowieka.

– Taak, gdybyśmy tylko mogli wrócić do starych dobrych czasów, gdy Reggie i Ronnie Krayowie pomagali staruszkom przechodzić przez ulicę.

Zbył jej sarkazm machnięciem ręki.

– Teraz po prostu się nabijasz – powiedział niemal znudzonym tonem. – Jeśli jednak naprawdę uważasz, że dzisiejszy świat jest bezpieczniejszy niż w czasach młodości Reggiego, Ronniego, Charliego, Eddiego i mojej, to śnisz, młoda damo.

Warboys pochylił się i popatrzył na Edie, potem na mnie.

Teraz nie było w nim ani krztyny ciepła.

– Wiecie, co się stało z małym Danielem? Z moim wnukiem? Jechał sobie na rowerze po pasach, kiedy pojawił się ten skurwiel w porsche i go skosił. Daniel sześć miesięcy leżał w śpiączce, zanim go odłączyli. Wiecie, dlaczego mamy tego psa? Dlaczego jest u nas? Bo matka Daniela, moja najmłodsza córka, nie jest w stanie zajmować się Bullseye'em, ponieważ po śmierci syna nie doszła do siebie. Depresja. Prochy. Ataki paniki. Samookaleczenia. Rozpada się na kawałki. Nie może nawet dwa razy dziennie wyprowadzić psa na spacer. Nie może wstać z łóżka, żeby nakarmić starego Bullseye'a. Nie może wstać z łóżka, żeby się umyć i zaprowadzić córkę do szkoły. Nie widzi sensu. Nie widzi sensu pieprzonego życia. Ten skurwiel zrujnował nam życie, Max. Odsiedział dwa lata za to, co zrobił dziecku. Ja siedziałem dwadzieścia za to, co robiłem dorosłym.

– Nikt jednak nie ma prawa go zabijać – stwierdziłem. Uzmysłowiłem sobie, że w tym domu nie wymówię nazwiska Hectora Wellesa. Nie wiedziałem, czy jest to wyraz szacunku dla małego Daniela Warboysa, czy jego dziadka, czy może to, że sam go nienawidziłem.

– To jest twoje prawo, Max. Nie moje.

Oparł się na kanapie. Edie Wren zamknęła notes, spojrzała na mnie, a ja skinąłem głową. Czas ruszać.

Paul Warboys w milczeniu odprowadził nas do drzwi. Położył mi masywną dłoń na ramieniu. Spojrzałem na jego twarz; w jasnoniebieskich oczach lśniły łzy.

– Słyszałeś o jakimś Johnie Favarze, Max?

– Kto to taki? – spytałem, kręcąc głową.

– Dawno temu John Favara mieszkał w New Jersey. Pewnego dnia w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku przejechał na śmierć dwunastoletniego chłopca, Franka Gottiego. Coś ci dzwoni, Max?

Przytaknąłem. Zacząłem sobie przypominać.

– Frank był synem Johna Gottiego – powiedziałem.

– John Gotti, mafioso elegant. – Warboys zachichotał. – Szef rodziny Gambino. Ostatni ze starej szkoły szefów mafii. No więc ten John Favara przejechał małego Franka Gottiego. Wiesz, co się potem stało?

– Tak – odparłem. – John Favara został uprowadzony i ślad po nim zaginął. Zakładano, że został zamordowany za przejechanie chłopca.

– Ale w czasie, kiedy John Favara zniknął, Gotti był z żoną na Florydzie. – Paul Warboys się uśmiechnął. – Czyli nic na nich nie mieli. Z Florydy do New Jersey długa droga.

– Czy tego Gottiego nie nazywali Teflonowym Donem? – spytała Wren. – Bo żadne oskarżenie nie mogło do niego przyłgnąć? I czy jego żona nie zaatakowała Johna Favary kijem bejsbolowym, zanim zniknął?

– Przynajmniej tyle mogła zrobić – rzucił Warboys.

Pokrytą bliznami ręką przytrzymał nas, więc nie mogliśmy wyjść. Skóra w miejscu dawnych ran na knykciach bielała, mocno kontrastując z opalenizną. Takie ręce widywałem tylko u zawodowych bokserów.

Nachylił się do naszych twarzy.

To było dla niego bardzo ważne.

– Chcę powiedzieć, że gdybym zamordował tego drania, który przejechał mojego wnuka, miałbym znacznie lepsze alibi, niż mam – powiedział cicho.

Potem się roześmiał.

– I nie puściłbym tego w internecie – dodał.

O świcie Jackson wyszedł się przebiec.

Gdy około piątej wzeszło słońce, drzwi jego pokoju cicho się otworzyły, a ja wynurzyłem się z ostatniej fazy snu, tej płytkiej, pełnej marzeń. Jackson poczłapał przez mieszkanie, żeby zabrać Stana. Kiedy godzinę później wstałem, pies, radośnie wykończony, leżał zwinięty w kłębek na swoim ulubionym krześle, a Jackson szykował nam w kuchni owsiankę. Włosy miał wilgotne po prysznicu. Już wyglądał silniej niż wtedy, kiedy go znaleźliśmy.

Wyszczerywszy szczerbate zęby w uśmiechu, ruchem głowy wskazał śpiącego psa.

– Lubi panienki – rzucił. – Będziesz musiał mieć na niego oko.

– To jeszcze szczeniak. Chce się zaprzyjaźnić – odparłem. Stan chrapał. – Wykończyłeś go.

– Myślę, że wykończyła go ta labradorka nad rzeką. – Zaśmiał się, wsypując jagody do owsianki.

Potem spowaźniał.

– Dzięki za to wszystko, Max. Wiesz, za przyjęcie mnie pod dach. Doceniam to.

– Nie ma problemu.

– Niedługo stanę na nogi. Znajdę mieszkanie – zapewnił. Szarpnął mankiety koszuli. Nawet tu, w mieszkaniu, wołał zakrywać pokryte bliznami ręce. Nawet przy nas. Znów ten szczerbaty uśmiech. – Znasz powiedzenie o gościach i rybach. Po pewnym czasie zaczynają cuchnąć.

Pokręciłem głową.

– Zostań tak długo, jak zechcesz – powiedziałem.

– Może poszukam pracy naprzeciwno.

– Na targu mięsnym? Dobry pomysł. Zawsze potrzebują ludzi do rozbierania mięsa.

Jackson uśmiechnął się, zadowolony, że podoba mi się jego plan, i postawił przede mną miskę z owsianką.

Prawdę mówiąc, lubiłem jego towarzystwo. W ciągu dwóch dni spędzonych z nami robił wszystko, aby być użyteczny: wyprowadzał psa, przygotowywał śniadanie. Poza tym zdałem sobie sprawę, że brakowało mi w życiu bliskiej osoby. Jackson mówił prawdę: można zawierać nowe przyjaźnie, ale nie można zawierać starych.

Z sypialni wyłoniła się Scout, z rozczochranymi włosami, zaspana.

– Trzymałeś Stana na smyczy, Jackson?

– Przecież ci obiecałem, prawda?

Moja komórka zaczęła wibrować. Komisarz Whitestone.

– Mamy ciało Hectora Wellesa – oznajmiła. – Musieli je podzucić w nocy.

– Gdzie go zostawili?

– Jakieś sto metrów od miejsca, gdzie znaleźliśmy Mahmuda Iraniego.

– W Hyde Parku?

– Nie. Nie uwierzysz, ale znaleźliśmy je u zbiegu Oxford Street, Bayswater i Edgware Road, na placu naprzeciwno Marble Arch. Wiesz, co mam na myśli, Max?

– Tak – odparłem. – Tyburn.

* * *

Whitestone i ja wyszliśmy z białego namiotu techników kryminalistyki spoceni od upału i z powodu widoku martwego ciała Hectora Wellesa. Komisarz otarła czoło wierzchem dłoni.

– Jest w gorszym stanie niż ten pierwszy – stwierdziła.

– Mahmudowi Iraniemu związali ręce za plecami – zauważyłem. – Jemu nie.

– Wygląda, jakby usiłował rozszarpać sobie szyję.

– Tak, mógł przesuwac sznur na szyi. Irani nie miał pojęcia, co się z nim dzieje, ale Welles dokładnie wiedział, co mu robią. Pewnie oglądał egzekucję Iraniego na YouTube, więc walczył jak cholera. Zanim założyli mu strzykawkę na szyję i potem, kiedy wisiał. Ten człowiek walczył o życie, Pat. Dlatego tak wygląda.

Placyk, na którym znaleziono ciało Hectora Wellesa, ogrodziliśmy kordonem, praktycznie zamykając centrum Londynu. Taśma z napisem POLICJA. ZAKAZ WSTĘPU ciągnęła się od Park Lane na południu do Oxford Street na wschodzie, Edgware Road na północy i Bayswater Road na zachodzie. Niebieskie światła ponad dwudziestu pojazdów szybkiego reagowania pulsowały i lśniły w letni poranek jaśniej niż słońce. W oddali widać było cztery wielkie londyńskie arterie wolne od ruchu ulicznego.

Zamknięty obszar patrolowały dziesiątki mundurowych. Specjalistyczne ekipy poszukiwawcze rozeszły się we wszystkich kierunkach, by przeczesać teren wokół placyku i dalej. W oddali, w labiryncie ulic, rozlegał się hałas sparaliżowanego ruchu.

– Jesteś pewna, że chcesz utrzymać ten kordon? – spytałem. – Zamknęliśmy zachodni Londyn, a godzina szczytu jeszcze się nie zaczęła.

– Już ci mówiłam: później zawsze mogę zmniejszyć obszar, ale go nie powiększę. Kto znalazł ciało?

– Właściciel jednego z libańskich supermarketów przy Edgware Road. Edie spisuje właśnie jego zeznania. Około piątej szedł do pracy.

– Ale nie podrzucili ciała o świcie, prawda? A w nocy nikt nie zauważył zwłok w jednym z najbardziej ruchliwych miejsc Londynu?

– Może ludzie sądzili, że się upił, naćpał albo jest kolejnym rumuńskim Cyganem zażywającym drzemki dla zachowania urody. Pewnie nikt go nawet nie trącił. W nocy placyk nie jest oświetlony. Ci ludzie wiedzieli, co robią.

Patrzyliśmy na rozległą zieloną połąć Hyde Parku. W Speaker's Corner, tuż za taśmą policyjną, dostrzegłem profesora Adriana Hitchensa rozmawiającego z młodym mundurowym. Profesor trzymał pod pachą kask motocyklowy i siedział okrakiem na maszynie wyglądającej na starego royala enfielda 500 cm³, ze srebrzystoniebieską wyblakłą farbą upstrzoną rdzą.

Podeszła do nas Edie Wren.

– Powiedziałeś temu dziwakowi, że pierwsze ciało porzucono na dawnym miejscu Tyburn – przypomniała mi. – Mówiłeś mu to, ale nie słuchał, prawda? Niezły z niego ekspert!

– Sam nie miałem pewności. Aż do drugiego ciała. Teraz jednak grają nam na nosie. Chcą, żeby świat wiedział, że przywrócili karę śmierci.

Wren wodziła wzrokiem od nieskazitelnie białego monolitu Marble Arch, przez granicę West Endu przy Oxford Street, ekskluzywne hotele przy Park Lane, po Hyde Park – bezkresne morze zieleni w sercu miasta.

– Przypomnij mi, dlaczego to miejsce jest wyjątkowe? – poprosiła. – Dlaczego tak wiele dla nich znaczy?

– Tutaj koncentruje się pewnie więcej historii niż gdziekolwiek indziej w tym kraju – odparłem. – Przez tysiąc lat Tyburn było najśłynniejszym miejscem straceń w Anglii. Powieszono tu ponad

pięćdziesiąt tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. Londyn zawsze był miejscem straceń; w osiemnastym wieku po wejściu do miasta twoim oczom ukazywał się rząd szubienic. Ale Tyburn zawsze było wyjątkowe.

– Doktor Stephen twierdzi, że rytuał i ceremonia są ważne dla sprawców, równie ważne jak sama kara.

– Dla nich jest ważne, że właśnie tu stała szubienica – przytaknąłem. – Że właśnie tutaj wieszano ofiary i tu je porzucano. Jestem pewien, że chcieliby to zrobić na chodniku przed Odeon Marble Arch. I mam nadzieję, że tak jest, że tak bardzo im na tym zależy, że mają taką obsesję na punkcie symboliki, że w końcu ich dopadniemy. – Zwróciłem się do komisarz Whitestone: – Chcesz objąć Marble Arch obserwacją?

– Powinnam była zrobić to wcześniej – odparła. – Po pierwszym wisielcu. To łatwe miejsce do obserwacji dla grupy tajniaków, zwłaszcza w lecie, kiedy w Hyde Parku i wokół Marble Arch śpi więcej ludzi. Jeśli tamci zrobią to znowu, wrócą tu. A my będziemy na nich czekać.

– A zrobią to ponownie, prawda? – zapytałem.

– Nie widzę, jak mogliby się teraz zatrzymać – odpowiedziała Whitestone.

Edie Wren zerknęła na komórkę.

– Lekarz sądowy przyjechał sprawdzić, czy Welles nie żyje – powiedziała. – Wprowadzę go.

– Jest tu też historyk – rzuciłem, patrząc na Whitestone.

– Dajmy mu ostatnią szansę – odparła.

Podszedłem do taśmy, gdzie czekał stary-młody. Wcześniej zsiadł z motoru, kask położył na tylnym siedzeniu i palił zaślinionego skręta. Papieros chyba nie dawał mu szczególnej frajdy. Mimo że przyjechał na motocyklu, mimo zapowiadającego się upału profesor Adrian

Hitchens miał na sobie sztruksowy garnitur, koszulę, krawat i pogryziony przez mole sweter z wycięciem w serek. Jego głowa nie przestawała mnie zdumiewać: była tak jajowata, że niemal spiczasta. Połyskiwały na niej kropelki potu.

– Profesorze Hitchens – przywitałem go.

– Odnoszę wrażenie, że nasza znajomość zaczęła się niefortunnie. Zlekceważyłem pańską teorię związaną z Tyburn – przyznał się. – Popełniłem błąd. Miał pan rację. Przepraszam.

– To były tylko domysły. – Wzruszyłem ramionami. – Powiedziałem też panu, że nigdy nie porzuciliby ciała na placyku w środku West Endu. – Ruchem głowy wskazałem biały namiot. – A to właśnie zrobili. Czyli ja też się myliłem.

Wyciągnąłem rękę, którą profesor zaczął ścisnąć, aż spostrzegł, że podaję mu niebieskie lateksowe rękawiczki.

– Proszę je włożyć i nie zdejmować, dopóki przebywa pan na ogrodzonym terenie. Proszę niczego nie dotykać i słuchać moich wskazówek.

Hitchens złożył podpis u mundurowego policjanta, po czym włożył rękawiczki i ochraniacze na buty. Gdy wraz z policjantem unieśliśmy taśmę z napisem ZAKAZ WSTĘPU, profesor przesunął pod nią swoje okazałe ciało. Jeszcze nigdy nie widziałem tak młodego człowieka w tak fatalnej formie.

– Proszę się nie spieszyć – poradził mu młody policjant bez ironii.

Po pokonaniu taśmy Hitchens wygładził sztruksowy garnitur i odchrząknął. Gdy ruszyliśmy w stronę białego namiotu, zwolniłem kroku, żeby nie zostawiać go z tyłu.

– Musimy znaleźć miejsce egzekucji – powiedziałem. – Jeżeli porzucanie ciała ma dla nich wartość rytualną, to może miejsce zabójstwa też jest ważne. Miejsce, gdzie powieszono obie ofiary, coś mi przypomina. W tym mieście nie może być zbyt wiele piwnic

z końca epoki wiktoriańskiej. Jeśli znajdziemy miejsce zabójstw, to doprowadzi nas do sprawców. Ma pan pomysł, gdzie ono może być?

– Jak pan słusznie zauważył, tu, gdzie obecnie jesteśmy, było główne miejsce straceń w Londynie.

– Ale nie zrobili tego tutaj, prawda? Porzucają ciała w Tyburn, lecz nie wieszają ich tutaj. Ma pan jakąś sugestię?

– Jeśli rytuał jest dla nich ważny, mają w czym wybierać. To może być dowolne z miejsc straceń. Kennington Common, Shepherd's Bush, Tower Hill, Charing Cross. Piratów wieszano w East Wapping. Były też egzekucje w Smithfield, chociaż tam preferowano palenie na stosie i gotowanie, zwłaszcza podczas szesnastowiecznych procesów o herezję. Karola Pierwszego stracono w Whitehall. Ale jego ścięto... Jeśli mówimy konkretnie o wieszaniu...

– A co z Newgate? – zapytałem. – Czy po zakończeniu publicznych egzekucji w Tyburn nie wieszano ludzi w Newgate?

Hitchens pokiwał wielką jajowatą głową.

– Ich wybór mógłby paść na Newgate z wielu powodów. Przez osiemset lat stała tam szubienica, a po zakończeniu publicznych egzekucji w Tyburn w tysiąc siedemset osiemdziesiątym trzecim roku jeszcze przez prawie sto lat wieszano ludzi w Newgate. Egzekucje cieszyły się tak wielką popularnością jak dzisiaj finały pucharu Anglii. Tłumy wylegały, żeby patrzeć. Panował ponoć niesłychany ścisk. Kiedy ludzie się rozchodzili, często kilkadziesiąt osób tratowano na śmierć. Ale więzienie w Newgate zamknięto w tysiąc dziewięćset drugim roku, a w tysiąc dziewięćset czwartym zburzono.

– Nic nie zostało?

– Zburzono je całkowicie i na jego miejscu postawiono Old Bailey. Na ścianie Old Bailey jest dziś tablica. Newgate praktycznie starto z powierzchni ziemi. Brutalną brytyjską sprawiedliwość zastąpiono,

w teorii, nową, bardziej oświeconą. W Old Bailey nie wykonywano egzekucji.

Zatrzymaliśmy się przy białym namiocie.

W środku technicy w kombinezonach z tyveku, niebieskich rękawiczkach, ochraniaczach na buty i maskach robili zdjęcia, posypywali proszkiem, poruszali się z nienasyconą ciekawością, pragnąc zarejestrować absolutnie wszystko, jak turyści na wrogiej planecie.

Spojrzałem na Hitchensa.

– Naprawdę zamierza pan mi pomóc, profesorze? Nie marnuj mojego czasu, Hitch... Mogę na ciebie mówić Hitch?

– Proszę, detektywie.

– Jeżeli szukasz kilku smacznych anegdot, żeby wieczorami raczyć nimi przy sherry kolegów z uczelni, już teraz możesz się z tego wypisać. Nie musisz mnie lubić. Jeśli jednak zostaniesz, musi mi pan pomóc.

– Chcę ci pomóc. Naprawdę.

Przez chwilę mierzyłem go wzrokiem.

W końcu skinąłem głową i weszliśmy do namiotu obejrzeć ciało.

Hector Welles.

Z jego szyi została miazga surowego, krwawego mięsa. Na naszych oczach technik uzbrojony w długie szczypce chirurgiczne starannie wyjął coś ze zmasakrowanej szyi i wprawnym ruchem wsunął do plastikowej torebki na dowody.

Historyk rozdziawił usta z odrazą i zdumieniem.

Z niedowierzaniem patrzył na ciało. Nie mam pojęcia, czego się spodziewał. Z pewnością nie tego: człowieka, który w ostatnich rozpaczliwych chwilach życia usiłował usunąć duszący go sznur, rozdzierając własne gardło.

Hector Welles wyglądał tak, jakby od brody po klatkę piersiową obdarto go ze skóry. W miejscu szyi widniała odrażająca masa mielonego mięsa.

– Dobry Boże... – wykrztusił Hitchens. – Co on ma w gardle? To chyba nie...

Technik delikatnie wyjął coś szczypcami. W sumie było tego dziesięć.

Skinąłem głową.

– Paznokcie – wyjaśniłem. – Paznokcie Hectora Wellesa. Kiedy wisiał, tak mocno szarpał sznur na szyi, że wyrwał sobie wszystkie paznokcie.

Profesor cicho zwymiotował na swoje niebieskie ochraniacze na butach.

W namiocie powiał letni wietrzyk.

Wzdrygnąłem się. Z powodu bliskości tej grozy poczułem gęsią skórę. Wiatr wśród drzew w Hyde Parku brzmiał tak, jakby zawyły wszystkie duchy Tyburn.

10

Właśnie pakowałem rzeczy na siłownię. Scout spała u swojej przyjaciółki Mii, a targ mięsny na naszej ulicy zaczynał nocną działalność. Po dniu spędzonym przy Marble Arch wiedziałem, że nie zasnę, jeśli nie wykończę się u Freda.

Wtedy zadzwoniła Edie Wren, by donieść o naszym pierwszym przełomie.

– Dobra wiadomość jest taka, że mamy odciski palców. Wróciły wyniki badań Mahmuda Iraniego i Hectora Wellesa. Na ubraniach obu znaleziono ten sam odcisk. – W jej głosie słychać było podniecenie. – To odcisk przez rękawiczkę, Max, ale naprawdę wyraźny. Kciuk. Odcisk lewego kciuka u obu denatów.

Większość przestępców uważa, że rękawiczki chronią przed zostawianiem odcisków palców. Nie jest to jednak prawda, zwłaszcza w przypadku nowoczesnych rękawiczek, wykonanych z lateksu lub podobnego materiału. Im cieńsza rękawiczka, tym bardziej prawdopodobne, że zostaną znaczące zgrubienia, pętle i zawijasy.

– A zła wiadomość? – spytałem.

– Tego odcisku nie ma w IDENT1.

IDENT1 to główna krajowa baza danych zawierająca odciski palców blisko dziesięciu milionów osób. Pozostaje, bagatela, zaledwie pięćdziesiąt milionów ludzi, których tam nie ma: część populacji, która nigdy nie weszła w kontakt z policją.

– A obaj nasi potencjalni podejrzani są w IDENT1 – powiedziałem. – Ba zarówno Paul Warboys, jak i Barry Wilder są notowani.

– Wilder z powodu młodzieńczych wybryków stadionowych, a Warboys jako zawodowy przestępca – dodała.

– Jesteśmy pewni, że to nie oni?

W przeciwieństwie do tego, co można zobaczyć na filmach, analiza odcisków palców nie jest nauką ścisłą. Specjalistom od daktyloskopii zdarzało się popełniać błędy. Do roku 2001 obowiązywał standard szesnastopunktowy. Odcisk palca można było przypisać podejrzanemu, jeśli zgadzał się w szesnastu punktach. Potem system zarzucono, ponieważ nie działał.

– Nie ma nawet odległego podobieństwa, Max.

– Nadal jednak nie mamy miejsca zbrodni, czyli nie dysponujemy odciskami palców zdjętymi z powierzchni. Paul Warboys lub Barry Wilder mogli zostawić na miejscu zbrodni odciski rękawiczek, odciski palców, ślady stóp czy DNA. Ten jeden odcisk kciuka nie oznacza, że Barry Wilder, Paul Warboys albo obaj nie znajdowali się na miejscu. Nie znaczy, że nie mieli z tym nic wspólnego.

– Ale sprawia, że jest to o wiele mniej prawdopodobne.

– Owszem. – Musiałem przyznać jej rację.

Do mieszkania wszedł Jackson, spocony po wieczornej przebieżce. Stan zeskoczył z kanapy i podreptał do niego na powitanie. Obaj patrzyli, jak rozmawiam przez telefon.

– Wiesz, co to oznacza, prawda? – spytała Wren.

– Istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że ci faceci nie byli notowani.

– Czyści. Cholernie nienawidzę czystych. Do zobaczenia rano, Max.

– To teraz gorący temat – powiedział Jackson, drapiąc Stana w kark.

Przytaknąłem.

– Kim ci, co wieszają tych ludzi? – spytał Jackson. – To jakaś straż obywatelska?

– Pracuje z nami pewien psycholog – odparłem. – Doktor Joe Stephen, Amerykanin. Według niego, ci ludzie uważają, że wymierzają karę śmierci. Nie sądzą, by dopuszczali się zabójstwa. Nie patrzą na to w ten sposób. Wierzą, że wykonują wyrok śmierci.

– Ale przecież zabijają same męty, prawda? Pedofila i kierowcę, który zbiegł po przejechaniu dziecka.

– Nie wolno nikogo zabijać, Jackson – powiedziałem z uśmiechem. – To wbrew prawu.

Mój przyjaciel się zamyślił.

– Mimo to nie możesz się czuć dobrze, skoro musisz ich ścigać, Max. Jakbyś był prawnikiem czy kimś takim.

Zarzuciłem na ramię torbę z rzeczami na siłownię.

– Czy dali ci wybór przed wysłaniem cię do Afganistanu, Jackson? Spytali, czy nie wolałbyś pojechać gdzie indziej?

Pokręcił głową.

– Pojechałeś tam, dokąd cię posłali – ciągnąłem. – Tak samo jest tutaj. Wykonujemy tylko swoją pracę. Prawo jest dla wszystkich, nie tylko dla tych przyzwoitych. Idę na siłownię.

– Trochę późno na trening – zauważył Jackson.

– Muszę się zmęczyć po całym dniu – wyjaśniłem. – W przeciwnym razie nie zasnę.

– Pójdę z tobą.

– Dopiero co biegałeś.

– Jeszcze jedna godzina wzmożonej pracy serca mnie nie zabije. – Zaśmiał się, a potem znowu zamyślił. – Postępują nielegalnie, ale czy to znaczy, że źle?

– Mówisz tak, jakbyś ich podziwiał.

– A ty tak, jakbyś ich nie podziwiał. Pedofil, Max. Kierowca, który zbiegł. Niewielka strata.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– Kto uczynił ich Bogiem? Kto im powierzył rolę sędziego, ławników i kata? Oni nie są prawem.

– Zapomniałem. – Uśmiechnął się. – Ty nim jesteś.

– Byłem w Old Bailey – powiedziałem. – Kilku młodziaków skopało na śmierć człowieka. Nazywał się Steve Goddard i miał czterdzieści lat. Tamci dostali niski wyrok, co mnie wkurzyło. Ruszyłem na nich. Chciałem zetrzeć im z twarzy te uśmiechy. Chciałem ich skrzywdzić, ukarać tak, jak nie zrobił tego sąd. Chciałem im dać to, na co zasłużyli. Głupie, co? Przecież wychowuję Scout. Na co jej się przydam w pierdlu? To była tylko chwila. Stanął przede mną woźny sądowy i uspokoiłem się.

– Ty się uspokoiłeś, Max. Ale są tacy, którzy się nie uspokajają. – Jackson zamilkł na chwilę. – Ale to wieszanie jest dziwne. Zabawny sposób załatwiania sprawy. Widziałeś kiedyś coś takiego?

– Nigdy – odparłem, kręcąc głową.

– Nawet jeśli nienawidzisz tych drani, po co zawracać sobie głowę zakładaniem im pętli na szyję.

– A co ty byś zrobił? – spytałem z uśmiechem. – Zatlukłbyś ich na śmierć drewnianą łyżką?

Nie odwzajemnił uśmiechu. Odwrócił ode mnie spojrzenie ciemnych oczu.

– Gdybym chciał zabić kogoś, kto zasługuje na śmierć, nie powiesiłbym go.

– Co byś zrobił, Jackson?

Pokręcił głową.

– Nie założyłbym mu stryczka na szyję – powiedział.

– Ale co byś zrobił? Strzeliłbyś mu w łeb z kilkuset metrów?

– Nie jestem snajperem. Jestem kucharzem. Podkradłbym się na tyle blisko, żeby powąchać, co jadł na śniadanie. – Wpatrywał się we

własne otwarte dłonie, jakby zauważył je po raz pierwszy. – Potem jeden raz w głowę i jeden w serce.

Umilkliśmy. W końcu Jackson posłał mi szczerbaty uśmiech. Wskazał moją torbę.

Czterystugramowe rękawice. Koszula. Spodenki. Trampki. Ochraniacz na dźiąsła.

– Pożyczysz mi sprzęt? – poprosił.

* * *

Tłukliśmy worki treningowe w Smithfield ABC.

Jeden ze słynnych zestawów Freda: dziesięć trzyminutowych rund z workami, na zmianę z ciężkim workiem i speedballem, z minutowymi przerwami między rundami na dziesięć pompek i dziesięć powitań słońca. Nie dajesz sercu odpocząć. Odpoczywasz podczas pracy.

– Macie szczęście, że możecie trenować! – pokrzykiwał do nas Fred.

– Gdyby to było proste, każdy by to robił! Ból to tylko słabość opuszczająca ciało!

W połowie cyklu przerwałem speedball, próbując złapać oddech, podczas gdy Jackson grzmocił w ciężki worek; skóra głucho tłukła o skórę. Miał na sobie moją koszulkę z długimi rękawami o numer dla niego za dużą.

Śmiał się z mojego wyczerpania.

– Zawsze byłem silniejszy od ciebie! – zawołał.

To nieprawda. Ja zawsze byłem silniejszy.

Ale on był bardziej szalony.

* * *

Na Charterhouse Street tłoczyli się pijacy.

Smithfield, bardziej niż jakakolwiek inna część miasta, nigdy nie spał. Targ mięsny działał przez całą noc. Ludzie w klubach przy Charterhouse tańczyli do białego rana. Puby miały takie licencje, że ich klienci – również tragarze z targu – mogli wychylić kufel o świcie. W tej okolicy pijacy nie byli niczym niezwykłym.

Ludzie, których mieliśmy przed sobą, należeli jednak do wrednego sortu pijaków. Stali przed jednym z klubów, do którego nie pozwolono im wejść. Odmówiono im grzecznie, lecz stanowczo. Jackson i ja zeszliśmy na jezdnię, żeby ich ominąć, gdy sprzeczali się z bramkarzami.

– Czuję świnię – powiedział jeden z pijaków. Najniższy. Kurdupel. Ci zawsze są najbardziej wyszczekani. Napoleon w koszulce polo.

Szliśmy dalej.

Zauważyłem, że Jackson ogląda się przez ramię, potem patrzy na mnie.

– Idź dalej – nakazałem mu.

– Możemy nie mieć takiej opcji – odparł.

Tamci ruszyli za nami. Obejrzałem się przez ramię. Pięciu. Koszulki polo w ciepłą letnią noc. Plamy po kebabach. Trzech trzymało flaszki. Jedna eksplodowała mi pod nogami.

Wszędzie szkło i piwo. Po chwili pijacy stali przed nami.

– Dokąd to, świnię? – spytał jeden, wychodząc do przodu i stając tuż przede mną. Owionęła mnie woń piwa, fajek i taniego żarcia. Tamten wzbudzał w sobie szal, jak to mają w zwyczaju, zanim rozpęta się przemoc. – Chyba znasz mojego kumpla, świnię. Coś mi się zdaje, że pomogłeś posłać go do pierdła.

Dla uzyskania przestrzeni zrobiłem duży krok w tył i wyprowadziłem cios prawą pięścią w jego serce. To zawsze ich

hamuje i zamyka gębę. Mocny cios w serce. Nikt nie spodziewa się silnego uderzenia w to miejsce.

Chybiłem, bo w chwili, gdy wyprowadzałem cios, pijak odwrócił się, by powiedzieć coś do kumpli, przez co trafiłem go wysoko w ramię, nie krzywdząc go specjalnie.

Nagle na moją twarz spadł grad ciosów. Tłukł mnie w ucho, czoło, kość policzkową. Inne ciosy nie dochodziły. Potem jeden trafił mnie w szczękę i znalazłem się na czworakach. Kopnął mnie w żebra. Potem kolejny raz, z drugiej strony. Nie mogłem wstać.

Przez gąszcz kopiających mnie nóg zobaczyłem Jacksona.

Kurdupel, który wydzierał mi się w twarz, pierwszy poleciał na glebę; Jackson kopnął go mocno w kolano i trafił w kość i więzadło, rozdzierając je. Mały runął z krzykiem, na który pozostali się odwrócili.

Jackson niczego nie marnował.

To nie były kopniaki, jakimi uraczyli mnie tamci. Wyrafinowane, oszczędne ruchy szokowały gwałtownością. Mój przyjaciel unosił nogę, skręcał ją, celował w kolana. I trafiał. Drugi pijak zaliczył glebę, z twarzą skrzywioną bólem. Dwóch innych momentalnie rzuciło się na Jacksona. Ten zrobił krok w przód, uniósł ręce i wepchnął kciuki w oczodoły przeciwników. Kiedy zawyli, odchylili się i chwycili za twarze, Jackson kopnął ich w kolana. To nie była walka, jakiej można się nauczyć na siłowni. Nie było w niej krztyny uczciwości. Ani szacunku dla przeciwnika. On ich zniszczył. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek jeszcze będą chodzić.

Z pięciu został na nogach jeden. Jackson szybko zbliżył się do niego, grzmotnął prawym łokciem w usta i na chodnik posypały się zęby. Jeszcze zanim pijak upadł na chodnik, Jackson trafił go w oba kolana.

Potem pomógł mi wstać i zaczęliśmy uciekać.

Biegając, nie rozmawialiśmy. Milczeliśmy też, kiedy się myliśmy, i potem, gdy opatrywałem ranę na jego łokciu: efekt kontaktu z zębami ostatniego z napastników.

W końcu popatrzyliśmy po sobie.

– I ty byłeś kucharzem? – zapytałem.

Przed konferencją prasową w komisariacie głównym na West Endzie funkcjonariuszka od kontaktów z mediami miała udzielić wskazówek komisarz Pat Whitestone, ale jej rolę praktycznie przejęła komendant Swire.

– Pat, musimy wysłać jasny komunikat: nikomu nie wolno brać prawa w swoje ręce. Takie działanie nie polepsza prawa, ale je niszczy. Po prostu raz po raz podkreślaj takie stanowisko.

– Telefon, pani komisarz – oznajmił stażysta Billy Greene.

W oczach Whitestone, za okularami, błysnął gniew.

– Mówiłam: żadnych telefonów, Billy.

– Ten chyba pani odbierze... – Zawahał się. – To pani syn.

Podeszła do telefonu, ja natomiast ruszyłem do okna, gdzie Edie Wren wyglądała na ulicę. Cyrk zaczynał się na dobre. Ekipy kamerzystów, wozy transmisyjne i dziesiątki reporterów.

– A oni nawet nie są jeszcze seryjnymi zabójcami – powiedziała Wren.

– Daj im czas – rzuciłem. – Mają na koncie dwójkę. Jeszcze jedna ofiara i trafią do tej kategorii.

– Wszystko w porządku, Pat? – odezwała się za nami komendant.

Na pobladłej twarzy Whitestone malował się szok.

– To Just. Mój syn. Just. Myślałam, że wczoraj nocował u przyjaciela. Okazuje się, że leży w szpitalu. Powiedziano mi, że spędził tam całą noc. Zdarzył się... wypadek. Ktoś... bandyci uderzyli go w oczy butelką. – Z trudem starała się nad sobą zapanować. Zdjęła

okulary i przetarła je. Zwróciła się do komendant Swire: – Mówią, że może stracić wzrok.

Syn Whitestone był dla mnie zaledwie cieniem, jaki migał mi nocą na ekranie komputera, kiedy matka rozmawiała z nim z pracy przez Skype'a. O rutynowych rzeczach składających się na życie rodzinne: pracy domowej, posiłkach, triumfach i rozczarowaniach, planach na jutro. Nagle poczułem, że już nigdy nie będzie takim samym chłopcem.

– Idź do niego – powiedziała komendant. – Po prostu idź.

– Ale konferencja prasowa...

– Idź do syna – poleciła Swire i odprowadziła Whitestone do drzwi.

– Idź do niego natychmiast. Nie ma nic ważniejszego.

Po wyjściu komisarz funkcjonariuszka odpowiedzialna za kontakty z mediami stanęła przed komendant Swire, pokręciła głową i spytała:

– Ale kto weźmie na siebie konferencję prasową?

– Najstarszy rangą policjant prowadzący sprawę – odparła Swire i bez entuzjazmu spojrzała na mnie.

* * *

Patrzyłem na zbite szeregi reporterów, którzy wcisnęli się do sali głównego na West Endzie. Zaszło mi w ustach, za to dłonie zwilgotniały. Koszula lepiła się do pleców, w głowie miałem zupełną pustkę.

– Dzień dobry – powiedziałem.

Nikt nie podniósł wzroku.

– Poczekaj chwilę – włączyła się funkcjonariuszka od mediów. – Masz wyłączony mikrofon.

– Jasna cholera – zakląłem sekundę po tym, jak go włączyła. Teraz wszyscy na mnie patrzyli. Niektórzy się uśmiechali. Inni kręcili

głowami.

– Aha – zauważyłem rezolutnie. – Jestem detektyw Wolfe. Udzielę państwu informacji na temat dwóch zabójstw, nad którymi aktualnie pracujemy.

Zajrzałem do notatek, ale reporterzy już zasypywali mnie gradem pytań.

Próbowałem pamiętać o przekazie. Przekazie, jaki miałem wygenerować. Mówiącym o tym, że prawo przestaje istnieć, kiedy ludzie biorą je we własne ręce. Mikrofon zawył z powodu sprzężenia.

– Detektywie Wolfe? – odezwała się wysoka ruda kobieta o zaciętym wyrazie twarzy. – Scarlet Bush.

– Scarlet – powiedziałem.

– Jak pan skomentuje fakt, że internauci postrzegają tych ludzi jako bohaterów.

– To nie są bohaterowie.

Wykrzywiłem usta, by pokazać, że sam pomysł uważam za absurdalny. Wargi wyschły mi na wiór, ale po plecach spływał ciepły pot.

– To, co widzieliśmy na tych dwóch filmach, nie jest prawem, ale tym, co się dzieje, kiedy prawo się załamuje – oświadczyłem.

Scarlet Bush pokręciła głową.

– Przecież obaj powieszni dopuścili się niewiarygodnych przestępstw. Jeden należał do gangu gwałcicieli. Drugi przejechał chłopca. Jak pan może tu stać i mówić...

– Nieważne, co oni zrobili – przerwałem jej i sala oszalała.

– Nieważne, co oni zrobili?

– Nieważne, co oni zrobili?

– Nieważne, co oni zrobili?

Sięgając po wodę, pochwyciłem wzrok wpatrzony we mnie komendant Swire. Przewróciłem szklankę.

– Do kurwy nędzy! – zaklęła funkcjonariuszka od kontaktów z mediami, kiedy woda chlusnęła jej na sukienkę.

Scarlet Bush się zaśmiała.

– Ofiarami obu tych ludzi padły dzieci – powiedziała. – Niewinne dzieci, którym podli ludzie zniszczyli życie. A pan twierdzi, że nie ma znaczenia, co zrobili?

– Chciałem powiedzieć...

Funkcjonariuszka od kontaktów z mediami nachyliła się do mikrofonu i zawołała:

– Koniec pytań!

– Ostatnie pytanie – rzuciła Scarlet Bush. – Jak pan sypia w nocy, detektywie?

* * *

Zanim dotarłem do szpitala, stało się to gorącą wiadomością w internecie.

NIEWAŻNE, CO ONI ZROBILI!

Grubiański policjant obraża niewinnych.

Scarlet Bush, korespondentka kryminalna

Marny dzień w pracy, pomyślałem.

Pat Whitestone spała w poczekalni.

Zwinęła się na plastikowych krzesłach przytwierdzonych do lepkiego dywanu, na wypadek gdyby ktoś uznał, że warto je ukraść. Bez okularów jej twarz wyglądała tak bezbronne, że z trudem rozpoznałem koleżankę z pracy.

Poszedłem po kawę z automatu, który minąłem, wchodząc do szpitala. Kawa okazała się czarna i gorąca jak ukrop. Stojąc

w korytarzu, popijałem ją, w miarę jak stygła; patrzyłem na ubranych w szlafroki pacjentów chorych na raka, palących ostatniego papierosa tego dnia za dużymi przeszklonymi drzwiami wejściowymi. Gdy wróciłem do poczekalni, Pat siedziała na krześle.

– Max....

Zdałem sobie sprawę, że w tym miejscu nie udało się jej odpocząć. Założyła okulary i chyba nigdy wcześniej nie wyglądała tak bezbronne.

– Jak się ma twój syn? – spytałem. – Co z nim?

Pokiwała głową, jakby próbowała ogarnąć umysłem nową rzeczywistość.

– Stracił wzrok w jednym oku – odezwała się w końcu. – Ktoś uderzył go butelką w twarz, Max. – Włożyła tenisówki w rozmiarze dziecięcym i przeczesła dłonią zmierzwione jasne włosy. – W klubie. Doszło do bójki. O jakąś dziewczynę. Just podobno patrzył na jakąś dziewczynę. Uderzono go butelką w prawe oko, odłamki szkła trafiły w lewe. Stracił prawe oko. Już po nim. W lewym odkleiła się siatkówka, jest sporo odłamków szkła... próbują je uratować. Doktor Patel robi, co w jego mocy, Max. Ale w oku... w lewym oku... są odłamki szkła.

– Pat – wykrztusiłem. – Mój Boże, Pat.

Moja koleżanka podrapała się w głowę. Westchnęła. Wypuściła powietrze.

– Na takim jesteśmy etapie – powiedziała. – Czekamy na nowiny na temat drugiego oka. – Potrząsnęła głową, spojrzała na mnie i na jej twarzy zaczął rozkwitać uśmiech.

– A co z tobą?

– Ze mną?

– Zostawiłam cię w opałach. Na posterunku. Przed konferencją prasową. Jak poszło?

- Nie widziałaś jej?
- Nie.
- Oczywiście, że jej nie widziałaś. Poszła dobrze.
- Świetnie.

Miałem ochotę ją objąć. Popatrzyła mi jednak prosto w oczy i ujrzałem, że nadal jest kobietą, jaką znałem, nadal jest moją szefową, najbardziej doświadczoną detektyw od zabójstw na Savile Row 27. Chwila minęła, choć oczy Pat lśniły od łez i nigdy nie czułem się jej bliższy.

Usiadłem obok niej.

- Opowiedz mi dokładnie, jak to się stało, Pat.

Znów potrząsnęła głową, po czym zrelacjonowała zdarzenie we fragmentach. Nie miało sensu, a zarazem dawało się upiornie łatwo wyobrazić.

– Zwykle bzdury nastolatków. Zaczęło się od kłamstwa. Just powiedział mi, że idzie do przyjaciela na gry wideo. Uwierzyłam mu. Ten przyjaciel okłamał matkę w identyczny sposób. Poszli obaj do klubu. Wypili kilka drinków. Żeby udawać, że już nie są dziećmi. Tak postępują nastolatki, Max. Just z kilkoma znajomymi ze szkoły, miłymi dzieciakami, siedzieli w małym pubie na tyłach Holloway Road, kiedy nagle inni chłopcy zaczęli krzyczeć na Justa, że patrzy na dziewczynę, ale jego przyjaciel... rozmawiałam z nim... przez całą noc siedział tu, w szpitalu, bo bał się wracać do domu... Więc ten przyjaciel zapewniał, że Just nic nie zrobił, nawet nie widział tej dziewczyny, ale oni... jeden z nich... jeden z gangu Dog Town Boys... uderzył go w twarz butelką... rozbiła się, szkło... jego oczy...

Ująłem jej dłonie w swoje.

Nie musiała więcej mówić. Ot, zwyczajne szaleństwo, jakie wydarzają się co noc przez okrągły rok. Tyle że zazwyczaj przytrafiają się komuś innemu.

– Jesteśmy taką małą rodziną, Max. Tylko ja i Just. Człowiek nie zdaje sobie z tego sprawy, dopóki nie stanie się coś takiego. Czuję, że powinnam do kogoś zadzwonić. Ale do kogo? Moi rodzice nie żyją. Nie mam rodzeństwa. Nie mam do kogo zadzwonić.

– A co z jego ojcem? – spytałem, ale na widok jej gniewnej twarzy momentalnie pojąłem, że nie należało tego mówić.

– On dla nas umarł. Zostawił nas własnemu losowi. I damy sobie radę. Nawet teraz.

Milczeliśmy, dopóki nie przyszedł lekarz. Trzydziestokilkuletni Azjata w niebieskim fartuchu wyraźnie się spieszył. Rozejrzał się po poczekalni.

– Pani... Whitehead?

– Whitestone – poprawiła go Pat, wstając. – Gdzie jest ten drugi lekarz? Doktor Patel?

– Dyżur doktora Patela się skończył. Jestem doktor Khan. Właśnie zakończyłem operację pani syna Jasona.

– On ma na imię Justin.

– Właśnie. – Lekarz spojrział na Pat beznamiętnie, a ja poczułem, że zamiera mi serce. – Niestety, nie mam dobrych wiadomości – powiedział, zaglądając do notatek. – Udało się nam usunąć odłamki szkła z lewej tęczówki pani syna oraz z tkanki wspierającej, ale nerw wzrokowy oderwał się od dna oka...

Spojrział na Pat i nerwowo oblizał wargi, czekając, aż sama wypełni straszliwe puste miejsce w zdaniu.

Ona jednak milczała.

– Co to znaczy, doktorze? – spytałem.

– Oko jest kulą, która z przodu ma przezroczyste wybrzuszenie, czyli rogówkę, z tyłu zaś nerw wzrokowy. Szkło znajdowało się w rogówce, ale nerw wzrokowy, przekazujący impulsy optyczne do mózgu, został zerwany...

– Ale co to oznacza?

– Bez nerwu wzrokowego widzenie jest niemożliwe.

– Czyli on jest... – wykrztusiła Pat, z trudem przełknąwszy ślinę. Przełknęła też wściekłość. Lęk. Niedowierzenie. Nie miałem pojęcia, co przeżywa, bo to nie moje dziecko leżało na sali operacyjnej. Nie wypowiedziała tego słowa. Wydawało się, że nigdy nie przejdzie jej przez usta, do końca życia. A potem je wymówiła.

– Ślepy? – zapytała. – On jest ślepy?

Lekarz mówił coś o korzyściach płynących z pomocy psychologicznej, ale go nie słuchała. Wołając imię syna, wypadła z poczekalni na korytarz.

– Just! Just! Just!

– Nie może pani... – zaczęła dyżurna pielęgniarka.

– On odpoczywa po operacji – powiedziała druga, stojąca przed drzwiami pokoju chłopaka. – Nie może pani...

Ale Pat mogła i to zrobić.

Wszedłem za nią.

Pokój był pogrążony w mroku, podobnie jak jej syn, wciąż nieprzytomny po narkozie. Białe bandaże na oczach zakrywały połowę twarzy.

– Mój piękny syn – wyszeptała Pat Whitestone, osunęła się na kolana przy łóżku i popłynęły łzy, bezradne, niewyczerpane łzy. – Jestem tutaj.

Stałem obok, ale jej nie dotykałem ani się nie odzywałem.

Żałowałem, że w pokoju nie ma ojca, dziadków czy rodzeństwa, którzy pomogliby Pat dźwigać brzemię, jakiego nie powinna dźwigać sama. Poza mną nie było jednak nikogo.

– Skurwysyny – rzuciła. – Pierdolone skurwysyny.

Zamknęła oczy i zaczęła się kołysać w przód i w tył, zaciskając usta w wyrazie gwałtownej wściekłości, jakiej nigdy wcześniej u niej nie

widziałem. Na moich oczach zaczęła tracić oddech, uniosła głowę i mocniej zacisnęła powieki, jakby widziała drani, którzy zrobili to jej synowi, jak gdyby dostrzegała ich twarze i widziała, że otrzymują zasłużoną karę.

Jak gdyby – ta myśl przyszła mimowolnie – widziała ich wiszących na sznurze i głośno błagających o litość.

12

Kiedy rano dotarłem na Savile Row 27, miałem nadzieję ujrzeć znajomą postać Pat kierującą życiem komisariatu, ale najwyraźniej nadal przebywała w szpitalu u syna.

Stażysta Billy Greene umieścił na dużym ekranie zdjęcie Hectora Wellesa, które musiał ściągnąć ze strony internetowej denata: fotografia portretowa, jakie duże korporacje robią swoim pracownikom. Przebiegły uśmiech Wellesa wyrażał pewność gwarantującą, że twoje pieniądze będą u niego bezpieczne.

Zdjęcie sąsiadowało z policyjną fotografią Mahmuda Iraniego.

Colin Cho wraz z grupą swoich ludzi z jednostki do spraw przestępczości internetowej nachylali się nad laptopem. Doktor Joe Stephen jadł mrożony jogurt, wpatrując się w wielką mapę ścienną Londynu. Analityczka głosu Tara Jones raz po raz puszczała krótką kwestię dialogu powieszzonego Hectora Wellesa. Zatrzymywała film i puszczała od nowa, czarne włosy opadały jej na twarz i musiała je odgarniać.

Ani śladu komisarz Whitestone.

– Szefowa się nie odzywała? – spytałem.

Billy pokręcił głową.

– Powinienem do niej zadzwonić? – spytał.

Pomyślałem o ociemniałym chłopcu w szpitalnym łóżku.

– Daj jej spokój – odparłem.

Teraz to ja kierowałem dochodzeniem.

„Czy wiesz, dlaczego znalazłeś się na tym miejscu egzekucji? Czy wiesz... czy wiesz... czy wiesz?”

Wykres na laptopie Tary Jones podnosił się i opadał w takt słów.

„Czy wiesz, dlaczego znalazłeś się na tym miejscu egzekucji?”

– Jak idzie? – zainteresowałem się, ale zignorowała mnie i nadal ślęczała nad tą pojedynczą kwestią.

„Czy wiesz... czy wiesz... czy wiesz?”

Nasz spec od historii, profesor Hitchens, wciąż wyglądający marnie po oględzinach Hectora Wellesa, stał przed wielką mapą miasta.

– Czyli ciało Hectora Wellesa znaleziono w Tyburn? – zagadnął go doktor Stephen.

– Na tyle, na ile możemy ustalić – odparł Hitchens. – Sprawa nie jest jednak taka prosta. Detektyw Wolfe miał rację: chodziło o szubienicę w Tyburn. Ale jej dokładne położenie jest dyskusyjne, ponieważ Potrójne Drzewo z Tyburn było przenośne. – Zerknął na mnie. – Tyburn niewątpliwie znajdowało się tutaj, ale na przestrzeni wieków sama szubienica stawała pewnie w dwudziestu różnych miejscach. Ta część miasta najwyraźniej ma jednak głębokie znaczenie dla... jak ich się nazywa? Sprawców.

– Jak to się odbywało? – spytała Edie Wren. – Dawno temu? Rozkładali przenośną szubienicę jak zestaw z IKEI i wieszali skazańców?

– Skazaniec stał na wozie zaprzężonym w konia – wyjaśnił Hitchens. – Sznur zarzucony na jego szyję przywiązywano do belki szubienicy. Wóz ruszał i śmierć następowała nie w wyniku złamania kręgow szyjnych, ale uduszenia. Skazańcy pochodzili głównie z biedoty, chociaż Samuel Pepys widział, jak w Tyburn wieszają jednego z jego najlepszych przyjaciół, człowieka szlachetnie urodzonego. Egzekucje nie były ani szybkie, ani ładne. Nie miały takie być.

– Gdybyśmy więc mieli ogrodzić teren, co należy uznać za Tyburn?
– spytałem.

Hitchens zakreślił na mapie spory obszar, obejmujący Hyde Park oraz znaczną część West Endu.

– Większość pięćdziesięciu tysięcy egzekucji przeprowadzono prawdopodobnie na północ od Marble Arch. Ale wszystkie drogi w tym rejonie prowadzą do Tyburn. Do osiemnastego wieku dzisiejszą Park Lane nazywano Tyburn Lane, natomiast Oxford Street nazywała się Tyburn Road.

– Czyli ciało mogli porzucić wszędzie, począwszy od Hyde Park Corner aż do Oxford Street i nadal byłoby to Tyburn? – spytałem.

– Teoretycznie tak – odparł Hitchens, wzruszając ramionami.

– Naprawdę sądzisz, że zjawiliby się tam, skoro szukają ich wszyscy londyńscy tajniacy? – zapytała detektyw Wren.

Spojrzałem pytająco na doktora Stephena.

– Uważam, że pokusa trzymania się rytuału może się okazać dla nich nie do odparcia – powiedział. – Zakładając, że zabiją znowu.

– A uważa pan, że to zrobią, doktorze?

– Nie sądzę, by mogli się zatrzymać. Myślę, że postawili sobie za cel ukaranie wszystkich niegodziwców na świecie.

– Kim oni są, doktorze? Jakiego rodzaju ludzi szukamy?

– Najwyraźniej uważają, że wymiar sprawiedliwości szwankuje. Mają obsesję na punkcie procesu sądowego, w każdym razie w ich wydaniu. Obsesję na punkcie Alberta Pierrepointa, sądów kapturowych, odczytywania zarzutów. Podejrzewam, że mieli jakieś doświadczenia z prawem i niezbyt im się podobały.

Czekałem, aż doktor Stephen powie to, o czym obaj myśleliśmy. On jednak tylko dokończył mrożony jogurt, ponieważ te słowa wypowiedziane w komisariacie zabrzmiałyby jak bluźnierstwo. Dlatego go wyręczyłem.

- Mogą być gliniarzami – rzuciłem.
- Niewykluczone – przyznał psycholog.

Odwróciłem się do kobiety z rozkołysanymi włosami. Stała plecami do mnie.

- Jak idzie rozpoznawanie głosu, Taro?

Ignorując mnie, wstała, by wyrzucić do kosza kubek po kawie. Wysoka kobieta w butach na płaskich obcasach. Jedna z tych, które nigdy nie oswajają się ze swoim wzrostem. Długonoga. Szczupła.

Początkowo sądziłem, że Tara Jones jest nieśmiała lub zamknięta w sobie. Teraz wyglądało po prostu na to, że ludzie z naszego komisariatu są jej obojętni, zwłaszcza ja. Usiadła i ponownie puściła nagranie.

„Czy wiesz, dlaczego znalazłeś się na tym miejscu egzekucji?”

– Max? – zwróciła się do mnie Wren. – Chyba nie zostaliście sobie odpowiednio przedstawieni. Tara jest...

Tara Jones odwróciła się i odgarniając czarne włosy, które opadły na jej bladą, poważną, piękną twarz, spojrzała na mnie tak, jakby widziała mnie po raz pierwszy.

W końcu dotarło do mnie, że Tara Jones jest głucha.

– Oto co znalazłam – powiedziała. – Ten sam głos na obu nagraniach, z Mahmudem Iranim i Hectorem Wellesem. Słysząc w nim akcent typowy dla Londynu lub południowej Anglii, ale wyraźne są ślady modyfikacji. Mamy więc do czynienia z angielskim z południowo-wschodniej Anglii używanym przez człowieka, który nauczył się standardowej wymowy. Czyli nie mówi językiem z dzieciństwa. Albo pobierał lekcje wymowy, albo, co bardziej prawdopodobne, trafił do wyższej warstwy społecznej niż środowisko jego rodziców. Często mamy do czynienia z takim zjawiskiem. W przypadku większości ludzi sprawę załatwia wyższe wykształcenie.

A ja pomyślałem o jej głosie.

Nie było w nim nic niewłaściwego. Teraz jednak, gdy już wiedziałem o jej głuchocie, odnosiłem wrażenie, że Tara Jones wymawia słowa, ale ich nie słyszy.

– Jest coś jeszcze – dorzuciła. – Zdanie ma nietypową kadencję, jak gdyby w jego domu mówiło się w obcym języku. Ten człowiek również go zna.

Byłem pod wrażeniem.

– I dowiedziałaś się tego wszystkiego na podstawie jednego zdania?
– Uśmiechnąłem się, ale nie odwzajemniła uśmiechu.

– Biometrię głosu, czyli cyfrową analizę wzorców mowy, przeprowadza komputer – powiedziała Tara Jones i posłała mi chłodne spojrzenie. – W związku z tym właściwie możesz mieć pewność, że moja niepełnosprawność nie stanowi przeszkody w pracy.

– Oczywiście, że nie... – Zaczerwieniłem się ze wstydu.

Drzwi otworzyły się i weszła komisarz Whitestone. Wyglądała na dziesięć lat starszą i pięć kilogramów chudsza niż w nocy. Zdruzgotana. Spojrzała na nas, a my na nią.

Milczenie przerwał Billy Greene.

– Jezu Chryste. Mamy następnego do Klubu Wisielców!

Na ekranie do pomieszczenia, gdzie nie docierało słońce, wprowadzono młodego człowieka o krótko przyciętych włosach. Ciemne postaci w tle przytwierdzały coś do białej ceglanej ściany pokrytej patyną lat.

– Nie ma daty i godziny – zauważyła Edie.

– Czy to jest na żywo? – zwróciłem się do Colina Cho.

Pokręcił głową.

– Nie wiem, Max – odparł.

– Czy to jest na żywo?! – zawołałem.

– Nie wiem, kurwa! – odkrzyknął. – Daj nam szansę!

Ludzie z jednostki do spraw przestępczości internetowej rozpaczliwie stłoczyli się przy laptopie. Telefony rozdzwoniły się, ponieważ sprawcy właśnie zbliżali się do magicznej liczby. Magiczną liczbą jest trzy.

Sprawcy mieli zostać seryjnymi zabójcami.

Zerknąłem na komisarz Whitestone, licząc na wskazówki. Siedziała jednak zgarbiona przy biurku, jakby ogarnęło ją niewymowne znużenie, jak gdyby nie spała od wielu dni.

Nie odrywała wzroku od ekranu.

– Marble Arch, Edie – poleciłem. – Jedź z nią, Billy. Zadzwońię do antyterrorystów i każę im posłać tam ludzi, na wypadek gdyby tamci okazali się na tyle tępi, żeby podrzucać ciało w tym samym miejscu.

Jednostka antyterrorystyczna, znana też jako SO15, stanowi specjalny oddział policji. Dysponuje ponad tysiącem policjantów mogących prowadzić obserwację. Zanim trafiłem na Savile Row 27, byłem jednym z nich.

Spojrzałem na Whitestone, by sprawdzić, czy postąpiłem właściwie, ale ona wciąż wpatrywała się w ekran.

Edie Wren i Billy Greene wyszli w momencie, kiedy ujrzeliśmy na dużym ekranie, jak młodemu człowiekowi zakładają pętlę na szyję.

„Czy wiesz, dlaczego znalazłeś się na tym miejscu egzekucji?”

Nie odpowiedział.

Zamrugnął załzawionymi oczami, a ja dostrzegłem na jego rękach ślady po nakłuciach, efekt wieloletniego nałogu heroinowego.

– Ciekawe, kogo zabił? – odezwała się Whitestone cichym, nieobecny głośm, jakby mówiła do siebie.

– Wygląda na to, że to jest na żywo – odezwał się Colin Cho. – Dziękuję wszystkim za cierpliwość.

Na białych ceglanych ścianach pokrytych zieloną patyną lat wisiły zdjęcia.

Dwa zdjęcia.

Czarno-biała fotografia uśmiechniętego żołnierza, brytyjskiego żołnierza walczącego z nazistami podczas drugiej wojny światowej.

Oraz kolorowa, przedstawiająca tego samego człowieka jakieś sześćdziesiąt lat później. Uśmiechnięty, siedział w fotelu, a za jego plecami stała skromna choinka.

– Według internautów, ten starszy pan to Bert Page, weteran z Normandii, emerytowany drukarz z Fleet Street, wciąż w śpiączce po napaści heroinisty Darrena Donovana – oznajmił Colin Cho i po chwili dodał: – Do centrali dzwoniło sporo osób, które rozpoznały tego młodego człowieka jako Darrena Donovana...

– Jeśli to prawda, to nie wieszają już tylko morderców – wtrącił doktor Joe Stephen.

– W Tyburn nigdy nie wieszano jedynie morderców – zauważył profesor Hitchens. – W osiemnastym wieku w Anglii karano śmiercią dwanaście przestępstw. Włóczęgostwo. Kradzież. Bezczeszczenie. Przebywanie w towarzystwie Cyganów dłużej niż miesiąc... Powiesili siedmioletnie dziecko, które ukradło list, wieszali rozbójników, a także ludzi, którzy stracili Karola Pierwszego.

– Chcę, żeby potwierdzono te tożsamości – zażądałem. – Starszego pana ze zdjęć i wieszanego człowieka. Nie ufam internautom. – Mimo to czułem, że to prawda. Narkoman Darren Donovan napadł na starszego pana i zabrał mu parę groszy. Teraz miał zapłacić za swoją zbrodnię. Życiem.

„Czy wiesz, dlaczego znalazłeś się na tym miejscu egzekucji?”

Ta egzekucja była najspokojniejsza.

Darren Donovan nie błagał o litość jak Mahmud Irani.

Darren Donovan nie walczył o życie jak Hector Welles.

Kiedy pomagali mu wejść na kuchenny taboret, zachowywał się żałośnie biernie. Potulnie pochylił głowę, gdy zakładali mu pętlę na

szyję. Jedynym objawem przerażenia były nieustanne drgawki.

Potem rozległ się hałas.

Pojedynczy krzyk, tuż zanim kopnęli taboret.

Spojrzałem na Tarę Jones. Zobaczyłem, że na jej ekranie wykres skoczył nagle do góry, zaznaczając ten pojedynczy odgłos.

– Co to było, Pat? – zapytałem. – Imię? Czy ktoś wymówił imię?

Nic nie wskazywało na to, że Whitestone mnie usłyszała.

Popatrzyłem na Tarę Jones.

– Nie wiem – powiedziała analityczka głosu. – Ale popracuję nad tym.

Potem go powiesili.

– Dobry Boże – wykrztusił doktor Stephen, odwracając głowę.

Pozostałe osoby w sali patrzyły, jak taboret się przewraca, a Darren Donovan kopie nogami w wieczność, z wywalonym językiem, wybałuszonymi oczami i powiększającą się ciemną plamą w kroczu spodni.

Kiedy uszło z niego życie, kamera skierowała się na uśmiechniętego młodego żołnierza ruszającego na podbój normandzkich plaż.

Spojrzałem na Whitestone, patrzącą na ekran beznamiętnie, ze straszliwym spokojem, jakby niektórzy ludzie zasługiwali na śmierć.

13

Kiedy wróciłem do domu, pani Murphy drzemała na kanapie ze Stanem na kolanach.

W mieszkaniu panowała cisza, ponieważ kiedy moja córka spała, nasza gosposia zawsze oglądała telewizję bez głosu. Zrzuciłem buty i podreptałem do pokoju Scout; Stan na wpół otworzył oczy, ziewnął szeroko i ponownie zapadł w sen.

Kolejna upalna noc. Scout zrzuciła z siebie prześcieradło. Kiedy ją okryłem, poruszyła się.

– Tato?

– Śpij, aniołku, już późno.

– Ale Jackson poszedł do pracy.

– Na targu mięsnym muszą pracować w nocy.

– Mhm.

Uśmiechnąłem się na widok córki wtulającej zaspaną buzię w poduszkę.

– Podobają ci się wakacje?

– Są za długie.

– Tak czujesz, bo jesteś mała – odparłem ze śmiechem. – Im będziesz starsza, tym szybciej będzie płynął czas. Śpij, aniołku.

– Ty też.

– Tak zrobię – obiecałem, ale po wyjściu pani Murphy usiadłem w oknie i obserwowałem krzątanicę na targu mięsnym Smithfield. Dziesiątki tragarzy w białych fartuchach wyładowywało towar z furgonetek i ciężarówek, ale nie dostrzegłem Jacksona.

O północy zadzwonił pięciotonowy dzwon katedry Świętego Pawła, zwany Wielkim Tomem, a ja zatelefonowałem do Edie Wren. Jednostka SO15 wysłała dziesiątki antyterrorystów na Marble Arch.

– Innych nie widzę, ale rozumiem, że taka jest idea – powiedziała z wyraźną frustracją. – Naprawdę uważasz, że podrzucą tu trzecie ciało?

– Wydaje się to mało prawdopodobne, bo nie wyobrażam sobie, jak mogliby to zrobić i nie wpaść. Muszą wiedzieć, że na nich czekamy. Jednocześnie nie wyobrażam sobie, że te popieprzone świry mogłyby się oprzeć pokusie.

Kazałem jej wracać do domu.

Moi dawni koledzy z SO15 mieli pracować całą noc. Będą bezdomnymi śpiącymi w Hyde Parku, parami całującymi się przed zamkniętymi drzwiami supermarketu, ostatnim człowiekiem wyprowadzającym psa, a także ukrytymi w ciemności postaciami w zaparkowanych samochodach.

Będą czekać.

Zgasiłem światło i właśnie miałem się położyć, kiedy na kuchennym stole spostrzegłem mojego MacBooka Air, dokładnie tam, gdzie go zostawiłem. Teraz jednak laptop był zamknięty, a przecież na pewno zostawiłem go otwartego. Gdy go uruchomiłem, Stan poruszył się w koszu.

Włączyłem przeglądarkę Safari i kliknąłem na polecenie: *Pokaż historię*.

To nie była historia mojego użytkownika.

Ostatnio odwiedzane dzisiaj

Klub Wisielców – poszukiwania w Google

@Albert Pierrepoint – Twitter

Mahmud Irani – YouTube

Hector Welles – YouTube

Tyburn – Wikipedia, wolna encyklopedia

Klub Wisielców – Wikipedia, wolna encyklopedia

Albert Pierrepoint – Wikipedia, wolna encyklopedia

Przywrócenie kary śmierci – „Daily Mail” Online

Niech dyndają! – „Sun” Online

Przywrócenie publicznych egzekucji – „Guardian”

@albert Pierrepoint – Twitter

Darren Donovan – YouTube

Darren Donovan – YouTube

Darren Donovan – YouTube

Darren Donovan – YouTube

Darren Donovan – YouTube

Straż obywatelska wieszka trzeciego człowieka – „Daily Telegraph”, „Sunday Telegraph”, „Telegraph” Online

Było tego więcej. Znacznie więcej. Mnóstwo. Spojrzałem na duże okna, za którymi migotały światła Smithfield. Mówiłem przyjacielowi, że kiedy tylko potrzebuje, może korzystać z mojego laptopa. Wyglądało na to, że przez cały dzień czytał na jeden tylko temat.

Zamknąłem laptop i położyłem się do łóżka. Sen w końcu przyszedł, ale urywany; budziłem się raz po raz, próbując oczyścić umysł i z całych sił ponownie zasnąć. W pewnej chwili musiałem odpłynąć, ponieważ w fazie lekkiego snu, tej ostatniej, gdy na płyciznach pojawiają się marzenia senne, w ciemności obudziłem się ze snu o Marble Arch, wstałem z łóżka i podszedłem do okna.

Pora wciąż była wczesna, przed piątą, ale we wschodzącym słońcu olbrzymia kopuła Świętego Pawła białała jak kość. Nocna zmiana na targu mięsnym dobiegła końca i Jackson wracał do domu.

Widziałem, jak przechodzi przez Charterhouse Street, uśmiecha się na coś, co powiedział jeden z jego kolegów z pracy, a słońce odbite od białego fartucha Jacksona tak oślepiło, że początkowo nie dało się zauważyć świeżej krwi.

* * *

Kilka godzin później stałem sam w sali numer jeden, patrzyłem na ścienną mapę Londynu i popijałem potrójne espresso z baru Italia.

Profesor Hitchens wszedł z kaskiem motocyklowym pod pachą, pocąc się w swoich sztruksach.

– Tyburn – powiedział. – To jest rzeka, prawda? Od tego wszystko bierze nazwę. Tyburn Road, szubienica Tyburn – wszystkie noszą nazwę od rzeki Tyburn. Tyburn jest jedną z wielkich podziemnych rzek Londynu.

– Szubienicę nazwano od rzeki? – zdziwiłem się.

Profesor pokiwał jajowatą głową.

– Spójrz na to – rzucił.

Z motocyklowej sakwy wydobył sfatygowaną książkę. *Thames: Sacred River*, Peter Ackroyd. Odszukał stronę, grubym palcem wskazał fragment i zaczął czytać:

– *Istnieje bliski związek między rzeką a tym, co określamy mianem „pogaństwa”. Coś się tu skryształizowało. Rzeka staje się w pewnym sensie świętym świadkiem kary.*

Spojrzał na mnie błyszczącymi oczami.

– Nie rozumiesz? *Rzeka staje się w pewnym sensie świętym świadkiem kary.*

Tara Jones weszła i popatrzyła na nas, a Hitchens czytał dalej:

– *Prawdopodobnie nie jest dziełem przypadku, że dwa ważne miejsca straceń, Tyburn i Smithfield, przylegały do dopływów Tamizy, Tyburn*

i Fleet. – Profesor pokręcił głową ze zdumieniem. – Nie rozumiesz, co to oznacza?

– Poczekaj chwilę – poprosiłem. – Chciałbym dobrze zrozumieć. Podziemne rzeki Londynu, Tyburn i inne, płynęły kiedyś nad ziemią?

– Tak!

– I co się z nimi stało?

– Zbudowaliśmy na nich miasto. – Machnął ręką w stronę ściennej mapy. – W miarę jak przez stulecia miasto się rozrastało, rzeki się pogłębiały. Londyński system kanalizacyjny zbudowano na siatce podziemnych rzek. Ale one ciągle tam są.

Spojrzałem na mapę, potem na Hitchensa.

– Czyli Tyburn, rzeka Tyburn, nadal istnieje? – spytałem.

– Naturalnie!

– Gdzie płynie? Pokaż mi.

Wskazał wielką połąć zieleni u góry mapy.

– Wypływa z Hampstead. Płynie na południe, równoległe do Finchley Road, w dół do Swiss Cottage, przez Regent's Park. W West Endzie płynie równoległe do Marylebone Lane, potem przecina Mayfair i wpada do Tamizy.

– Pewnie na niej stoimy – wtrąciła Tara.

Przedwcześnie postarzałą twarz Hitchensa rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Pod Savile Row? Raczej mało prawdopodobne, by Tyburn płynęła bezpośrednio pod nami.

Próbowałem przyswoić sobie wszystkie nowe informacje.

– Nie wrócą na miejsce szubienicy, bo wiedzą, że będziemy czekać. Ale jeśli mają taką obsesję na punkcie kary rytualnej, mogą porzucić ciało w rzece Tyburn.

– Należy brać taką ewentualność pod uwagę – przyznał Hitchens.

– O ilu kilometrach rzeki mówimy? – spytałem.

– Tyburn co kawałek zmienia kierunek nurtu, ma mnóstwo zakoli... – Pokręcił głową.

– Z grubsza, profesorze.

– To może być nawet szesnaście kilometrów.

– Zgodę na poszukiwania na taką skalę może wydać tylko ktoś na górze – powiedziałem.

Zadzwoiłem do komendanta Policji Metropolitalnej. Połączono mnie natychmiast i wyjaśniłem, czego chcę.

– Gdzie jest Pat Whitestone? – spytała Swire.

Tak naprawdę nie wiedziałem, ani gdzie jest komisarz Whitestone, ani czy wróci do pracy.

– Przypuszczam, że jest u syna w szpitalu, pani komendant.

Długo milczała.

– Zrób to – odezwała się w końcu. – Poślij tam wszystkich. Ale na koniec zmiany wszyscy mają wyjść.

– Słucham?

– Londyńskie ścieki mają największe stężenie kokainy ze wszystkich zbiorników wodnych w Europie.

Oczami wyobraźni ujrzałem paranoicznych londyńskich kokainistów, którzy spuszczają w toaletach swój ulubiony narkotyk.

Chodziło jednak o coś innego.

– To miasto ma najwięcej ludzi zażywających kokainę na całej północnej półkuli, a ich mocz trafia do ścieków – wyjaśniła komendant Swire. – Stężenie kokainy w londyńskich ściekach jest pięćset procent wyższe niż gdziekolwiek w Europie. Jeśli ktokolwiek zostanie tam za długo, zaczną się zawały. A potem pozwy. Czyli jedna pełna zmiana i wszyscy wychodzą, zrozumiano, detektywie Wolfe?

– Tak jest, pani komendant.

* * *

Powiem im, żeby się nie zaciągali, pomyślałem, idąc do drzwi i wybierając numer Edie Wren.

– Mam wykres odgłosu, który słyszeliśmy na ostatnim nagraniu – oznajmiła Tara Jones. – To nie jest imię ani nawet słowo.

– Co w takim razie?

– To jest śmiech. – Potrząsnęła głową, jakby nie mogła w to uwierzyć. Welon lśniących czarnych włosów opadł na jej śliczną twarz. Patrzyłem, jak je odgarnia. – Ktoś zaśmiał się szczekliwie. Co to może oznaczać?

– Zaczynają się dobrze bawić.

* * *

Wcześniej szukaliśmy w niewłaściwym miejscu. Sprawcy nie zamierzali wrócić na miejsce szubienicy w Tyburn. Blisko stu policjantów – członków specjalistycznej grupy poszukiwawczej z komisariatu głównego na West Endzie i Nowego Scotland Yardu oraz antyterrorysty z SO15 – spędzili osiem długich godzin letniego dnia, brodząc w ściekach, które biegną wzdłuż Tyburn.

Pod koniec długiej służby wiedzieliśmy, że to nie jest to miejsce.

* * *

W komisariacie wziąłem prysznic i przebrałem się, ale ciągle czułem na skórze pradawny smród podziemnego Londynu. W sali numer jeden nie było nikogo prócz Hitchensa, który czytał przy biurku książkę Petera Ackroyda. Popatrzyłem na wielką ścienną mapę Londynu.

– Gdzie ona wypływa? – zapytałem.

– Co takiego? – Nie oderwał wzroku od książki.

– Rzeka Tyburn. – Podszedłem do mapy. – Jest dopływem Tamizy, tak?

Historyk podniósł wzrok.

– Zgadza się – potwierdził.

– Czyli nie wpada do morza. Nie znika też pod ziemią. W pewnym miejscu rzeka Tyburn wpada do Tamizy.

– Owszem.

– Gdzie?

Hitchens szybko wyjął z sakwy iPada i znalazł starą mapę Londynu.

– To mapa Rocque’a przedstawiająca Londyn z tysiąc siedemset czterdziestego szóstego roku – wyjaśnił. – Most Vauxhall.

– Tyburn wpada do Tamizy przy moście Vauxhall?

– Tak.

– Szybciej będzie, jeśli pojedziemy twoim motorem.

* * *

Hitchens jechał swoim starym royalem enfieldem przez dzielnicę Millbank, wioząc mnie na tylnym siedzeniu. Przed nami wyrósł most Vauxhall.

W dole rzeki słońce zachodziło za elektrownię Battersea. Na drugim brzegu Tamizy widziałem wielki tarasowy budynek MI6 przy Vauxhall Cross. Hitchens wjechał na pusty dziedziniec galerii Tate Britain i tam zostawiliśmy motor.

Po kamiennych schodach zeszliśmy na biegnącą nabrzeżem Thames Path. Ruszyłem w kierunku mostu, a Hitchens z trudem dotrzymywał mi kroku.

– Tam – wydyszał. – Przepust.

Kiedy go zobaczyłem, stałem dokładnie naprzeciwko siedziby MI6. Sporym okrągłym żelbetonowym kanałem, o średnicy na tyle dużej, by mógł w nim stanąć człowiek, płynął płytki, lecz równomierny strumień wody wpadającej do Tamizy. Przepust znajdował się poniżej Thames Path i zdałem sobie sprawę, że jest niewidoczny z drogi.

– To jest to? – spytałem. – Rzeka Tyburn? – Sam nie wiem, czego się spodziewałem.

– Według Rocque’a... – wydyszał za mną Hitchens.

Ja jednak schodziłem już po stopniach na nabrzeże, dlatego umknęły mi jego słowa o tym, co Rocque twierdził w osiemnastym wieku. Gdy znalazłem się w przepuście, woda zalała mi buty. Zrobiłem krok w przód i zajrzałem w mrok. Żelbetonowy przepust wyglądał zbyt nowocześnie jak na kres rzeki płynącej tu od tysiącleci.

Hitchens zatrzymał się u jego wlotu, najwyraźniej nie chcąc moczyć nóg.

– To nie może być to! – zawołałem, a mój głos odbił się echem.

– Co takiego?

– Mówię, że...

Wtedy ujrzałem ciało.

Jedna ręka wystawała z ciemności przepustu. Naga biała kończyna, a gdy podszedłem bliżej, zobaczyłem upiorne blizny – ślady nałogu heroinowego, jak punkty w dziecięcej zabawie polegającej na łączeniu kropek.

– Detektywie?! – zawołał Hitchens.

– To jest to! – odkrzyknąłem.

Wszedłem dalej w czarny tunel, gdzie woda była głębsza i znacznie zimniejsza. Całkiem zakryła mi buty. Krótko ostrzyżony Darren Donovan leżał w odległości około dziesięciu metrów od Tamizy, twarzą w czarnych wodach Tyburn.

Ciemność nagle runęła na mnie, zatykając mi dech i rzucając mnie na krągłą ścianę przepustu.

Mocno grzmotnąłem o nią głową i z głuchym łoskotem usiadłem w wodzie, uderzając kością ogonową w żelbeton.

Na mojej szyi zacisnęły się czyjeś dłonie.

Ktoś rzucił mnie na plecy, jakbym nic nie ważył; dłonie nie odpuszczały, zaciskały się coraz mocniej, wbijając się w ciało.

Duże, silne dłonie. Próbowaly mnie zabić, wydusić ze mnie życie.

Wpatrzony w roślą postać w ciemności, kopałem na oślep, szarpałem dłonie na mojej szyi, drapałem muskularne ręce, bezskutecznie próbowałem dosięgnąć oczu napastnika, lecz nie mogłem się nawet do nich zbliżyć; z każdą sekundą opuszczały mnie siły.

Straciłem dech w piersiach. Miałem wrażenie, że ustało krążenie krwi.

– Detektywie? – odezwał się Hitchens u wlotu do przepustu. – Max?

Dłonie puściły.

Zdawałem sobie sprawę, że ciemna, masywna postać z chlupotem zmierza ku światłu. Próbowalem zawołać do Hitchensa, ale nie mogłem wykrztusić ani słowa. Usiłowałem wstać, stwierdziłem jednak, że nie mogę się ruszyć. Ogarnęły mnie mdłości. Ktoś wołał moje imię.

Wyczerpanie nie pozwoliło mi odpowiedzieć; położyłem się i na chwilę przymknąłem oczy, musiałem odpocząć, więc złożyłem głowę w starodawnych wodach Tyburn.

CZĘŚĆ DRUGA
Belka i sznur

Siedziałem na ławce nad Tamizą i patrzyłem, jak nad Chelsea krwawo zachodzi słońce, podczas gdy dwaj detektywi słuchali na gorąco moich zeznań. Taką rozmowę przeprowadza się w pierwszej godzinie po każdym większym zajściu. Chociaż nie miałem im wiele do powiedzenia, wałkowaliśmy wszystko raz po raz, a słońce nikło nad zachodnim Londynem.

– To był wielki facet – mówiłem. – Nienaturalnie wielki i silny. Rzucił mną, jakbym nic nie ważył.

Jeden z policjantów stłumił ziewnięcie. Drugi zamknął notes.

– Zabawne, że kiedy lądujesz na dupie, napastnicy stają się więksi i silniejsi przy każdym kolejnym opowiadaniu o zdarzeniu. Mamy cię odwieźć na ostry dyżur?

– Nic nie złamałem. – Pokręciłem głową, a oni poczęstowali mnie cwanyymi uśmiezkami gości ze Scotland Yardu.

Kiedy przed południem pojawiłem się w komisariacie głównym na West Endzie, dziennikarze już na mnie czekali.

Pod dużą niebieską lampą nad wejściem do Savile Row 27 około dwudziestu młodych dziennikarzy i starszych fotoreporterów wprowadzało do swoich organizmów kofeinę, polując na szczegóły historii, która zdominowała media. Na mój widok się poruszyli. Dostrzegłem Scarlet Bush, ale nie zwolniłem kroku. Zewsząd opadli mnie dziennikarze uzbrojeni w małe cyfrowe mikrofony, kamery i pytania.

– Detektywie Wolfe? Scarlet Bush z „Daily Post”. Czy to prawda, że napadnięto na pana, kiedy znalazł pan ciało Darrena Donovana? Co to za ślad na szyi, Max? Czy był pan kolejnym kandydatem do Klubu Wisielców?

Dziennikarze weszli za mną na posterunek. Sierżant w mundurze, z twarzą poczerwieniałą z rozdrażnienia, wyszedł zza biurka i zaczął ich wyganiać. Kiedy dotarło do nich, że nie zamierzam odpowiadać, pytania stały się bardziej agresywne.

– Max, czy ci zabójcy lepiej sobie radzą z czyszczeniem ulic niż policja?

– Jakie to uczucie polować na bohaterów?

– Co z ofiarami? Czy kiedykolwiek o nich myślisz?

– Widziałeś któregoś z zabójców, Max? Widziałeś członka Klubu Wisielców?

Nie, pomyślałem. Ale znam człowieka, który go widział.

W cichym kącie sali numer jeden profesor Adrian Hitchens siedział z policyjną specjalistką od portretów pamięciowych.

– Nie, nie... te oczy są niewłaściwe... Może pani je zmazać i spróbować ponownie? Czy moglibyśmy jeszcze raz narysować usta?

To nigdy nie jest łatwe. Każdy, kto siada do pracy ze specem od portretów pamięciowych, był świadkiem poważnego przestępstwa. Usiłuje przypomnieć sobie twarz widzianą zaledwie przez chwilę, zazwyczaj w trakcie przestępstwa, któremu towarzyszyła brutalna przemoc. Nasz historyk starał się przywołać w pamięci twarz kogoś, kto bez ostrzeżenia wypadł z przepustu i przewrócił go tak, że Hitchens klapnął na swój tłusty tyłek.

Skinąłem głową do rysowniczkę, mniej więcej trzydziestoletniej kobiety obdarzonej chyba cierpliwością mnicha zen. W młodości marzyła pewnie o tym, by zostać kolejnym Picassem czy Edwardem Hopperem.

– Jak idzie? – rzuciłem.

Z nieznacznym uśmiechem zaprezentowała mi szkicownik. Narysowała tam zarys dużej owalnej głowy ze sporym nosem pośrodku i odstającymi uszami. To wszystko. Spojrzałem na Hitchensa.

– Czyli szukamy pana Kartoflana Głowa? – zapytałem.

– Mogę narysować jedynie to, co widział profesor Hitchens. A on nie wie, co widział.

– Przepraszam, przepraszam – powtarzał historyk, załamując ręce.

– Jak długo nad tym pracujesz? – spytałem.

Rysowniczką zerknęła na zegarek.

– Parę godzin?

Z niedowierzaniem popatrzyłem na Hitchensa.

– Opowiedz mi jeszcze raz, co się wydarzyło – poprosiłem.

Przeciągnął poplamionymi nikotyną palcami po spoconej czaszce.

– Wszedłeś do przepustu. Nie wychodziłeś, więc zawołałem za tobą, bo się niepokoiłem. Nie pamiętam dokładnie, co powiedziałem...

– Powiedziałeś: „detektywie”, a następnie „Max”. Wtedy napastnik mnie puścił i uciekł... Co było potem?

– Próbowałem napisać do ciebie SMS-a. Szukałem telefonu, kiedy usłyszałem kroki w wodzie, bardzo szybkie. Pomyślałem, że to ty, podniosłem wzrok i spojrzałem prosto na jego twarz, zanim mnie przewrócił. Tam mnie znalazłeś. Siedzącego.

Weszła Tara Jones i zaczęła porządkować biurko. Pochwyciwszy mój wzrok, skinęła głową, a burza czarnych włosów opadła jej na twarz. Odgarnęła je i zabrała się do pakowania sprzętu, z którego korzystała w minionym miesiącu.

– Widziałeś go. – Poklepałem Hitchensa po ramieniu. – Naprawdę go widziałeś, Adrianie. Bardzo przelotnie, ale go widziałeś. Tyle że obraz ci umyka.

– Nie rozumiem, dlaczego nie mogę sobie przypomnieć...

– Z powodu szoku wywołanego przemocą. Nawet gdybyś był do niej przyzwyczajony, byłoby ci trudno. A nie jesteś przyzwyczajony. Właśnie zaliczyłeś jedno z najgorszych przeżyć. Nie obwiniaj się. Ja też na niego patrzyłem, ale nic nie widziałem.

– Tylko że ty byłeś w ciemności, a ja w jasnym słońcu...

– Spróbować z oprogramowaniem? – spytała rysowniczką.

W ostatnich latach dopracowano tak zwany system rozpoznawania twarzy. Świadkowi pokazuje się ukończone portrety, aż wyłoni się ostateczny obraz.

Pokręciłem głową.

– Nadal najlepszy jest ołówek i szkicownik – powiedziałem. – Próbuj dalej – zwróciłem się do Hitchensa.

– Próbuję...

– Wysił się bardziej.

Podszedłem do Tary Jones. Zrozumiałem, że powinienem mówić do niej, stojąc przed nią twarzą w twarz. Popatrzyła na mnie i grzecznie się uśmiechnęła.

– Odchodzisz – rzuciłem.

– Miałam z policją umowę na miesiąc. I miesiąc właśnie się skończył. Więc...

– Dzięki za pomoc przy nagraniach.

Zaśmiała. Piękne zęby. Tak białe i równe, że w dzieciństwie musiał nad nimi pracować ortodonta. Zęby klasy średniej. Zastanawiałem się, jacy byli jej rodzice i jak sobie radzili z głuchotą córki. Najwyraźniej nie przeszkodziła jej robić tego, co chciała.

– Nie przydałam się na wiele. – Wsunęła do przewieszanej przez ramię torby cienkiego MacBooka Air. – Na swoje usprawiedliwienie mogę zauważyć, że tamci zbyt wiele nie mówili, prawda? Wykonałam pełne badania biometryczne wszystkiego, czym dysponujemy.

Nagle uzmysłowiłem sobie, że pewnie już nigdy jej nie zobaczę.

– Mogę cię o coś spytać, Taro?

Przytaknęła, odgarniając włosy, a w czarnej gęstwinie błysnęła złota obrączka.

– Nie porozumiewasz się za pomocą rąk – powiedziałem po chwili wahania.

Nie obrazila się. Jeśli już, to wyglądała na nieco znużoną, jakby wielokrotne wyjaśnianie zamieniło się w mozolną rutynę.

– Język migowy? Nie, nie używam go. Czemu miałabym to robić? Potrafisz go odczytać?

Poczułem się głupio.

– Nie, ja tylko...

– Nie każdy głuchy posługuje się językiem migowym – tłumaczyła bardzo cierpliwie. – Panuje błędne przekonanie, że wszyscy głusi migają. To w dużym stopniu wybór osobisty. Umieć mówić, umieć czytać z ruchu ust. Nie uważam się za osobę głuchą pod względem kulturowym. To znaczy, brak słuchu nie wpływa decydująco na moje życie. – Zaciągnęła suwak torby. Biurko zostało uprzątnięte. Tara uśmiechnęła się promiennie. – W porządku?

– Dziękuję. – Skinąłem głową. – Za wszystko. – Chciałem dowiedzieć się więcej, ale nie było czasu.

W drzwiach sali stała Edie Wren, za jej plecami dostrzegłem doktora Joe Stephena, którzy sprawdzał SMS-y w komórce.

Tara Jones była gotowa, by opuścić Savile Row 27.

A na mnie czekali zmarli.

Trzej martwi nadzy ludzie leżeli na łóżkach ze stali nierdzewnej w prosektorium medycyny sądowej imienia Iaina Westa, w kostnicy publicznej w Westminsterze. Najwyraźniej nie przeszkadzała im temperatura, tradycyjnie utrzymywana na poziomie jednego czy dwóch stopni powyżej zera.

Na początek przykuwały uwagę duże nacięcia na tułowiach w kształcie litery Y w miejscach, w których Elsa Olsen, nasza ulubiona anatomopatolog sądowa, otworzyła klatki piersiowe zmarłych sekatorem z zielonymi rączkami, dokładnie takim samym, jakie można kupić w dowolnym centrum ogrodniczym, jeśli chce się przyciąć róże. Potem wzrok przyciągały ślady oparzeń na szyjach.

– Przyczyną śmierci było uduszenie – oznajmiła Olsen. – We wszystkich trzech przypadkach. Śmierć zadano niemal na pewno pętlą z drutu.

– Nie ze sznura? – spytałem.

– Sznur przypuszczalnie pozostawiłby ślady w ranach – wyjaśniła.

– Nie znalazłam żadnych włókien. Według mnie, posłużyli się innym materiałem.

– I znają się na rzeczy – dodałem.

Patrzyłem na zmarłych. Mahmud Irani. Hector Welles. Darren Donovan. Trzej ludzie w bardzo różnym wieku, o różnych zarobkach, wywodzący się każdy z innego środowiska. Irani miał miękki brzuch człowieka prowadzącego siedzący tryb życia. Welles, zagorzały fanatyk siłowni, całymi godzinami zmuszał się do wysiłku, który miał

zastąpić pracę fizyczną. Donovan już jako nastolatek szprycował się twardymi narkotykami, ale mimo to – co za niesprawiedliwość! – zachował szczupłe ciało młodzika.

Nawet ich zbrodnie różniły się między sobą.

Irani należał do gangu, który latami wykorzystywał bezbronne młode dziewczyny. Welles, pozbawiony serca kierowca zbiegły z miejsca wypadku, nie stanął na wysokości zadania. Donovan był zatwardziałym ćpunem, który regularnie napadał na emerytów, by zdobyć pieniądze na kolejną działkę.

Teraz aż tak bardzo się nie różnili.

Elsa Olsen przyjrzała się naszej trójce, dygoczącej w niebieskich fartuchach i siatkach na włosy. Stojąca obok mnie Edie Wren była beznamiętna; jej blada młoda twarz wyrażała jedynie zawodową ciekawość; doktor Joe Stephen drżał z napięcia – czułem to. Pierwsza wizyta w prosektorium medycyny sądowej imienia Iaina Westa nigdy nie jest łatwa.

– Czyli to ty kierujesz tym dochodzeniem? – zwróciła się do mnie Olsen.

– W zastępstwie komisarz Whitestone, dopóki nie wróci – wyjaśniłem. – Towarzyszy nam doktor Joe Stephen, który rozejrzy się za znakami rozpoznawczymi, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Wysoka anatomopatolog, Norweżka, skinęła głową. Zależało jej na tym, by nie musiała się powtarzać.

– Życie płynie przez szyję – zaczęła. – Przez kruchą nieodzowną szyję. Serce pompuje krew do mózgu. Tlen płynie do płuc. Jeśli wystarczająco mocno ściśniesz szyję, ten proces gwałtownie ustaje. Widzicie ślady na ich szyjach?

Znamię wisielca przecinało szyje zmarłych po przekątnej; w najwyższym punkcie, gdzie musiał się znajdować węzeł stryczka, niemal dotykało lewego ucha. We wszystkich trzech przypadkach

bruzda wisielcza była w tym miejscu o wiele płytsza. Na szyi Darrena Donovana miała kolor jasnożółty, na zaczerwienionej szyi Hectora Wellesa przybrała ciemniejszy odcień żółci, natomiast u Mahmuda Iraniego, pierwszej ofiary, była ciemnobrązowa.

Poczułem wzbierającą we mnie żółć odraży, ale ją przełknąłem. Głęboki wdech, Max, nakazałem sobie. Zaraz będzie jeszcze gorzej.

Długim przyrządem ze stali nierdzewnej Olsen delikatnie otworzyła usta Mahmuda Iraniego. Potem to samo zrobiła z Hectorem Wellosem oraz Darrenem Donovanem.

– Widzicie? – powiedziała z błyszczącymi oczami. – Kiedy człowieka wieszają, jego język sinieje.

Doktor Stephen zaczął dyszeć jak pies w upalny dzień.

– Nic mi nie jest – zapewnił, nie patrząc na mnie. – Naprawdę wszystko w porządku.

– Na tym polega uduszenie w wyniku powieszenia – ciągnęła anatomopatolog. – Kiedy zakładają ci pętlę na szyję i nie masz na czym stanąć, giniesz pod własnym ciężarem. Pętla uciska tętnice szyjne, odcinając dopływ krwi do mózgu, który puchnie tak, że zatyka szczyt kręgosłupa. Następuje tak zwany odruch wagalny, który zatrzymuje pracę serca. Ucisk szyi zamyka tchawicę, blokując dopływ tlenu do płuc. A więc brak krwi w mózgu i brak tlenu w płucach. Ofiara traci przytomność w wyniku uduszenia. I umiera.

– Ile to trwa, Elso?

– To zależy, ale nie jest to szybka śmierć. Uduszenie przez powieszenie trwa co najmniej pięć, ale nie więcej niż dwadzieścia minut.

– Czy są jakieś ślady świadczące o tym, że ofiary się broniły?

– U Mahmuda Iraniego i Darrena Donovana nie ma niczego takiego, choć u tego drugiego są ślady zaawansowanego dożylnego zażywania narkotyków.

– Co to znaczy zaawansowanego? – spytał doktor Stephen.

– Żył na jego rękach się schowały, więc robił sobie zastrzyki między palcami stóp. Tylko u Hectora Wellesa występują liczne rany świadczące o tym, że się bronił.

Przypomniałem sobie, jak Welles walczył o życie, przytrzymywany przez ukryte w mroku postacie.

Wiedział, co spotkało Mahmuda Iraniego.

– Na rękach Wellesa, w miejscach, gdzie go trzymano, widnieją obrażenia i pręgi – ciągnęła Olsen. – Sińce na twarzy, gdzie go bito i kopano. – Uśmiechnęła się do mnie smutno. – Niestety, pod paznokciami nie ma tkanki skórnej, Max. Z wyjątkiem jego własnej.

W jasnym świetle prosektorium Iaina Westa obdarta ze skóry szyja Hectora Wellesa przywodziła na myśl blizny, które człowiek zadaje sobie w jakimś osobliwym rytuale plemiennym.

– Powieszenie jest oczywiście popularną metodą samobójstwa. Jednak zarówno Irani, jak i Donovan mają obrażenia na nadgarstkach, w miejscach, gdzie związano im ręce za plecami, co wyklucza samobójstwo. Wellesowi nie związano rąk za plecami, zatem samobójstwo jest teoretycznie możliwe. Większość wisielców-samobójców wygląda dokładnie tak jak Welles: zmieniają zdanie, kiedy jest już o wiele za późno. Jednak liczne rany świadczące o tym, że się bronił, wykluczają samobójstwo także w tym przypadku.

– A także trzy miliony odsłon na YouTube, gdzie widać, jak go wieszają – dodała Edie Wren.

Elsa Olsen spojrzała na nią ostro.

– Biorę pod uwagę dowody natury medycznej, nie zaś trendy na YouTube, pani detektyw.

– Oczywiście – przytaknęła Wren.

Olsen skinęła głową.

– Mało prawdopodobne, by ofiarę samobójstwa odcięto ze sznura i porzucono przy Marble Arch. Martwi się nie przemieszczają. We wszystkich trzech przypadkach doszło do zabójstwa.

– Czy możesz nam coś powiedzieć na temat węzła? – spytałem. Sposób wiązania i rodzaj węzła mogłyby się okazać nieocenionym tropem, pomyślałem, przypominając sobie, co mówiła Pat Whitestone, kiedy znaleźliśmy Mahmuda Iraniego.

Anatomopatolog pokręciła jednak głową.

– Przykro mi. W tym celu musiałabym zobaczyć sznur, drut czy cokolwiek to było. Same ślady na szyi to za mało.

– Nadal nie znamy miejsca zbrodni – zauważyłem. – Od jak dawna nie żyli, kiedy ich znaleźliśmy?

– Każdy przypadek jest inny. Jak wiesz, stężenie pośmiertne zaczyna się około dwóch godzin po zgonie i ciało stopniowo sztywnieje. Następnie mamy do czynienia z zasadą dwanaście-dwanaście-dwanaście. Dwanaście godzin do zeszywnienia. Dwanaście godzin w stanie zeszywnienia. Wreszcie dwanaście godzin na ustąpienie sztywności ciała, które zaczyna się rozkładać. U Iraniego stężenie pośmiertne dopiero się zaczęło, co oznacza, że kiedy go znaleziono, nie żył od około dwunastu godzin. U drugiej ofiary, Wellesa, stężenie pośmiertne jest zaawansowane. Nie żył od około doby. Wreszcie ciało ostatniej ofiary, młodego Donovana, traciło stężenie pośmiertne. Widzicie też, że jego skóra ma zielonkawą barwę na głowie, ramionach i brzuchu. Występuje też wzdęcie z powodu zbierających się gazów. Jego narządy wewnętrzne miały więcej czasu na rozkład.

– To dlatego, że coraz trudniej jest nam znajdować ciała – wyjaśniłem.

– Na plecach Iraniego występują plamy opadowe – powiedziała Olsen, po czym skinęła głową do Edie. – Będzie pani tak uprzejma,

detektyw Wren?

Obie kobiety odwróciły ciało Mahmuda Iraniego na brzuch. Skóra wokół łopatek, na plecach, pośladkach i łydkach była blada, ale pokrywały ją brzydkie sine plamy podobne do siniaków. Doktor Stephen popatrzył na mnie.

– To są plamy opadowe – wyjaśniłem. – Te ślady wyglądają jak sińce. Pomyśl o nich jako o zastygłej krwi. Kiedy umierasz, serce przestaje ci bić, krwiotok ustaje. Grawitacja robi resztę. Krew zastyga. Nie dochodzi jednak do tego, gdy ciało dotyka ziemi. Plamy opadowe pomagają ustalić, od jak dawna ofiara nie żyje i czy ciało było przenoszone.

– Termin techniczny brzmi *livor mortis* – dodała Olsen.

– Z łaciny – zauważył doktor Stephen. – *Livor* znaczy niebieskawy, natomiast *mortis* to związany ze śmiercią.

Olsen i detektyw Wren odwróciły zmarłego na plecy.

– Plamy opadowe u pana Iraniego sugerują, że nikt go nie ruszał przez większość czasu od śmierci do chwili, gdy go znaleziono – powiedziała anatomopatolog.

– Co to znaczy? – spytał Stephen.

– To znaczy, że nie przenieśli go daleko – odparłem. – Miejsce zabójstwa musi się znajdować... Ile? Jakąś godzinę drogi od Marble Arch i mostu Vauxhall.

– Co zawęźa obszar do całego wielkiego Londynu – stwierdziła Wren.

– Mogę wam też powiedzieć, że zdjęto ich zaledwie kilka minut po śmierci – powiedziała Olsen. – Gdyby zostawili ich na stryczku, bruzdy na szyjach byłyby znacznie głębsze.

W milczeniu patrzyliśmy na ciała. Przeszedł mnie dreszcz.

To tylko chłód, tłumaczyłem sobie. To tylko ziąb prosektorium.

– Jest coś jeszcze – rzuciła Olsen. – Zawodowy kat odpowiednio dobiera długość sznura. Taką metodą posługiwał się najślawniejszy kat w tym kraju, Albert Pierrepoint. Tak samo postępowali ludzie, którzy powiesili Saddama Husajna. Należy uwzględnić ciężar ciała i obliczyć, jak nisko musi ono spaść, aby drugi i trzeci krąg szyjny zostały przerwane, co powoduje natychmiastową śmierć. Tak zwane pęknięcie katowskie. Jeżeli ofiara spada zbyt długo, następuje dekapitacja. Ci ludzie najwyraźniej nie zwracają sobie głowy obliczeniami. Co prawda zadają sobie trud, by wieszać ofiary, ale tak naprawdę je duszą.

Spojrzała surowo na Edie Wren.

– Ja też oglądam YouTube’a – powiedziała. – Ciekawe, że ostatnia ofiara zmarła ponad dwa razy szybciej niż pierwsze dwie. Na podstawie oględzin zniszczonych tętnic szyjnych i kręgosłupa szacuję, że Irani umierał trzynaście minut, Welles dziesięć, natomiast Donovan zaledwie pięć.

– Co to znaczy? – zainteresował się doktor Stephen.

– To znaczy, że dochodzą do wprawy – wyjaśniłem.

* * *

W szatni zdejmowaliśmy fartuchy, kiedy doktor Joe Stephen zaczął mówić o znakach rozpoznawczych.

– Te trzy morderstwa to coś więcej niż tylko zabójstwa rytualne – powiedział, zdejmując z włosów siatkę. – Wśród sprawców istnieje wyraźna hierarchia.

– Tak – zgodziłem się. – Pytanie zadaje zawsze ta sama osoba. „Czy wiesz, dlaczego znalazłeś się na tym miejscu egzekucji?” On jest przywódcą.

– Każdy ma do odegrania pewną rolę, a zarazem potrafią działać w interesie grupy – dodał doktor Stephen.

Edie Wren zdjęła siatkę z głowy i potrząsnęła włosami.

– Kiedy Hector Welles próbował uciec, wszyscy natychmiast na niego skoczyli – przypomniała nam. – W każdym razie trzej. Potem wrócili do swoich ról. Każdy ma inne zadanie, prawda? Jeden mówi. Drugi filmuje. Trzeci patrzy. I ktoś jest katem.

– Sędzia, ławnicy, świadek i kat – podsumowałem. – Co potrafisz z tego odczytać, doktorze?

– Wielka łatwość organizowania się – odparł Stephen. – A także zdolność do całkowitego braku litości. Ścisła hierarchia dopuszczająca indywidualne działanie. Hierarchia ma jednak znaczenie nadrzędne.

– Naprawdę sądzisz, że to gliniarze? – spytała detektyw Wren.

– Niekoniecznie, chociaż to możliwe. Myślę, że co najmniej jeden z nich odbył specjalistyczne szkolenie w dziedzinie utrzymywania ładu społecznego. Przypuszczalnie kilku z nich ma za sobą służbę publiczną. Ktoś z doświadczeniem pracy w instytucji karzącej ludzi, którzy naruszają prawo lub szkodzą państwu. Ktoś rozczarowany ograniczeniami, niepowodzeniami i kompromisami tej instytucji. A więc aktywny lub emerytowany policjant wchodzi w grę. Możemy też mieć do czynienia z osobą lub osobami z doświadczeniem w służbie więziennej bądź innym sektorze wymiaru sprawiedliwości.

Patrząc na Stephena, zrozumiałem, co za chwilę powie. Musiałem ugryźć się w język, żeby tego nie wykrzyczeć, kiedy oczami wyobraźni ujrzałem mojego najstarszego przyjaciela i jego szczerbaty uśmiech.

– Może nawet chodzić o wojsko – dokończył doktor Stephen.

Zaczęła wibrować moja komórka.

Kobieta w słuchawce jednocześnie płakała i przepraszała. Dopiero po chwili pojąłem, że rozmawiam z Alice Goddard, wdową po Steviem Goddardzie skopanym na śmierć przed własnym domem.

– Przepraszam, że do ciebie dzwonię, Max, ale nie wiedziałam, do kogo się zwrócić...

– Powoli. Weź głęboki wdech. Co się stało?

Ale Alice Goddard była w stanie tylko przeproszać i płakać.

W mojej branży człowiek idzie dalej. Zawsze jest następna sprawa, zawsze możesz liczyć na świeżą ludzką udrękę. Ale ofiary przestępstw nie idą dalej. Nie mogą iść dalej. Na zawsze grzęzną w chwili, kiedy ich życie uległo zmianie; czas nie łagodzi szoku i bólu. Oprócz cierpienia, które nigdy się nie kończy, mogą wystąpić problemy natury praktycznej. Kiedy sprawiedliwość zostaje wymierzona, zazwyczaj jest ktoś, kto pomstuje na niesprawiedliwość wszystkiego.

Trzy gnidy, które zabiły Steve'a Goddarda, miały przyjaciół i krewnych. Czasami, po zamknięciu gnid, tacy przyjaciele i krewni czują, że mają coś do udowodnienia oraz dług do spłacenia.

Takie działanie może przyjąć postać drobnego nękania. Może być benzyna wlewaną do skrzynki na listy. Albo wszystkim pomiędzy. Dlatego dałem Alice Goddard wizytówkę i powiedziałem, że w dowolnej chwili może do mnie zadzwonić. Jeśli przyjaciele i krewni gnid się objawią, chciałem o tym wiedzieć.

Tym razem chodziło jednak o coś innego.

– Mój syn... – powiedziała załamującym się głosem.

* * *

Zaparkowałem przed domem Goddardów i chwilę siedziałem, żeby ochłonąć. Gdy po raz pierwszy widziałem tę cichą ulicę na przedmieściach, policjanci stawiali namiot i ogradzali teren taśmą, technicy w kombinezonach z tyveku zbierali odciski palców, filmowali i robili zdjęcia. Steve Goddard leżał martwy, po części na chodniku, po części na jezdni.

Zapamiętałem, że nie było dużo krwi. Pamiętałem też zdruzgotaną rodzinę, którą zastałem w domu: żonę Steve'a Goddarda, jego syna i córkę – Alice, Steve'a juniora oraz Kitty. Obejmowali się, gdy docierała do nich brutalna nowa rzeczywistość.

Zamrugalem, wspomnienie minęło i ujrzałem przed sobą zwyczajną podmiejską ulicę w letni wieczór. Wreszcie zaczerpnałem powietrza i ruszyłem krótką ścieżką ogrodową do drzwi Goddardów.

Drzwi otworzyła Alice z ciepłym, zakłopotanym uśmiechem. Oczy miała zaczerwienione, ale z całych sił próbowała odzyskać panowanie nad sobą.

– Chodzi o Steve'a – powiedziała. – Ma nóż.

* * *

Dzieciaka znalazłem w parku.

Siedział na huśtawce na opustoszałym placu zabaw i palił papierosa.

Po raz ostatni widziałem go w sądzie Old Bailey. Ile miał lat? Piętnaście? Szesnaście? Wtedy wyglądał jak młody chłopak, przytłoczony i zakłopotany otoczeniem, w za dużej koszuli i krawacie, który naszykowała mu mama. Teraz, zaledwie kilka tygodni później, wyglądał jak zgorzkniały młody człowiek.

– Steve? Pamiętasz mnie? Detektyw Wolfe.

Spojrzał mi w oczy, potem odwrócił wzrok. W oddali rozległy się krzyki i obaj popatrzyliśmy w tamtą stronę. Na parkowej ławce wylegiwała się grupa chłopaków i jedna dziewczyna.

Usiadłem na huśtawce obok Steve'a Goddarda juniora.

– Czy ktoś cię zaczepia? – zapytałem.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem. Potem roześmiał się i pokręcił głową.

– Czy ktoś mnie zaczepia? To chcesz wiedzieć? Mojego ojca skopali na śmierć, a ty pytasz, czy ktoś mnie zaczepia?

– Chodzi mi o to, czy ktoś czepiał się ciebie po procesie?

Do oczu napłynęły mu łzy.

– To ja zamierzam się ich czepiać. Niech cię o to głowa nie boli.

– Po to masz ten nóż?

Milczenie.

– Rozumiem, że chcesz wyrównać rachunki – powiedziałem. – To naturalne. To, co się stało z twoim tatą, z twoją rodziną, nie jest sprawiedliwe.

– Nie jest. To nie jest, kurwa, sprawiedliwe. Tu akurat masz rację.

– Co zamierzasz? Jaki masz plan? Wbić nóż w jednego z nich, kiedy wyjdą z pudła? Wszystkich zadźgasz nożem?

Nieopodal przeszły dwie nastolatki trzymające się pod ramię. Na widok mnie i Steve'a na huśtawkach zanosły się szyderczym śmiechem.

– Czemu w ogóle tu jesteś? – spytał chłopak.

– Nie chcę, żeby twojej rodzinie przydarzyło się coś jeszcze gorszego.

– Co może być gorszego niż to, że kiedy mój tata wyszedł poprosić o ciszę i spokój, skopali go po głowie? Co może być gorszego? – Wykrzywił usta.

– Na przykład zamknięcie cię w Feltham.

Uniósł brwi. Zastanawiałem się, czy ma przy sobie nóż, ale wyrzucenie kieszeni dresu z kapturem rozwiało moje wątpliwości.

– Co to jest Feltham? – zapytał.

– Dom Poprawczy dla Nieletnich Feltham – wyjaśniłem. – Zakład penitencjarny dla młodocianych przestępców niedaleko Hounslow. Jeśli zadźgasz nożem jednego z tych drani, którzy zabili twojego ojca, tam właśnie cię poślą. Ponieważ nie masz osiemnastu lat.

Steve popatrzył na mnie i po raz pierwszy pomyślałem, że moje słowa może do niego docierają.

– Rozumiem, co czujesz, Steve. Rozumiem, dlaczego chcesz to zrobić. Rozumiem nawet, dlaczego tamci na to zasługują. Widziałem twojego tatę tej nocy, kiedy zginął.

Skrzywił się, jakby ktoś go spoliczkował.

– Ciebie też widziałem tej nocy – ciągnąłem. – I twoją siostrę Kitty. I mamę. Byłem w sądzie Old Bailey, kiedy tamtym się upiekło. Ale to wszystko nie znaczy, że powinieneś wziąć prawo w swoje ręce. Jeśli to zrobisz, prawo cię dopadnie. Zapewniam cię, Steve, że nie jesteś typem chłopaka, który poradzi sobie w Feltham.

Wstałem z huśtawki.

– Pozbądź się noża – nakazałem mu. – W drodze do domu wrzuc go do kanału. Pierwszego kanału, jaki zobaczysz. Potem wróc do domu i zaopiekuj się mamą i siostrą. Nie masz pojęcia, jak bardzo cię potrzebują.

Zacząłem się oddalać.

– To wszystko?! – zawołał za mną. – Tylko dlatego nie mogę wyrównać rachunków z tymi sukinsynami? Tylko dlatego nie mogę załatwić nożem skurwieli, którzy zabili mi tatę? Z powodu tego, co się stanie, jeśli to zrobię?

– Tak – odparłem. – To jedyny powód. Ale żadnego innego nie potrzebujesz.

W sali 101 Nowego Scotland Yardu sierżant John Caine nastawił wodę, a ja udałem się do Czarnego Muzeum, żeby popatrzeć na szubienicę. Do trzynożnej konstrukcji przywiązano kilkanaście sznurów, niczym ozdoby choinkowe. Obok szubienicy stało oprawione zdjęcie Alberta Pierrepointa z cytatem z 1974 roku.

Owoc mojej pracy ma gorzki posmak. Moim zdaniem dzięki karze śmierci osiągnięto jedynie zemstę.

– Przykro mi, ale nie serwujemy tu potrójnej espresso – powiedział John Caine, podając mi kubek parującej herbaty. Sam łyknął ze swojego kubka z napisem NAJLEPSZY TATA ŚWIATA.

– Masz cichy tydzień, co? – zagaił. – Na YouTube nikogo nie wieszają.

– Trzy morderstwa w lipcu, ale w pierwszym tygodniu sierpnia nic. Dlaczego się zatrzymali, John?

– Powodów może być wiele. Jeden z nich mógł umrzeć. Mogli się pokłócić. Żona któregoś mogła się dowiedzieć, co robi jej stary, i ubłagała go, żeby przestał dla dobra dzieciaczków. Wreszcie najczęstszy powód, dla którego ekipa się zwija: sądzą, że depczesz im po piętach i przyjdiesz ich zgarnąć o piątej rano.

Zaśmiałem się gorzko.

– Nikłe szanse.

Tego ranka komisarz Whitestone nie przyszła do pracy, bo jej syn przechodził kolejną operację oczu. To znaczyło, że nadal kierowałem

dochodzeniem. W obliczu braku tropów zrobiłem to, co zawsze, kiedy potrzebuję wskazówek: wpadłem na herbatę do Czarnego Muzeum.

– Albo jednemu z nich puściły nerwy – wyliczał dalej Caine. – Lub wszystkim. Albo odfajkowali wszystkich z listy. To możliwe. Albo dają spokój, kiedy dobrze im idzie, ponieważ są dość inteligentni, by wiedzieć, że jeśli będą kontynuować, zostaną złapani. – W zamyśleniu napił się herbaty. – Może odchodzą od stołu, dopóki dopisuje im szczęście.

– Spotkałeś kiedyś tak bystrego przestępcę?

– Jeszcze nie.

– Ja też nie.

Przyjrzałem się sznurom na szubienicy. Najstarszy, spleciony z czterech cienkich pasm poczerniałych ze starości, liczył dwieście lat. Najnowszy, na honorowym miejscu niczym gwiazda na choince, pochodził z 1969 roku, kiedy oficjalnie zniesiono karę śmierci. Sznur wykonano z ośmiu grubych włókien konopnych, które zebrano w sporą mosiężną tulejkę. Wyglądały na śliskie i lepkie.

– Wazelina – wyjaśnił Caine. – Dzięki niej sznur nie parzy skóry. To lata sześćdziesiąte, kiedy wieszano ze współczuciem.

– Co robię źle? Dlaczego nie jestem bliżej schwytania ich niż miesiąc temu?

– Nie idziesz tropami, które masz – odparł.

– Przecież nie mam żadnych tropów. Nie mam miejsca zbrodni. Żadnych świadków. Żadnych odcisków palców, które byłyby coś warte. Żadnych rezultatów w bazie danych IDENT1.

Spojrzał na mnie tak, jakbym nie dostrzegał rzeczy oczywistych.

– Masz dwóch wyrokowców, którzy mieli poważnie na pieńku z dwoma denatami – powiedział. – Swego czasu Paul Warboys i jego brat Danny byli godnymi konkurentami takich ludzi jak Reggie i Ronnie Krayowie czy Eddie i Charlie Richardsonowie. Paul Warboys

nie dostał dożywocia tylko dlatego, że obciął prawnikowi język przecinakiem do metalu. Skazali go na dożywocie, ponieważ adwokat wykrwawił się na śmierć. Skoro Paul Warboys mógł zabić człowieka za rozmawianie z policją, to co mógł zrobić komuś, kto przejechał jego wnuka?

– Nie kupuję tego. Warboys jest na emeryturze. Od dwudziestu lat.

– Nie sądzisz, że wróciliby z emerytury dla gościa, który przejechał mu wnuka?

– Przepuściliśmy Warboysów przez program „namierzyć, przesłuchać, eliminować”. Pewnie, że to zrobiliśmy. Poza tym Paul powiedział, że gdyby chciał śmierci Hectora Wellesa, nie zawracałby sobie głowy zamieszczaniem nagrania na YouTube. I jestem skłonny w to uwierzyć.

– A ma żelazne alibi na czas, kiedy powieszono Wellesa? Bo kiedy wycięto język temu prawnikowi, miał bardzo dobre. Warboys z bratem znajdowali się wiele kilometrów od miejsca zdarzenia; tańczyli lambadę na Costa del Sol. Co nie przeszkodziło sędziemu uznać go za winnego i posłać do mamra na resztę życia.

Zastanowiłem się nad słowami Johna Caine’a.

– To zabawne, że Warboys nie ma żelaznego alibi na czas, kiedy zabito Wellesa – powiedziałem. – Był w domu z żoną, brak jakichkolwiek innych świadków mogących to potwierdzić. I właśnie dlatego mu wierzę. Jak sam twierdzi, gdyby fabrykował sobie alibi, wymyśliłby coś znacznie lepszego.

Napiłem się herbaty, tak mocnej, że dało się w niej postawić łyżeczkę. Herbata budowlańca.

– Osobiście nie do końca wierzę właśnie w żelazne alibi – przyznałem się. – Dobra herbata.

– Dzięki. Mamy jeszcze ojca Sofi Wilder – przypomniał mi Caine. – On siedział, prawda?

– Owszem, ale to była dziecinada. Wieki temu. Zresztą, działał w zupełnie innej lidze niż Paul Warboys.

– Ale spójrz, co zrobili jego córce, Max. Zobacz, co jej zrobili! Temu gangowi gwałcicieli tak długo wszystko uchodziło na sucho, bo nikt nie chciał wyjść na rasistę. Policja, pracownicy społeczni... to tak, jakbyśmy trzymali im płaszcze, podczas gdy oni gwałcili i torturowali dzieci.

– Nie przeczę, że Wilder miał motyw. Tylko że jego alibi też jest na tyle niedoskonałe, że raczej nie zostało sfabrykowane. Oglądali z żoną telewizję w domu. A co z Bertem Page'em? Jak on do tego pasuje?

– Kim jest Bert Page?

– Weteranem z Normandii, któremu Darren Donovan zafundował śpiączkę za pięćdziesiąt pensów. Z tego, co ustaliliśmy, nie ma żadnych przestępców, którzy chcieliby go pomścić. Pomimo całej tej gadki w prasie Bert nikogo nie obchodzi. Miał w Australii córkę, kobietę w średnim wieku, to wszystko. Jaki ktoś miał powód, by powiesić małego wrednego sukinkota, który go skrzywdził?

Sierżant John Caine wzruszył ramionami.

– Nie wiem, Max – odparł, poprawiając jeden ze stryczków na szubienicy. – Może po prostu tak należy postąpić.

* * *

Pod koniec dnia pracy stałem z Edie Wren przed dużym domem na Canonbury Square. Highbury Corner znajdował się na tyle blisko, że słychać było nieprzerwany pomruk ruchu ulicznego na Holloway i Essex Road, ale Canonbury Square tonął w zielonym listowiu niczym fantazja milionera o angielskiej wsi.

Kiedy zadzwoniłem do drzwi, Wren sprawdziła adres w komórce.

– Tara Jones mieszka w całym domu? – spytała. – Cały dom należy do niej?

Drzwi otworzył chłopczyk w wieku około dwóch lat. W tym okresie dzieci przestają być niemowlakami i zaczynają przeobrażać się w osobę, jaką będą przez całe życie. W tym małym dostrzegłem Tarę. Błada twarz, wielkie zielone oczy, a zwłaszcza czarne, niemal azjatyckie włosy.

Przykucnąłem, aby nasze oczy znalazły się na tym samym poziomie.

– Jest twoja mama? – spytałem, ale wtedy po chłopca przyszła filipińska niania i pojawił się mężczyzna, nadal w garniturze z pracy na Cheapside czy Canary Wharf.

– W czym mogę pomóc? – Akcent zdradzał elitarne pochodzenie. Nos musiał mieć wielokrotnie złamany, pewnie podczas gry w rugby w prywatnej szkole.

– Jestem detektyw Wolfe, a to moja koleżanka, detektyw Wren z komisariatu głównego na West Endzie – przedstawiłem się, prostując się. – Jesteśmy umówieni z pana żoną.

Skinął głową i poszedł po Tarę, zostawiając mnie z Wren na progu. W korytarzu widzieliśmy duże lustro, na ścianach wisiały wysmakowane reprodukcje: gustowny dom zamożnych ludzi.

– I pomyśleć, że użalałam się nad nią, kiedy pojawiła się na Savile Row. – Wren zachichotała. – Wiesz, dzielna, młoda, głucha kobieta próbująca sobie radzić w szerokim świecie. Pomyśleć, że to ja użalałam się nad nią! Ona ma wszystko, prawda?

– Chyba tak – odparłem.

Po chwili stanęła przed nami Tara Jones w białej koszulce i obcisłych legginsach. Odgarnęła włosy, nie uśmiechnęła się ani nie zaprosiła nas do środka.

– Jutro przywieziemy Paula Warboysa i Barry’ego Wildera na kolejne przesłuchania – oznajmiłem.

– W weekend? – zdziwiła się.

– W weekendy prawo nie przestaje działać – odparłem.

– I chcecie się dowiedzieć, czy kłamią – domyśliła się Tara Jones.

Życie w lecie toczy się w innym rytmie niż przez pozostałą część roku, więc po pożegnaniu się z Tarą nie pojechałem do domu. Nie musiałem tam wracać.

Teraz, kiedy Scout chodziła do szkoły, rytm naszego życia wyznaczały semestry, godziny odbierania i cała reszta szkolnych detali. Podczas długich letnich wakacji było jednak inaczej.

Wiele kolegów i koleżanek Scout wyjechało na wakacje, ale sporo dzieci zostało w mieście, a moja córka była lubiana, zresztą nie tylko wśród rówieśników. Rodzice też ją kochali, była bowiem słodka, grzeczna i choć dopiero zbliżały się jej szóste urodziny, mogła już uchodzić za weterankę sypiania u znajomych. Scout nie należała do dzieci, które za wcześnie zaczęły nocować poza domem, a teraz budzą się o trzeciej nad ranem i żądają, żeby odwieźć je taksówką do rodziców. Scout kochali wszyscy – dorośli i jej rówieśnicy.

Tę noc spędzała pod swoim ulubionym adresem, w Pimlico, u najlepszej przyjaciółki Mii. Patrząc, jak Edie Wren rusza, by dołączyć do imprezowiczów na Upper, gdzie w jakimś modnym nowym barze miała się spotkać ze swoim żonatym chłopakiem, pojąłem, że nie mam potrzeby pędzić do domu.

Zamiast więc jechać na południe do Smithfield, skierowałem bmw X5 na północ, na sam koniec Holloway Road, do szpitala Whittington, gdzie ofiara Darrena Donovana spała w objęciach mroku, zawieszona między życiem i śmiercią.

* * *

Bert Page leżał w pokoju skąpanym w kwiatach.

Kwiaty zdobiły wszystkie powierzchnie małego pokoju szpitalnego w Whittington, kwiaty we wszystkich stadiach, od brązowego wędnięcia po pełen rozkwit, wiele wciąż w celofanie. Rozejrzałem się za kartkami z życzeniami powrotu do zdrowia, ale nic nie znalazłem.

Usiadłem obok staruszka i oczy zapiekły mnie na widok stanu, w jakim się znajdował.

Bert Page był drobny, prawie jak dziecko; chyba nie miał siły, by podtrzymywać całą baterię urządzeń, jakie zainstalowano mu do ciała.

Z respiratora, dzięki któremu oddychał, biegły rurki wprowadzone do nosa, ust i tchawicy. Kroplówka pompowała płyny z dwóch torebek do ręki chudej jak patyk. Zielone, żółte i czerwone wykresy na monitorach rejestrowały pracę serca i ciśnienie krwi.

Nachyliłem się w poszukiwaniu oznak życia. Zasłonięta rurkami twarz nie przypominała twarzy śpiącego. Pacjent był pogrążony w stanie znacznie głębszym od snu. Jeszcze nigdy nie widziałem człowieka tak bardzo oddalonego od życia, którego serce wciąż biło.

Wystrzępiona piżama zwisała luźno na wychudłym ciele drobnego staruszka. Na papierowej skórze widziałem siwe włosy, a nad sercem tatuaż wytarty ze starości.

6 – 6 – 1944

Szósty czerwca 1944 roku. Dzień D. Próbowałem wyobrazić sobie Berta Page'a jako nastoletniego żołnierza lądującego na normandzkiej plaży, ale czułem, jakby działo się to w innym życiu. Ująłem rękę

staruszka, tę bez życiodajnych rurek, i poczułem, jakbym trzymał ptaszka, ot, delikatne kostki pokryte cienką warstwą skóry.

– Och, Bert – powiedziałem. – Co ten drań ci zrobił?

Drzwi się otworzyły i pielęgniarka wprowadziła młodego lekarza. Wyszła, a lekarz zaczął przeglądać notatki. Wyglądał na Greka, może Turka. Bardzo młody, bardzo zmęczony.

– Jestem doktor Safik.

Zatem Turek, pomyślałem. Wstałem, przedstawiłem się, uścisnęliśmy sobie dłonie i podałem mu kartkę z pozwoleniem na wizytę. Przeczytał uważnie treść, a ja zdałem sobie sprawę, że w swojej krótkiej karierze musiał już widzieć całkiem sporo takich pozwoleń.

– Starszy detektyw Wolfe? – powiedział, oddając mi pozwolenie. – Z pańskiej rangi wnoszę, że prowadzi pan dochodzenie.

– W zastępstwie.

– W czym mogę pomóc? Chyba nie prowadzi pan dochodzenia w sprawie ataku na pana Page'a?

– Badam zabójstwo Darrena Donovana, który napadł na pana Page'a. – Spojrzałem na staruszkę w łóżku. Wypowiadanie nazwiska Donovana w tym pokoju wydało mi się niestosowne. – Co może mi pan powiedzieć o odwiedzających go ludziach?

Doktor Safik skrzywił się z niesmakiem.

– Z tego, co mi wiadomo, nikt go nie odwiedza. W dzisiejszych czasach nie ma w tym nic niezwykłego. Nietypowe jest natomiast powszechne współczucie, jakie wzbudza pan Page. – Młody lekarz niemal się uśmiechnął. – Nie wyszło mu to na dobre, prawda? Całe to zainteresowanie mediów.

– Czy pan Page ma szansę wrócić do zdrowia?

– Jego stan określamy jako nieodwracalną utratę przytomności. Słyszał pan o systemie liczbowym Glasgow, detektywie?

Pokręciłem głową.

– To system numeryczny, za pomocą którego ocenia się stopień obrażeń głowy. Opiera się na reakcjach motorycznych, otwieraniu oczu i tym podobnych sprawach. Poziom siódmy oznacza pełną śpiączkę. – Lekarz spojrział na staruszkę. – Pan Page jest na poziomie siódmym. Odzyskanie przytomności w jego wieku? Mało prawdopodobne.

– I nikt go nie odwiedza?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Powinien pan porozmawiać z pielęgniarkami dyżurnymi. Wiem, że kilku reporterów zakradło się tu wkrótce po tym, jak tu trafił. – Nagle przypomniałem sobie okropne zdjęcie Berta Page’a na oddziale intensywnej terapii, zamieszczone w prasie niedługo po tym, jak napadł na niego Darren Donovan. Staruszek miał tak opuchniętą i posiniaczoną twarz, że niemal nie przypominał człowieka. – W Australii mieszka córka, która nie może się zebrać i przyjechać, żeby zobaczyć się z ojcem, zanim umrze. Nie, pana Page’a nikt nie odwiedza.

Wciągnąłem do płuc mdłe powietrze.

– W takim razie kto przysyła mu kwiaty? – spytałem.

* * *

Sobotnia noc przechodziła już w niedzielę, kiedy w końcu dotarłem do domu. Stan obudził się i przydreptał na powitanie, machając jasnorudym ogonem.

Jackson siedział przy moim laptopie, ubrany w moje stare ciuchy – czarną koszulkę z białym napisem LONSDALE LONDON oraz wyblakłe lewisy 501, których początkowo nie poznałem, tak starannie je wyprał i wyprasował.

– Powinieneś był widzieć Scout, kiedy pani Murphy przekazywała ją małej Mii i jej mamie – powiedział. – Twoja córka wychodziła ze skóry z podniecenia.

Poczułem ukłucie serca rodzica, który zbyt często jest poza domem.

– Mogę korzystać z laptopa? – spytał Jackson. – Sprawdzalem tylko wiadomości.

– Kiedy tylko chcesz.

Mój przyjaciel zamknął komputer.

– Powinieneś z nią gdzieś wyjechać – poradził. – Chyba dają wam w policji urlopy?

– Dostajemy od dwudziestu do trzydziestu dni, w zależności od wysługi lat.

W wolne dni najczęściej spacerowałem ze Stanem po Heath. Czy Scout i ja naprawdę mielibyśmy pojechać na wakacje jak normalna rodzina? Dwa dni słońca? Trudno mi było to sobie wyobrazić. Co byśmy zrobili ze Stanem? Nie miał paszportu, a przecież należał do naszej małej rodziny.

– Pamiętasz wakacyjny dom, który mieli moi starzy, kiedy byliśmy mali?

Rodzina, która adoptowała Jacksona, posiadała wiejski dom na wybrzeżu w hrabstwie Kent. Przypomniałem sobie kamienistą plażę, piętrowe łóżka i słoną woń kanału La Manche. Nawet w środku lata morze było lodowate. Kiedy miałem jedenaście lat, to był dla mnie raj.

– Sand Pebbles – powiedziałem.

– Sand Pebbles! – potwierdził ze śmiechem Jackson.

– Ciągle tam jest? – zdumiałem się. – Sand Pebbles nadal istnieje?

– Nie sprzedali go. Przed śmiercią rodzice wynajmowali ten dom, ale teraz stoi pusty. Przed przyjazdem do Londynu spędziłem tam parę nocy. Nie jest w świetnym stanie, ale ty i Scout możecie z niego korzystać, kiedy tylko zechcesz.

Jackson przebrał się w jeden z moich starych czerwonych dresów firmy Realm and Empire, z bluzą z kapturem, i ruszył do drzwi. Przez chwilę sądziłem, że wybiera się do domu nad morzem.

– Praca – wyjaśnił.

– W porządku.

Stan odprowadził go do drzwi, a po wyjściu Jacksona przydreptał z powrotem. Spojrzałem na laptop, ale oparłem się pokusie, by go otworzyć i sprawdzić historię użytkowania. Nie było po co. I tak podejrzewałem, co bym znalazł.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na rozległy targ mięsny Smithfield. Panowała tam całkowita ciemność, ponieważ targi w centrum Londynu w weekendy i dni świąteczne są zamknięte.

Dokądkolwiek zatem wybierał się mój najstarszy przyjaciel, z pewnością nie była to praca.

Spojrzałem nad stołem na Paula Warboysa. Z sympatycznym wyrazem twarzy patrzył mi prosto w oczy. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś zachowywał taki spokój w sali przesłuchań, ale nie po raz pierwszy był przesłuchiwany.

– Dobrze. Jesteśmy gotowi? – spytałem. – Wszyscy gotowi? – Zerknąłem na siedzącą obok mnie Edie Wren, na Warboysa i jego adwokata po przeciwnej stronie stołu. – Kiedy wcisnę ten przycisk, zaczniemy nagrywać...

Gdy rozległ się pisk magnetofonu, Warboys uśmiechnął się nieznacznie. Opalona twarz marszczyła się jak stara skóra. Skrzyżował ręce na piersi, a złota biżuteria zadzwoniła w ciasnym pomieszczeniu. Czuwający obok niego adwokat zerkał na mnie zza okularów, w każdej chwili gotów skoczyć.

– Dobrze – zacząłem. – To przesłuchanie jest nagrywane, a w razie gdyby pana Warboysa oskarżono pod jakimkolwiek zarzutem, nagranie może zostać przedstawione w sądzie jako dowód. Nazywam się detektyw Max Wolfe i aktualnie kieruję wydziałem zabójstw i poważnych przestępstw w komisariacie głównym na West Endzie przy Savile Row dwadzieścia siedem w Londynie. Przy przesłuchaniu obecna jest detektyw Edie Wren. Godzina, proszę, proszę, dokładnie południe. – Skinąłem głową w stronę wiekowego gangstera naprzeciwko. – Proszę podać swoje nazwisko i zawód.

– Paul Warboys. Biznesmen. Emerytowany.

– Panie Warboys, w nawiązaniu do naszej wcześniejszej rozmowy u pana w domu chciałbym zapytać, co pan robił w dniu, kiedy uprowadzono i zamordowano Hectora Wellesa?

– Pragnę panu przypomnieć, że mój klient nie jest aresztowany – zauważył adwokat, pochylając się nad stołem.

Jego klient uniósł dłoń. Adwokat oparł się na krześle.

– Byłem w domu. Cały dzień. Całą noc.

Większość ludzi irytuje się, kiedy raz po raz zadaje się im to samo pytanie. Ale nie Paul Warboys.

– Jak pan się dowiedział o śmierci Wellesa?

– Już mówiłem i powtórzę raz jeszcze – powiedział z kwaśnym uśmiechem. – Mogę to powtarzać tyle razy, ile tylko pan zechce. Zadzwoił telefon. Potem nie przestawał dzwonić.

– Kto do pana dzwonił?

– Wszyscy, detektywie. Wszyscy mówili dokładnie to samo: „Ktoś właśnie powiesił drania, który zabił twojego wnuka”. Choć padały różne słowa. – W jasnoniebieskich oczach Warboysa zalśniły łzy, a on zaśmiał się rozbawiony, stary gangster nadal zdolny do płaczu. – Wszyscy to właśnie mówili. Ktoś zlinczował drania, który potrącił małego Danny’ego, kiedy ten przejeżdżał na rowerze przez ulicę.

Znowu się do mnie uśmiechnął. Zęby miał równe i białe. Większość starych londyńczyków nie zawracała sobie przesadnie głowy uzębieniem. Ronnie i Reggie Krayowie z pewnością nie używali nitki dentystycznej. Ale Paul Warboys poświęcił sporo czasu i pieniędzy na doprowadzenie zębów do tak świetnego stanu.

– Czy kiedykolwiek spotkał pan Barry’ego Wildera? – zapytałem.

– Kogo? – Pokręcił głową. – Przykro mi, Max. Musi mi pan podsunąć jakąś wskazówkę.

– Nastoletnia córka Barry’ego Wildera padła ofiarą gangu gwałcicieli Mahmuda Iraniego.

– Ach, tak. Mahmud Irani. Pierwszy powieszony.

– Owszem, pierwszy. Zapytam ponownie: czy kiedykolwiek spotkał pan Barry’ego Wildera?

– Nie. – Zaśmiał się. – Chce pan użyć wariografu, detektywie? Jestem gotowy.

Adwokat wystrzelił jak z procy.

– Paul, stanowczo odradzam...

Warboys ponownie uciszył go gestem dłoni.

– Nie ma takiej potrzeby – zapewniłem. – Ale doceniam propozycję. Kończę niniejsze przesłuchanie.

Spojrzałem na lustro weneckie w pokoju przesłuchań.

Potem odwzajemniłem uśmiech Paula Warboysa.

Ponieważ dysponowałem czymś znacznie lepszym niż wariograf.

* * *

Odprowadziłem Warboysa do głównego wejścia do komisariatu.

Jego żona Doll czekała pod dużą niebieską lampą przed posterunkiem. Podeszła do męża, uścisnęła go mocno i pospiesznie, a złote łańcuszki ześlizgnęły się z jej chudych opalonych rąk.

– Skończone? – spytała, patrząc mężowi w oczy.

– Na razie. – Paul skinął głową.

Przy krawężniku czekał na nich szofer w mercedesie.

– Wracacie do Essex? – spytałem.

– Do Hiszpanii – odparł. – Na kilka dni. Moja sekretarka może podać ci mój plan.

– W porządku.

Podał mi rękę, uścisnąłem ją, ale nie chciał puścić mojej. Trzymając ją mocno, patrzył na mnie zimnymi niebieskimi oczami.

– Chciałbym ci życzyć powodzenia w śledztwie – powiedział. – Ale wnuk był czymś najlepszym, co mnie w życiu spotkało, Max. Niewinnym małym chłopcem, który nikomu nie wyrządził krzywdy. Mam szczerą nadzieję, że tym gościom, którzy powiesili Hectora Wellesa, ujdzie to na sucho.

* * *

W sali numer jeden Tara Jones przeprowadzała badanie biometryczne nagranego przesłuchania Paula Warboysa. Pomieszczenie wypełniły jego lakoniczne wypowiedzi ze starym londyńskim akcentem.

„Paul Warboys. Biznesmen. Emerytowany”.

Głos starego Londynu, który przestał już istnieć. Wykres na monitorach przed Tarą podskoczył błyskawicznie. Kiedy na nas spojrzała, Edie Wren spytała:

– Powiedz, Taro, czym różni się wykrywacz kłamstw od biometrii głosu?

– Mniej więcej tym, czym koń różni się od ferrari – odparła Tara. – Wariograf, czyli wykrywacz kłamstw, liczy już sto lat. Urządzenie rejestruje zmiany fizjologiczne zachodzące podczas badania: ciśnienie krwi, oddech, pracę serca, pocenie się i tym podobne. Wariograf sprawdza się przy badaniu nowych pracowników. Poznasz, że kłamią w sprawie swojego CV, kwalifikacji i palenia. Ale w przypadku kogoś takiego jak Paul Warboys? Tu wariograf nie działa tak świetnie jak na filmach. Człowiek w rodzaju Warboysa wie, jak sobie z nim radzić. Pewność siebie, opanowany oddech, nawiązanie przyjaznej, a przynajmniej poprawnej relacji z przesłuchującym. Najważniejsza jest jednak pewność siebie. Brak lęku przed badaniem i otoczeniem. Dlatego badanie wariografem nie uchodzi za wiarygodny dowód

w sądzie. To prehistoryczna technologia. Biometria głosu robi to, czego oczekujemy po wariografie.

Pozwoliliśmy Tarze pracować. Popijając potrójne espresso, wyglądałem na ulicę, aż Tara Jones odchyliła się na oparcie krzesła i przeczesała palcami włosy.

– On mówi prawdę – stwierdziła.

* * *

Po południu przyszedł Barry Wilder. Nie towarzyszył mu adwokat, ale żona. Jean czekała razem z nim na korytarzu przed pokojem przesłuchań, wściekle gasiła camela bez filtra na podłodze i natychmiast sięgała po następnego. Na nasz widok Barry Wilder wstał powoli, ze znużeniem, jak gdyby każdy ruch kosztował go masę wysiłku.

– W tym budynku nie wolno palić, proszę pani – zwróciła się Edie Wren do jego żony.

Jean Wilder spojrzała surowo na moją koleżankę, a gdy wchodziliśmy do pokoju, mruknęła pod nosem:

– Mała ruda krowa.

Detektyw Wren pokręciła głową, ale puściła obraźliwe słowa mimo uszu.

Barry Wilder usiadł naprzeciwko nas.

– Dobrze – zacząłem. – To przesłuchanie jest nagrywane, a w razie gdyby pana Wildera oskarżono pod jakimkolwiek zarzutem, nagranie może zostać przedstawione w sądzie jako dowód. Nazywam się detektyw Max Wolfe i aktualnie kieruję wydziałem zabójstw i poważnych przestępstw w komisariacie głównym na West Endzie przy Savile Row dwadzieścia siedem w Londynie. Przy przesłuchaniu obecna jest detektyw Edie Wren. Godzina piętnasta.

Skinąłem głową na Barry'ego Wildera. Jeśli kiedyś stosował przemoc, wyglądał tak, jakby wybito ją z niego do cna.

– Proszę podać swoje nazwisko i zawód.

– Barry Wilder. Pracownik budowlany.

– Dziękuję. Panie Wilder, czy kiedykolwiek spotkał pan niejakiego Berta Page'a?

– Kto to jest Bert Page? – spytał zaskoczony.

– Bert Page był bohaterem wojennym. W dniu D lądował na plaży Juno. Został odznaczony medalem za ofiarną służbę. Wiele lat później Darren Donovan wprowadził go w śpiączkę.

– A, Bert Page, ten starszy pan napadnięty przez ćpuna, którego niedawno powiesili. Nie, nigdy nie spotkałem pana Page'a, ale wygląda na to, że to bardzo przyzwoity człowiek.

– Czy kontaktował się pan z Mahmudem Iranim po zwolnieniu go z więzienia?

Wilder się zawahał.

Poczułem, jak siedząca obok mnie detektyw Wren tężeje.

– Tak – odparł w końcu.

Czekaliśmy. Patrzyłem na wyblakłe piłkarskie tatuaże na jego rękach. Teraz dostrzegłem dwa skrzyżowane młoty. West Ham.

– Wziąłem nóż – odezwał się w końcu cicho Barry Wilder. – Zamierzałem wbić mu go w serce.

Edie Wren głośno wypuściła powietrze.

Pochyliłem się nad stołem.

– Panie Wilder, chciałbym, żeby pan zrozumiał, że nie jest pan aresztowany, ale przysługuje panu prawo do adwokata – powiedziałem. – Muszę też panu przypomnieć, że to przesłuchanie jest nagrywane i w sądzie może zostać przedstawione jako dowód.

Barry mnie zignorował.

– Chciałem go zabić – powtórzył.

Czekaliśmy.

– Proszę kontynuować – poprosiłem. – Chciał pan go zabić...

– Sądziłem, że mogę go zabić. Sądziłem, że Bóg mi wybaczy z powodu tego, co zrobił naszej Sofi. Zniszczył ją. Zabrał jej życie i nikt nie kiwnął palcem, żeby go powstrzymać. Ani pan, ani pana ludzie. Ani ja, jedyny człowiek, któremu mogła ufać. Jedyny człowiek, który powinien ją chronić. Ale tego nie zrobiłem. Rodzony ojciec jej nie ochronił. Mahmud Irani i tamci ludzie zabrali ją, napoili alkoholem, nafaszerowali narkotykami, a potem zrobili, co chcieli. – Potrząsnął głową. – Zrobili z nią, co chcieli, po czym zadzwonili do znajomych i pieprzonych braci, którzy przyszli i zrobili z moją córką, co chcieli. Robili z nią swoją własną pornografię. Kiedy wróciła do domu, była w ciąży. Wiedział pan o tym? Wiedział pan?

– Nie – przyznałem.

– Straciła to dziecko, a ja dziękowałem Bogu. Jak mogę ze sobą żyć, dziękując Bogu za śmierć dziecka?

– Proszę opowiedzieć o nożu – poprosiłem.

– W sądzie powiedziałem, że go zabiję. Wiedział pan o tym. Zacytował pan moje słowa! Kiedy dostali żałośnie niski wyrok. Kiedy sędzia dał im po łapach. Kiedy te wszystkie nikczemne dranie śmiały się nam w twarz. Powiedziałem, że go zabiję, prawda? Zaopatrzyłem się w nóż i czekałem przed meczetem, gdzie modli się w każdy piątek.

– I co się wydarzyło?

– Nie mogłem tego zrobić. – Głos ugrzązł mu w gardle. – Nie dałem rady. Pragnąłem jego śmierci, chciałem to zrobić, ale za mało było we mnie męczyzny.

– Panie Wilder, czy kiedykolwiek spotkał pan Paula Warboysa?

– Gangstera Paula Warboysa? – Pokręcił głową. – Nie.

Cicho wyłączyłem magnetofon, nie chcąc więcej rozdrapywać rany, która nigdy nie miała się zagoić.

* * *

Na korytarzu czekała Jean Wilder z papierosem w ustach. Pomachała nim w kierunku detektywa Wren, by pokazać, że nie jest zapalony, ale gdy wstała i znalazła się tuż przede mną, owionął mnie zapach tytoniu oraz perfum Jimmy Choo i gumy do żucia Juicy Fruit, za pomocą których chciała go ukryć.

– Czy w końcu zostawicie nas w spokoju? – spytała. – Bezżyteczne psy! On tego nie zrobił. Przeżyliśmy piekło. Mahmud Irani zniszczył nas, a mój mąż nie kiwnął palcem. Może aresztujecie tych śmierdzących Pakistańczyków, którzy właśnie w tej chwili gwałcą nasze dzieci? Teraz. Teraz. Może dla odmiany zrobilibyście coś pożytecznego? Czemu pozwalacie, żeby tym pakistańskim brudasom uchodziło na sucho morderstwo?

– Odprowadzę was – zaproponowałem.

– Zbytek łaski – odparła Jean Wilder. – Znajdziemy drogę do wyjścia. Idźcie łapać bandytów. Przydajcie się na coś!

* * *

Kiedy Edie Wren i ja udaliśmy się do sali numer jeden, Tara Jones już przeprowadzała biometrię przesłuchania Wildera.

– On mówi prawdę – powiedziałem.

Przy oknie stała szczupła postać, wyglądając na Savile Row. Odwróciła się, a ja dopiero po chwili ją poznałem.

– Chcę wam coś pokazać – powiedziała komisarz Pat Whitestone.

Pat Whitestone siedziała przy swoim biurku w sali numer jeden i szperała w internecie, aż znalazła dziewięćdziesiąt sekund czystej grozy.

– Spójrzcie – powiedziała do nas.

Nagranie było nieostre, obraz skakał; osoba, która je wykonała, miała za sobą długą noc. Naszym oczom ukazał się klub, z parkietem zatłoczonym jak peron metra w godzinie szczytu; muzyka zlewała się ze ścianą dudniącego hałasu. Dziewczyny w szpilkach i spódniczkach mini. Chłopcy bez koszul, z butelkami w dłoniach. Tańczyli tam, gdzie brakowało miejsca do tańca. Bum, bum, bum. Potem pierwsze krzyki. Wysokie, pełne niedowierzania; tańczący odwracali głowy, wyciągali szyje, żeby zobaczyć.

Tłum się rozstał.

Na parkiecie zataczał się chłopak z zakrwawioną twarzą.

Nogi lada moment mogły odmówić mu posłuszeństwa. Rękami macał przed sobą, szukał pomocy.

Oślepiony.

W klubie rozbłysły białe światła telefonów komórkowych, gdy coraz więcej osób filmowało krwawiącego chłopca.

– Zobaczcie, co zrobili mojemu synowi – powiedziała Whitestone.

– To znalazło się w internecie? – spytałem. – Jakim cudem?

– Ponieważ pięćdziesiąt osób wyjęło telefony i go nagrało. Filmowali go, Max. Nikt mu nie pomógł, ale go filmowali.

Na filmie białe światła wędrowały za szesnastoletnim Justinem Whitestone'em, kiedy osuwał się na kolana na środku pustego parkietu i krzyczał. Okropny odgłos wyrażający raczej lęk niż ból, chociaż ból musiał być nie do zniesienia. Ktoś się zaśmiał. Film się skończył.

– Kogo aresztowaliśmy? – spytała detektyw Wren.

– Nikogo – odparła Whitestone. – To się stało w toalecie. Ktoś uderzył go butelką po oczach w toalecie. W klubie było pełno ludzi, ale nikt nic nie widział. Mój Just będzie potrzebował opieki do końca życia, ale nikt nic nie widział.

– Tam muszą być kamery – powiedziała Wren.

– Nie w toaletach. – Komisarz wciąż wpatrywała się w zastygły obraz na ekranie komputera. Jej syn na kolanach, krew ciekąca z oczu, za jego plecami długonogie dziewczyny w szpilkach i chłopcy bez koszul z telefonami w dłoniach. – W toaletach nie ma kamer, Edie. Naruszenie prywatności.

– Pat?

– Tak, Max?

Moja szefowa, zahipnotyzowana obrazem na ekranie, wciąż na mnie nie patrzyła.

– Oni muszą wiedzieć, kto to zrobił – rzuciłem.

– Och, wiedzą doskonale. To gang z okolic King's Cross. Dog Town Boys. Słyszałeś o nich? Znam nawet ich nazwiska i adresy. Ale nikt nic nie widział, nikt nie chce mówić, nie mamy nagrania.

Zbliżyłem rękę do klawiatury i wyrzuciłem obraz z ekranu. Pat Whitestone popatrzyła na mnie, ale w żaden sposób nie mogłem złagodzić jej bólu. Gdyby to moje dziecko leżało w szpitalu, jeśliby moja Scout została oślepią, a napastnicy chodziliby bezkarnie po ulicach, Pat nie mogłaby nic zrobić dla mnie.

– Ujdzie im to na sucho, Max – powiedziała. – Zazwyczaj tak się właśnie dzieje.

* * *

Dopiero po powrocie do domu zdołałem dodzwonić się do kogoś, kto prowadził dochodzenie w sprawie oślepienia Justina Whitestone’a.

– Okropna sprawa – przyznał stary detektyw z Nowego Scotland Yardu. – Chłopak z dobrej szkoły, nigdy nikomu nie wadził, a tu jakiś gnojek oślepia go za to, że spojrział w niewłaściwą stronę, wylał drinka czy co tam się stało. Zresztą im nawet nie potrzeba pretekstu. Tak, przypominam sobie tę sprawę.

– Poczekaj chwilę – poprosiłem. – Dochodzenie już się nie toczy?
Westchnął do słuchawki.

– Co mogę zrobić? Wszyscy się boją Dog Town Boys, a jak mówię wszyscy, mam na myśli wszystkich na obszarze półtora kilometra kwadratowego w okolicach King’s Cross.

– Przecież chodzi o jednego z naszych – zauważyłem. – Ten chłopiec jest synem mojej szefowej, komisarz z głównego na West Endzie.

– Wiem, czyim jest synem – odparł detektyw z Nowego Scotland Yardu, a w jego głosie pojawił się pierwszy szron. – Ale chłopak nie widział, kto go uderzył, albo tak twierdzi. Nikt z klubu tego nie widział, albo tak twierdzą. Niewiele możemy zrobić. – Jeszcze więcej szronu. – Gdyby dochodzenie prowadził główny na West Endzie, też gównu moglibyście zrobić.

Wyjrzałem przez okno. Kopuła Świętego Pawła białała jak kość w blasku księżyca, imprezowicze sunęli Charterhouse Street, na targu mięsnym zapalały się światła na długą nocną zmianę.

– Wiem, że zrobiliście, co w waszej mocy – powiedziałem. – Po prostu w głowie się nie mieści, że nikt nie pójdzie siedzieć za tak poważną napaść.

Detektyw złagodniał.

– Wiem, to cuchnąca sprawa. Ale nawet gdybyśmy zamknęli jednego z tych małych bandziorów z Dog Town Boys, nie przywróciłoby to wzroku chłopakowi, prawda? Co można poradzić? Czasami winnemu po prostu się udaje.

– I nie było żadnego tropu?

– Była jedna dziewczyna – przyznał po chwili wahania. – Młoda kobieta. Z Węgier. W Islington zajmowała się dziećmi ludzi pracujących w City. Niania. Miła niania z Islington... nazywała się... niech sprawdzę... Margit Mester. Dwadzieścia dwa lata. Uroczą dziewczyna. Kiedy tamtej nocy pojechaliśmy do klubu, zatrzymaliśmy wszystkich i próbowaliśmy z nimi porozmawiać. Rozmawiałem z nią i wskazała chłopaka, Treya N'Dou.

Detektyw przeliterował imię i nazwisko.

– Znasz tego Treya? – spytałem.

– Owszem. Jest przywódcą gangu Dog Town Boys.

Przetrawiłem tę wiadomość.

– I co się stało z twoim węgierskim świadkiem, z tą Margit Mester? Mogłem się domyślić.

– Przywieźliśmy ją na rozpoznanie podejrzanych, w tym Treya, ale go nie poznała. Nie pamiętała go z miejsca zdarzenia. W klubie panował hałas, zamieszanie. Typowe bzdury, kiedy świadka oblatuje strach.

– Czy mógłbym z nią porozmawiać?

– Jeśli pojedziesz do Budapesztu.

– Wróciła do domu?

– Zaczęło jej się palić, kiedy zdała sobie sprawę, kogo pokazuje palcem.

Jackson wyszedł z pokoju i przeszedł przez mieszkanie. Przy drzwiach zasalutował, posłał mi szczerbaty uśmiech i pokazał ręką targ. Wybierał się do pracy. Uniosłem dłoń na pożegnanie i wyszedł.

– Naszym wielkim problemem jest brak nagrania z kamer – ciągnął detektyw, rozwijając temat winnych przestępców, którym upiekła się kara. – Wiesz, że brytyjska policja rozwiązuje blisko sto dochodzeń w sprawie zabójstw dzięki nagraniom z kamer? W tym kraju jest sześć milionów kamer przemysłowych, po jednej na dziesięć osób, ale to za mało, żeby złapać każdego przestępcę.

Przez okno widziałem, jak Jackson idzie w kierunku Smithfield, ale nie wszedł na targ. Skręciwszy w prawo, ruszył ku Holborn Circus.

– I nie ma kamer w toaletach – dodałem. – Chociaż są w każdym innym miejscu.

* * *

– Nie wolno mi ujawniać nagrań z twarzą pacjentów bez ich pisemnej zgody – oświadczył pracownik ochrony szpitala Whittington.

– Nie chodzi mi o twarz pacjenta – wyjaśniłem. – Chcę ustalić, kto go odwiedzał.

Znajdowaliśmy się w podobnej do bunkra siedzibie ochrony szpitala. W ciemnym, pozbawionym naturalnego światła pomieszczeniu cztery duże ekrany pokazywały dziewięć obrazów z kamer, w tym parking, oddział położniczy, ostry dyżur oraz główny hol.

– Jak daleko w przeszłość możesz się cofnąć? – spytałem.

– Miesiąc – odparł ochroniarz. – Tak długo przechowujemy nagrania. – Siatka obrazów na dużych ekranach nieustannie się

zmieniała. – Mamy sto pięćdziesiąt kamer, co jest standardem w szpitalu takim jak Whittington. Kiedy dzieje się coś niedobrego, napaść seksualna na oddziale mieszanym, porwanie niemowlaka z położniczego albo atak na personel, do czego dochodzi w każdy pijacki weekend roku, zazwyczaj o takim zajściu informuje się natychmiast. Czego szukamy?

– Masz nagrania z oddziału intensywnej terapii?

Strażnik postukał w klawiaturę.

– Poczekalnia, stanowisko pielęgniarek, wejście na OIOM, które wymaga specjalnej karty. Nikt nie może wejść ot tak sobie.

– Przyjrzyjmy się stanowisku pielęgniarek – powiedziałem, a po namyśle dodałem: – Zaczniemy od nocy w weekendy.

Ochroniarz cofnął się do sobotniej nocy z początku miesiąca i niemal natychmiast znalazł to, czego szukałem.

– Zatrzymaj – poprosiłem.

Kamera przemysłowa uchwyciła Jacksona Rose'a.

Z bukietem w dłoni, uśmiechając się do filipińskiej pielęgniarki, jak gdyby kwiaty przyniósł właśnie dla niej, minął stanowisko pielęgniarek w drodze do pokoju weterana wojennego w śpiączce.

* * *

W nocy można zobaczyć londyńskich bezdomnych.

W ciągu dnia są niewidoczni, w każdym razie trudno ich odróżnić od ludzi posiadających miejsce zamieszkania. Za to nocą bezdomni się ujawniają. Jest kilka miejsc – załóżnie niewiele jak na dziesięciomilionowe miasto – dokąd mogą pójść, żeby dostać coś do jedzenia.

Jednym z takich miejsc jest dworzec Waterloo. Pod poczerniałymi od dzisiejszych spalin i dawnej mgły łukami, gdzie pociągi dudnią ci

nad głową.

W ten ciepły letni wieczór Jackson Rose wraz z kilkoma ochotnikami stali z tyłu białej furgonetki i nakładali makaron pad thai na papierowe talerzyki dla mężczyzn i kobiet w każdym wieku i wszystkich ras, chociaż wiele osób nosiło stare złachmanione mundury wojskowe.

Czekając przy furgonetce, odmówiłem miłej eleganckiej starszej pani, która proponowała mi herbatę i „cudowny makaron Jacksona”. Mój przyjaciel starał się obsłużyć wszystkich, ale ciągle przychodzili nowi głodni, więc w końcu przekazał pracę miłej starszej pani i ruszyliśmy pod łukowatym sklepieniem dworca, aż łoskot pociągów został w tyle, umożliwiając rozmowę.

– Zostawiłeś pracę na targu Smithfield – zacząłem. To nie było pytanie.

– Ta daje więcej satysfakcji – odparł. – Przecież nadal płacę ci za mieszkanie, prawda?

– Sądzisz, że obchodzi mnie forsa za mieszkanie?

Jackson ruchem głowy wskazał ludzi czekających w kolejce na jego makaron.

– Wielu z nich służyło w Iraku i Afganistanie. Starsi także w Irlandii Północnej i na Falklandach.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, że odwiedziłeś Berta Page’a?

– Czemu miałbym ci mówić?

– Bo doskonale wiedziałeś, jaką sprawę prowadzę. Wiedziałeś, że Darren Donovan zafundował Bertowi śpiączkę. Wiesz, że szukam ludzi, którzy załatwili Darrena Donovana.

Obejrzał się na furgonetkę, gdzie rosła kolejka chętnych na pad thai.

– Ach, świętej pamięci Darren Donovan. Wygląda na to, że bardziej troszczysz się o tego martwego ćpuna niż o starszego pana, którego

zniszczył.

– Posłuchaj, rozumiem, że sprawa Berta Page’a mogła cię poruszyć.

– Poruszyć? – Pokręcił głową. – Myślisz, Max, że tak właśnie się czuję? Poruszony?

– Jak zwał, tak zwał. Rozumiem, że ta sprawa cię obchodzi, w porządku? Nie rozumiem natomiast, dlaczego o tym nie wspomniałeś.

– Dlaczego miałbym ci mówić. Już i tak patrzysz na mnie podejrzliwie.

– Nie mam zamiaru patrzeć na ciebie podejrzliwie, Jackson.

– Sądzisz, że jestem w to zamieszany? – spytał ze śmiechem. – Że mam związek z wieszaniem tych ludzi?

Przypomniała mi się historia użytkownika na moim laptopie. A także to, jak Jackson własnoręcznie rozniósł pijaków, którzy zaatakowali nas na Charterhouse Street. Przypomniały mi się jego słowa.

Jeden raz w głowę i jeden w serce.

– Nie – przyznałem. – Nie uważam, że masz z tym związek. Ale jesteś po ich stronie.

– Jasne, ja i sześćdziesiąt milionów ludzi.

Przypomniałem sobie, jak szalonym był dzieciakiem. Wiedziałem, że szaleństwo w nim pozostało i nie zniknie do końca życia.

– Nie chcę, żebyś wpadł w tarapaty – powiedziałem. – Troszczyć się o ciebie, w porządku? Po prostu cię nie znam, Jackson.

Posłał mi ten swój uśmiech.

– Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek – zapewnił. – Masz ochotę na pad thai? Po tej stronie Bangkoku lepszego nie znajdziesz.

Przez chwilę mu się przyglądałem, wreszcie odwzajemniłem uśmiech.

– Pad thai brzmi świetnie.

Nie dane mi było jednak spróbować makaronu Jacksona. Gdy weszliśmy pod czarne sklepienie dworca Waterloo, moja komórka zaczęła wibrować.

DZWONI EDIE WREN.

– Mają następnego – oznajmiła.

Nie musiałem odwracać głowy, by wiedzieć, że Jackson obserwuje mnie beznamiętnie, już bez uśmiechu.

Pół godziny później wszedłem do sali numer jeden, gdzie na ekranie telewizora HD zobaczyłem twarz mężczyzny.

Miał gęstą brodę bez wąsów i jasną cerę; zbliżał się do czterdziestki, na głowie nosił myckę, na nosie okulary w drucianych oprawkach. Ubrany był w proste szare szaty.

– Ofiarą ostatniego uprowadzenia jest Abu Din – powiedziała komisarz Whitestone.

Edie Wren, Billy Greene i Tara Jones patrzyli na nią od swoich biurk. Najwyraźniej odnowili umowę z Tarą, pomyślałem z zachwytem.

– Abu Din urodził się w Egipcie i otrzymał azyl w Wielkiej Brytanii – ciągnęła komisarz. – Jest poszukiwany za nawoływanie do zamachów terrorystycznych w Stanach Zjednoczonych, ale nie zgadza się na ekstradycję z Wielkiej Brytanii. Odwołał się do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. – Skinęła głową. – Typowa gnida szerząca nienawiść.

– Wróciłaś? – spytałem.

– Wróciłam – odparła.

– To dobrze. Nie mogę znaleźć egzekucji Abu Dina w internecie.

– Jeszcze go nie powiesili – wyjaśniła Edie Wren. – W każdym razie jeszcze nic nie zamieścili w sieci.

Billy Greene przyniósł mi potrójne espresso, za co uśmiechnąłem się do niego z wdzięcznością. Co prawda nie pochodziło z baru Italia, ale musiało wystarczyć. Wychyliłem kawę jednym haustem.

– Co o nim piszą? – spytałem.

– Nic, czego nie moglibyśmy sami znaleźć – odparła detektyw Wren. – Mamy gorącą linię z Colinem Cho. Urowadzenie Abu Dina wzbudza duże zainteresowanie. Ci z wydziału przestępczości internetowej trzymają rękę na pulsie, ale Albert Pierrepoint nietypowo milczy.

– Skąd wiemy, że to oni? – rzuciłem. – Ktoś może naśladować ich metody. Mogą być radykałami. Mnóstwo ludzi stoi po ich stronie. Skąd wiemy, że to tamci?

– Są podstawy, by tak uważać – odparła Whitestone. – Mamy nagranie z uprowadzenia Abu Dina. Porywacze są o wiele za sprawni, by mogło chodzić o entuzjastów amatorów. Spójrz na to, Max. Możesz puścić, Billy?

Palce Greene'a zatańczyły na klawiaturze i miejsce portretu Abu Dina zajęło czarno-białe nagranie z kamery przemysłowej. Na ulicy, gdzieś na przedmieściach, klęczeli ludzie. Przed nimi stał człowiek w szarych szatach. Abu Din. Wysoko w górze dostrzegłem wygięty łuk stadionu Wembley, połyskujący w słońcu pod koniec pięknego dnia.

– Abu Din pracował w centralnym meczecie w Wembley, ale wyrzucili go, kiedy w programie *Newsnight* pochwalił zabicie sześciorga brytyjskich żołnierzy w Afganistanie. Teraz wygłasza kazania uliczne.

Zapraǳnęłem kolejnego potrójnego espresso.

– Abu Din – powtórzyłem. – Dlaczego to nazwisko brzmi znajomo?

– Nazywają go Mułła Świr – wtrącił Billy. – Przewinę modlitwy do przodu, dobra? – Film na ekranie przyspieszył. – Gazety okrzyknęły go Mułłą Świrem, kiedy Abu Din oznajmił, że zabicie brytyjskich żołnierzy było „wspaniałą rzeczą”.

– Dostaje rocznie pięćdziesiąt tysięcy funtów od państwa na żonę i sześcioro dzieci – zauważyła Edie Wren. – To chyba my mamy świra.

– Gazety musiały zaprzestać nazywania go Mułłą Świrem, ponieważ organizacje charytatywne, zajmujące się psychicznie chorymi, uznały to za określenie obraźliwe – dodał Bille. – O, to jest bezcenny fragment.

Odtwarzane nagranie zwolniło do tempa rzeczywistego. Na ulicy w Wembley klęczało około stu ludzi. Mułła Abu Din, w prostych szarych szatach, stał przed nimi w asyście dwóch ochroniarzy. Oba palce wskazujące skierował w niebo. Na tyłach zgromadzenia dostrzegłem pojedynczego czarnoskórego mundurowego o budowie ciała boksera wagi ciężkiej. Domyśliłem się, że potrafi sobie radzić. Obserwacja tej ulicy nie należała do najprostszych zadań. Policjant stał naprzeciwko młodego człowieka na wózku inwalidzkim, za którym stała kobieta. Oboje śniadzi, przystojni, tak podobni do siebie, że mogli być bliźniakami. Młody człowiek trzymał tablicę. Z trudem odczytałem hasło:

Mój kraj – pokochaj go albo wynocha

– Zaraz się zacznie – uprzedził Billy.

Policjant nagle puścił się biegiem. Kobieta chwyciła rączki wózka inwalidzkiego i skuliła się, jakby w obawie przed ciosem. Następnie klęczący zaczęli wstawać, pokazując na coś poza kadrem.

Ludzie się rozpierzchli.

Ratowali własne życie.

Czarna furgonetka zdawała się pędzić prosto w tłum, ale nagle skręciła na chodnik, żeby wyminąć młodego człowieka na wózku. Automatycznie zacząłem wypatrywać znaków szczególnych na furgonetce. Wklęsniętej karoserii, zadrapań, wypisanych sprayem słów. Nic nie znalazłem. Tablicę rejestracyjną zaklejono brązową taśmą izolacyjną. Proste, lecz skuteczne.

Ludzie się rozbiegli. Tylko Abu Din groził palcem furgonetce.

Muła nadal groził, kiedy z pojazdu wysiadł Albert Pierrepoint. I następny. Dwaj dobroduszni wujkowie zlustrowali wzrokiem ulicę. W górze ekranu widziałem leżącego na brzuchu młodego policjanta, który wzywał pomoc przez radio. Trzeci miły wujek siedział za kierownicą furgonetki i wciskał gaz na sprzęgle.

– Maski Alberta Pierrepointa – powiedziałem. – Zręczny ruch.

Ochroniarzy Abu Dina nigdzie nie było widać, kiedy mułę bezceremonialnie zapakowano do czarnej furgonetki. Pojazd szybko ruszył na wstecznym i znikł, a podmiejska ulica stopniowo wypełniła się wiernymi patrzącymi w ślad za furgonetką; policjant powoli podniósł się z ziemi.

Billy postukał w klawiaturę i na duży ekran wróciła typowa siatka dziewięciu obrazów z kamer przemysłowych rejestrujących szybki wieczorny ruch uliczny.

– Kamery śledziły ich na szosie North Circular, gdzie jechali w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, potem ich zgubiliśmy. Po pewnym czasie znów ich namierzyliśmy.

Na ekranie pojawił się zatrzymany obraz płonącej furgonetki. Okolica przypominała opuszczoną planetę. W tle dostrzegłem wytarty szyld wielkiej firmy naftowej.

– Przesiedli się do innego wozu – stwierdziłem.

– Unieruchomili kamery na tej opuszczonej stacji benzynowej i puścili furgonetkę z dymem – uzupełniła Edie Wren. – Mamy po jednej kamerze przemysłowej na każdego człowieka w Londynie, ale to na nic, bo nie wiemy, czego szukamy.

Telefony nagle się rozdzwoniły, zaczęły wibrować i ćwierkać. Wren przeczytała SMS-a na swojej komórce.

– Są chyba pierwsze zdjęcia z egzekucji Abu Dina – oznajmiła. – Rzucę na duży ekran.

Postukała w klawiaturę i na ekranie telewizyjnym pojawił się stryżek. Kamera zbliżała się i oddalała, jakby ustawiano ostrość. W końcu zatrzymała się na stryżku wiszącym w znanym pomieszczeniu bez światła, pokrytym patyną lat. Kamera powoli cofnęła się i ujrzeliśmy cztery postacie w płaszczach.

– Jakość tej produkcji filmowej zdecydowanie rośnie – mruknęła detektyw Wren.

To nagranie różniło się od poprzednich. W centrum uwagi nie znajdował się przerażony skazaniec, ale rząd zdjęć na ścianie.

Żołnierze. Sześcioro. Uśmiechnięci, szczęśliwi, dumni.

Wren podniosła wzrok znad laptopa.

– Przychodzą niepotwierdzone informacje, że to jest Szóstka z Sangin.

– Pamiętam ich – powiedziałem. – Sangin to region we wschodniej części afgańskiej prowincji Helmand. Sześcioro naszych, w tym kobiety, jechało wozem patrolowym, kiedy zostali trafieni pociskiem domowej roboty. Wszyscy przeżyli, ale potem zostali rozszarpani przez tłum. Nie pokazywano tego w mediach z powodu drastyczności scen. Kawałki ciała zwisały z mostów, podczas gdy miejscowi tańczyli na ulicy.

Kamera sunęła wolno po twarzach sześciorga zabitych żołnierzy. Spojrzałem na Tarę Jones, która przeprowadzała biometrię głosu z nagrania.

Pochwyciła mój wzrok.

– Wychwytyjesz jakiś dialog, Taro? – spytałem.

– Tylko odgłosy z otoczenia – odparła. – To nie jest ruch uliczny. Zdaje się, że w pobliżu jest duża budowa.

– Abu Din głośno chwalił zabójców Szóstki z Sangin – oznajmiła komisarz Whitestone. – Nalegał, by nazywać ich Sześciorgiem

Krzyżowców. Babcia jednego z zabitych żołnierzy mówiła prasie, że muła zasługuje na powieszenie.

– Więc dlaczego jeszcze tego nie zrobili? – spytała Wren.

Obraz z kamery się wyostrzył przy kolejnym zbliżeniu pustego stryczka, po czym zastygł.

– Może to jest zwiastun – podsunęła Edie. – Czekajcie na główne wydarzenie.

– Albo uważają, że powieszenie to dla niego zbyt łaskawa kara – zasugerowałem.

* * *

Wcześniej rano Muzeum Wojny wypełniło się ludźmi, ale w pomieszczeniu w piwnicy, gdzie siedziałem obok kobiety na wózku inwalidzkim, panowała cisza. Carol poznałem przez swojego pierwszego szefa z wydziału zabójstw i poważnych przestępstw, inspektora Victora Mallory'ego. Dzięki niemu mogłem zawsze zwrócić się do Carol po pomoc.

– Kiedy zamordowano Szóstkę z Sangin, byłem w Camp Bastion – powiedziała. – Odniosłam wtedy wrażenie, że wojna z terroryzmem osiągnęła punkt zwrotny. – Zaśmiała się gorzko. – Zaczęłam czuć, że terroryzm wypowiedział nam wojnę.

Podjechała wózkiem do biurka i na monitorze komputera przesunęły się piekielne sceny. Wiwatujące tłumy. Ludzkie szczątki. Niemiłosierne słońce Afganistanu.

– Nie wiem, ile z tego chcesz oglądać, Max – powiedziała Carol. – Znaczna część tych materiałów nie mogła się ukazać w wieczornych wiadomościach, ale nie jestem pewna, czy na cokolwiek ci się przyda.

Ponownie sprawdziłem, czy w komórce nie ma wiadomości od Edie Wren, bo lada chwila spodziewaliśmy się zobaczyć w internecie

relację z egzekucji Abu Dina. Od jego uprowadzenia minął już cały dzień i nic się nie wydarzyło.

– Tak naprawdę to chciałem wypytać cię o Abu Dina – przyznałem.

– Muła Świr. – Uśmiechnęła się szeroko. – Porwali go, prawda?

Skinąłem głową.

– Kto chciałby go powiesić, Carol?

– Żartujesz? Każdy, kto służył. Każdy, kto kochał kogoś, kto służył. – Bez złości ani użalania się nad sobą klepnęła wózek inwalidzki po bokach. – Każdy, kto wrócił do domu na czymś takim.

Przypomniałem sobie dwoje demonstrantów powstrzymywanych przez policjanta w Wembley.

– Ale to nie to samo co faktyczne przeprowadzenie egzekucji – ciągnęła. – Poza tym styl jest niewłaściwy.

– Masz na myśli uprowadzenia, sfingowany proces i wieszanie?

– Wszystko razem. Maski. Dramatyzm. Po co go wieszać? Istnieją prostsze sposoby, żeby kogoś zabić.

Jeden raz w głowę i jeden w serce.

Jacksonie Rosie, pomyślałem. Kim ty, u diabła, jesteś?

Moja komórka zaczęła wibrować.

– Mamy Abu Dina – oznajmiła Edie. – Żywego.

– *Inszallah*, wybuchł wielki pożar – mówił Abu Din. – Wtedy pojąłem, że ten kraj jest *dar al-Harb*, krainą wojny.

Edie Wren zajrzała do notatek.

– Czyli wtedy spalili furgonetkę niedaleko Brent Cross, tak? – spytała. – Wtedy miał pan objawienie o krainie wojny? W Brent Cross?

Muła odwrócił się od niej twarzą i przesunął różowym językiem po wargach. Wyglądziwszy szare szaty, wyjrzał przez okno swego domu, tak jakby Wren w ogóle się nie odezwała. Poszedłem za wzrokiem muły. Na ulicy, skąd go uprowadzono, już gromadził się tłum wyznawców podnieconych wieściami o cudownym powrocie duchownego. Niektórzy się modlili. Inni robili sobie zdjęcia selfie.

Abu Dina znaleziono żywego w porcie kontenerowym London Gateway, na obrzeżach stolicy. Noc spędził zamknięty w ciężarówce, w końcu jednak zdołał się wydostać i wszczął alarm. Może jego zwolennicy mieli rację. Fakt, że na YouTube nie pojawiło się nagranie z egzekucji muły, zakrawał na cud.

– Proszę powiedzieć wszystko, co pan pamięta, panie Din – poprosiłem.

Muła przytaknął, zerknął na mnie zza okularów w drucianych oprawkach i odwrócił wzrok.

– *Allahu akbar* – mruknął, nie pierwszy już raz. – Zabrali mnie. Ludzie w maskach. Potem spalili samochód i przenieśli mnie do

innego. Pojechaliśmy na parking z ciężarówkami. Dużymi ciężarówkami.

– Kontenerowcami – uzupełniłem.

– Zamknęli mnie w metalowej skrzyni i zebrali się wokół mnie. – Wzniósł oczy ku niebu. – Ale metal był słaby, *Allahu akbar*, i nie przyszła jeszcze chwila mojej śmierci.

Spojrzałem na jego zabandażowane stopy w sandałach. Po całonocnym kopaniu w zardzewiałą ścianę ciężarówki obie krwawiły.

– Mówili coś? – zapytałem.

– Zanim mnie zamknęli, jeden z nich, ten duży, spytał, czy wiem, za co spotyka mnie kara. Te słowa bardzo rozgniewały innego, tak że uderzył w ciężarówkę i nakazał milczenie. Starali się nie odzywać. Potem mnie zamknęli, zostawili i we trójkę wrócili do samochodu. Usłyszałem, jak odjeżdżają.

– Zaraz – powiedziałem. – W ciężarówce zamknęło pana trzech ludzi? Czyli jeden czekał w taksówce?

– Nie. Wszyscy przyszli mnie zamknąć.

– Twierdzi pan, że było ich tylko trzech? – dopytywałem się.

– Dwaj mnie pojмали, a jeden prowadził – potwierdził Abu Din.

Edie Wren i ja spojrzeliśmy po sobie.

– Więc gdzie był czwarty człowiek? – spytałem.

– Może prowadził ten drugi pojazd – podsunęła. – Przesiadka do innego wozu i spalenie tego, w którym go porwali, to sprytne posunięcie.

– Ale tego czwartego ktoś musiałby odwieźć, prawda? Po spaleniu pierwszego samochodu. – Znowu zwróciłem się do Abu Dina: – Widział pan ich twarze? Zdjęli maski? Słyszał pan ich głosy? Wymieniali nazwiska?

– Już mnie pan o to pytał. Widziałem ich białe dłonie. Czuję zapach ich braku wiary. To byli *kuffar*, niewierni. Jak pan.

– Może mieli na rękach tatuaże albo inne znaki rozpoznawcze? Czy cokolwiek mówili?

Muła nie odpowiedział.

– Ma pan wielkie szczęście, że żyje – rzuciła detektyw Wren. – Wie pan o tym, prawda?

Abu Din wiedział.

Lewą dłonią chwycił prawą, ale nadal nie mógł przestać się trząść. Za wszelką cenę chciał odgrywać rolę wielkiego człowieka na użytek wyznawców na ulicy i tych, co wcisnęli się do dużego budynku komunalnego w Wembley. Podczas przesłuchania słyszeliśmy, jak łomoczą na górze. Przyszło mi na myśl, że on naprawdę wierzy, że jakiś bóg uratował mu dzisiaj życie.

– To nie był mój czas na *dżanna* – oświadczył.

– *Dżanna* to raj, prawda? – spytałem.

Muła nie odpowiedział. Moja pobieżna znajomość arabskiego nie zrobiła na nim wrażenia.

– Londyńscy policjanci znają po pięćdziesiąt słów w pięćdziesięciu językach – wyjaśniłem z uśmiechem.

Zero reakcji.

– Panie Din, damy panu „ostrzeżenie Osmana” – powiedziałem. – Oznacza ono, że naszym zdaniem grozi panu śmiertelne niebezpieczeństwo, i proponujemy ochronę policyjną.

Wąskie wargi ułożyły się w uśmiech.

– Sądzi pan, że potrzebna mi ochrona niewiernych?

– Tak – oparłem. – Jeszcze będziemy rozmawiać.

Zamknęliśmy notesy.

Abu Din poszedł, aby przemówić do zwolenników gromadzących się na ulicy. Wren i ja podeszliśmy do okna i wyjrzelśmy na nędzną podmiejską ulicę, jedną z tych, co to nawet w słoneczny letni dzień

wyglądają szaro. Kiedy Abu Din zaczął przemawiać w urdu, ludzi ogarnęło podniecenie.

– Dlaczego po prostu go nie załatwili? – spytałem.

– Może na miejscu egzekucji odbywały się akurat zajęcia jogi? – podsunęła Wren. – Max, wierzysz, że on naprawdę nic nie słyszał ani nie widział?

Skinąłem głową.

– Skoro wykazali dość przebiegłości, żeby zasłonić rejestracje, pamiętali, by spalić wszystkie ślady razem z furgonetką, to nie popełnili też typowych głupich błędów – odparłem. – Czyli nie zwracali się do siebie po imieniu i nie pokazywali twarzy w obecności ofiary.

Wyszliśmy na ulicę.

Za głowami wiernych słuchających Abu Dina – wyłącznie mężczyzn – dostrzegłem czarnoskórego policjanta, który patrolował ulicę, gdy nadjechała furgonetka. Dalej siedział na wózku ten sam młody człowiek w towarzystwie młodej kobiety. Nadal mieli ze sobą tablicę i unieśli ją, gdy Abu Din przeszedł z urdu na angielski.

– W wielkim ogniu zobaczyłem – mówił. – Objawiono mi, że czarna flaga islamu będzie powiewać nad Pałacem Buckingham i nad Downing Street.

– Niedoczekanie twoje, skurwielu – rzuciła Edie Wren.

Obchodząc tłum, dotarliśmy na koniec ulicy i przedstawiliśmy się mundurowemu policjantowi. Nasi ludzie wciąż patrolowali okolice, ale nie było ich wielu i trzymali się w tyle. Komisarz Whitestone wróciła tam, gdzie jej miejsce. Ekipy poszukiwawcze zdążyły już przeczesać tę szarą ulicę i udały się do portu kontenerowego London Gateway przy szosie M1, by zbadać porzucony kontener, w którym więziono Abu Dina.

Pokazaliśmy policjantowi legitymacje. Z bliska wydawał się znacznie potężniejszy niż na filmie, a także o wiele młodszy. Niedawno musiał ukończyć akademię policyjną w Hendon. Na plakietce widniało nazwisko Rocastle. Był zakłopotany tym, że nie spisał się lepiej, kiedy nadjechała furgonetka.

– Postąpiłeś właściwie – zapewniłem go. – Zszedłeś im z drogi. Ani ty, ani nikt inny by ich nie powstrzymał.

– Widziałeś ich twarze? – spytała Edie. – Usłyszałeś coś, jak wysiedli?

– Kiedy ich zauważyłem, mieli na twarzach maski Alberta Pierrepointa – odparł policjant. – Gdy pakowali Abu Dina do furgonetki, rozległy się wrzaski, ale nie wiem, kto krzyczał.

– Jak ich złapiecie, dajcie im medal – włączyła się kobieta.

Stała za młodym człowiekiem na wózku. Po raz pierwszy zobaczyłem, że młodziak ma na sobie resztki munduru: koszulkę khaki i spodnie z kamuflażem pustynnym luźno zwisające na protezach obutych w tenisówki Asics, tak nowiutkie, jakby dopiero wyjęto je z pudełka. Kiedy oglądali moją legitymację, zauważyłem, że oboje mają brązowe oczy, czarne włosy i łatwo opalającą się cerę.

– Detektyw Wolfe – przedstawiłem się. – Kim pani jest?

Młoda kobieta się roześmiała. Wcześniej sądziłem, że mogą być bliźniakami, teraz jednak zobaczyłem, że jest o kilka lat starsza od chłopaka na wózku.

– Jesteście beznadziejni – rzuciła, wykrzywiając z goryczą usta. – Pan Din rozprawia właśnie o zatknięciu swojej flagi na Downing Street, a wy chcecie mnie legitymować?

W pobliżu kręciło się sporo reporterów i fotografów, większość pod domem Abu Dina. Kiedy jednak kobieta z rozbawieniem i niedowierzaniem podniosła głos, paru dziennikarzy odwróciło

głowy. Na mój znak detektyw Wren odprowadziła ich na stronę, zanim zdążyli do nas podejść.

– Tutaj doszło do przestępstwa, proszę pani – zwróciłem się do kobiety i czekałem. W końcu podała mi prawo jazdy.

Piper Maldini, lat dwadzieścia dziewięć.

– Nie mam żadnego dokumentu – wyznał zaniepokojony mężczyzna na wózku. Piper Maldini uspokoiła go, kładąc mu rękę na ramieniu. Z jego plecaka wyjęła legitymację ubezpieczenia zdrowotnego. Philip Maldini, lat dwadzieścia sześć.

– To moja siostra – wyjaśnił.

Oddałem im prawo jazdy i legitymację. Piper wciąż opierała lekko dłoń na ramieniu brata.

– Jesteście tu codziennie? – zapytałem najłagodniej, jak potrafiłem.

– Czy to też jest przestępstwo? – Ciągle była najeżona.

Pokręciłem głową.

– Czy to byli ludzie, którzy załatwiają tych z Klubu Wisielców? – spytał podniecony Philip Maldini.

Mogłem im wciskać kit albo wyznać prawdę.

– Przyjmujemy takie założenie, ale nie wykluczamy też możliwości, że mogła to być grupa amatorów.

– I muła zdołał uciec?

– Tak.

– Następnym razem bardziej się poszczęści – powiedziała Piper.

– Dlaczego tu przychodzicie? – zapytałem.

– Żeby stawić czoło ludziom tańczącym na naszych grobach – odparła. – A pan czemu tutaj przychodzi, detektywie? Żeby chronić Abu Dina?

– Ja tylko wykonuję swoją pracę.

– Czy nie to właśnie mówili strażnicy z nazistowskich obozów koncentracyjnych?

Utkwiłem w niej wzrok.

– Nie myślę o sobie jako o strażniku z obozu koncentracyjnego, proszę pani – odparłem.

– Co by się stało ze mną, gdybym zaczęła głosić takie brudy, jakie płyną z jego ust? – Wskazała ręką człowieka w szatach, który wygłaszał kazanie na końcu ulicy. – Gdybym nawoływała do nienawiści, szydziła z chłopców, którzy zginęli za swoją ojczyznę, gdybym twierdziła, że geje, kobiety i Żydzi są podludźmi? Co by pan ze mną zrobił, detektywie?

Nachyliłem się, by spojrzeć na młodego człowieka na wózku.

– Dziękuję panu za służbę – powiedziałem.

Zacząłem się oddalać. Nie chciałem się z nią kłócić, nie chciałem też ich aresztować. Zarazem obawiałem się, że jeśli zostanę dłużej, zrobię jedno i drugie.

– Detektywie! – zawołała za mną Piper Maldini.

Odwróciłem się. Jedną dłonią trzymała wózek inwalidzki brata, drugą podwinęła rękaw koszuli, żeby pokazać mi tatuaż na bicepsie. Już takie widziałem. Tatuaż armii brytyjskiej. Pięć czerwonych i czarnych maków, a nad nimi słowa:

WSZYSCY COŚ DALI – NIEKTÓRZY DALI WSZYSTKO

– Nie tylko mój brat służył.

Obudziłem się u kresu nocy, kiedy głęboki, odświeżający sen grzęźnie na mieliznach marzeń sennych.

Pierwsze promienie słońca wypełniały duże okna mlecznym światłem. Usłyszałem, jak Stan wzdycha i kładzie się obok mnie; pogłaskałem go, by zapewnić, że jeszcze nie trzeba wstawać.

Moja komórka wibrowała. Komisarz Whitestone.

Konferencja prasowa

W głównym

Punktualnie o 8.00

Spojrzałem na zegar przy łóżku: 4.45. Z westchnieniem położyłem się z powrotem, z dłonią na sierści miększej niż jedwab. Wielkie okrągłe oczy Stana obserwowały mnie w ciemności.

– W dzisiejszych czasach nikt już nie sypia, Stan – powiedziałem.

Scout spędzała kilka nocy u Mii, co było możliwe jedynie podczas wakacji, dlatego po wyprowadzeniu i nakarmieniu psa poczekałem na panią Murphy, po czym ruszyłem do pracy znacznie wcześniej, niż musiałem. Z pokoju Jacksona nie dobiegały żadne odgłosy.

Sala numer jeden świeciła pustkami, gdy pojawiłem się w komisariacie z potrójnym espresso z baru Italia przy Frith Street w Soho. Jak to czasem bywało po źle przespanej nocy, odezwały się dawne urazy, wspomnienia bólu, który, jak mawiała moja babcia, „dawał w kość”.

Na brzuchu miałem prawie dziesięciocentymetrową bliznę, pamiątkę po nożu człowieka, który już nie żył.

Prawa, dolna część klatki piersiowej dawała mi się we znaki. Kiedy załamał się pode mną stół, zerwałem mięśnie międzyżebrowe, te, dzięki którym oddychamy. Także z siłowni, w której próbowałem zgrywać twardziela, wyniosłem szereg obrażeń.

Dzisiaj wszystko bolało.

Dlatego zdjąłem ślubną marynarkę i zacząłem się rozciągać na podłodze sali numer jeden. Tylko to mogło uśmierzyć stary ból. Ruchów nauczyłem się od Stana. Pies wykonywał je zawsze po przebudzeniu.

Najpierw opadłem na czworaki, następnie wygiąłem kręgosłup, unosząc głowę i odchylając ramiona. Zupełnie jak Stan. Potem wygiąłem kręgosłup w drugą stronę, próbując dotknąć brodą pępka. Zupełnie jak Stan. Zrobiłem wydech i momentalnie poczułem się lepiej; chwilę zostałem na czworakach, potem wyprostowałem ręce i nogi, wypychając pośladki w górę. W tej pozycji zobaczyłem Tarę Jones, która obserwowała mnie od progu sali numer jeden.

– Ćwiczysz jogę? – spytała. – Jestem pod wrażeniem.

Z płonąca twarzą wstałem z podłogi.

– Co? Joga? Nie! To tylko ruchy, których nauczył mnie Stan.

– Stan to twój nauczyciel jogi? Niezły jest.

– Stan to mój pies.

Podeszła do swego biurka.

– Dlaczego zjawiałaś się tak wcześnie? – zapytałem, a kiedy się odwróciła, oboje zdaliśmy sobie sprawę, że nie usłyszała.

– Przepraszam. Czasami zapominam.

– Zapominasz, że jestem głucha? – Przyglądała się mojej twarzy.

– Tak.

– Nie ma powodu, żeby pamiętać. Głuchota nie jest czymś, co zmienia moje życie. To utrudnienie, ale nie kalectwo. Moi rodzice usłyszeli: „Wasza córka może mieć utrudnione życie albo zostać kaleką. Decyzja należy do was”. Traktowali moją głuchotę jako utrudnienie, nie kalectwo. Ja postępuję podobnie.

– Nie chciałem cię urazić.

– Nie szkodzi, że zapominasz. Nie obrazasz mnie.

Tara czekała, aż się odezwę.

– Po prostu byłem ciekaw, dlaczego przyszedłeś tak wcześnie.

Z nieznacznym uśmiechem odgarnęła włosy z twarzy.

– Nie chciałam panu przeszkadzać w sesji jogi, detektywie.

– Nie ćwiczę jogi. – Zaśmiałem się z zakłopotaniem.

– Ależ ćwiczysz – upierała się. – Podobnie jak twój pies. Stan? Nawet jeśli o tym nie wiesz. – Włączyła urządzenie do badania głosu. – Dwie sprawy. Zrobiłam biometrię ostatniego nagrania. W tle słychać budowę. Wiem, wiem, cały Londyn jest placem budowy. To jednak nie są odgłosy remontu mieszkania czy budowy nowej ciepłarni. Pięćdziesiąt metrów pod ziemią słychać ciężki sprzęt. Budują duży wysokościowiec. To zawęża poszukiwania, prawda.

Przytaknąłem i spytałem:

– A druga sprawa?

– Przeanalizowałam nagrania twoich przesłuchań Warboysa i Wildera. To pierwsze nie wykazuje żadnych anomalii biometrycznych. Wydaje mi się jednak, że Wilder nie mówił ci całej prawdy.

Przypomniałem sobie Barry’ego Wildera w sali przesłuchań i moje całkowite przekonanie, że mówił prawdę. Nie miał nic wspólnego z egzekucją Mahmuda Iraniego.

– Mówiłaś, że biometria głosu jest nieomylna...

– Nigdy tak nie twierdziłam. Powiedziałam, że jest o lata świetlne bardziej zaawansowaną technologią niż dwudziestowieczne metody w rodzaju wariografu. – Postukała w klawiaturę i odnalazła nagranie. – Posłuchaj tego, dobrze?

Po chwili usłyszałem własny głos.

„Czy kontaktował się pan z Mahmudem Iranim po zwolnieniu go z więzienia?”

Potem odezwał się Barry Wilder, a żółty wykres na monitorze Tary Jones wystrzelił jak letnia błyskawica.

„Wziąłem nóż... Zamierzałem wbić mu go w serce”.

– On mówi prawdę – stwierdziłem.

– Owszem, ale nawet w chwili, gdy mówi prawdę, rejestrujemy przyspieszoną pracę serca, podwyższone ciśnienie krwi, płytki oddech. Dawniej nie testowałam wypowiedzi, które uważaliśmy za prawdziwe. A powinnam.

– Przecież on jest zdenerwowany. Siedzi w komisariacie. Przyznaje, że rozważał zabicie jednego z gwałcicieli córki.

Tara Jones pokręciła głową.

– Chodzi o coś więcej. Znacznie więcej. Jego ciśnienie skurczowe wynosiło sto dziewięćdziesiąt, rozkurczowe sto dziesięć. Lekarze nazywają to nadciśnieniem. Nawet w chwili, kiedy mówił ci prawdę, jego ciśnienie krwi było poza skalą.

– Twierdzisz, że Wilder mnie okłamywał?

– Nie – odparła. – Twierdzę, że nie zadawałeś mu właściwych pytań.

* * *

Komisarz Whitestone zastygła.

Patrzyła na tłum reporterów, fotografów i ekip telewizyjnych wciśniętych do sali dla mediów na pierwszym piętrze komisariatu; dziennikarze wbijali w nią wzrok, czekając, aż coś się wydarzy.

Nic się jednak nie działo.

Ta drobna kobieta w okularach, najbardziej doświadczony detektyw na Savile Row 27, wyglądała tak, jakby nie wiedziała, co tu robi i czego od niej oczekują. W prawej dłoni trzymała oświadczenie. Na moich oczach zgniotła je w kulkę.

Stałem po jednej ręce komendant Policji Metropolitalnej, komisarz po drugiej. Zauważyłem, jak komendant delikatnie dotyka pleców Whitestone, żeby dodać jej otuchy i jednocześnie ponaglić. Komisarz stała bez ruchu.

Od momentu, kiedy Pat Whitestone przybyła dziś do sali numer jeden, sprawiała wrażenie roztargnionej, zmęczonej, jakby wciąż była myślami przy synu w szpitalu. Z baru Italia przyniosłem jej przyzwoitą kawę i do czasu zebrania się naszego zespołu komisarz zaczęła przypominać siebie. Teraz jednak zastygła.

– Zrobię to – szepnąłem i ująłem mikrofon. – Dzień dobry, panie i panowie. Jestem detektyw Max Wolfe z komisariatu głównego na West Endzie. Złożę krótkie oświadczenie w sprawie toczących się dochodzeń i odpowiem na kilka pytań.

Scarlet Bush wstała.

– Chciałabym zapytać pana o ludzi, którzy weszli do Klubu Wisielców, to znaczy o ofiary – powiedziała.

Wyjąłem z dłoni Whitestone zgniecione oświadczenie, a ona zerknęła na mnie, po czym wybiegła z sali.

Spojrzałem na to, co napisała.

Złożę krótkie oświadczenie.

– Gwałciciel dzieci. Kierowca, który zbiegł z miejsca wypadku. Narkoman, który tak pobił weterana wojennego, że zapadł w śpiączkę.

– Buzia Scarlet Bush się nie zamykała. – Teraz kaznodzieja szerzący nienawiść, powszechnie znany jako Muła Świr, zdaniem niektórych zasłużenie.

Trzymałem nerwy na wodzy.

– Jak brzmi pani pytanie?

– Jakie to uczucie ścigać ludzi, których miliony uważają za bohaterów.

– Samozwańcza straż obywatelska to nie bohaterowie – sprostowałem. – Mordercy nie są bohaterami. Nie w oczach prawa.

Dziennikarze zasypali mnie gradem pytań.

– Prawo ma chronić wszystkich – powiedziałem.

– Nawet podżegaczy do nienawiści, takich jak Abu Din?

– Wszystkich. Ludzi, którzy usiłowali uprowadzić pana Dina, będziemy ścigać równie energicznie jak innych. Na tym to polega, moi drodzy. Przykro mi, że was rozczarowuję, ale nie ma innego sposobu.

Dziennikarze przekrzykiwali się; czułem, jak zdenerwowana funkcjonariuszka do kontaktu z mediami ponagła mnie, żebym kończył. Patrząc w oczy Scarlet Bush, powtórzyłem:

– Mordercy nie są bohaterami.

– Zależy kogo mordują – powiedziała reporterka, a pozostali wybuchli śmiechem.

* * *

W sali numer jeden czekała na mnie Whitestone.

– Przepraszam cię, Max. Nie dałam rady.

– Nic nie szkodzi. Z przyjemnością biorę to na siebie. W nosie mam, czy mnie kochają, czy nie. Nie obchodzi mnie, co piszą. Jestem ponad to wszystko.

– Nie to miałam na myśli. Widziałam go.

– Kogo? – Utkwiłem w niej wzrok.

– Treya N’Dou. Chłopaka z gangu Dog Town Boys, który oślepił mojego syna. Mieszka półtora kilometra od nas. Dasz wiarę? Widziałam go na ulicy. Stale będę go widywać. Kiedy mój syn wróci do domu, on tam będzie.

Ruszyła do drzwi.

– Chodź – rzuciła. – Pokażę ci.

* * *

To było inne Islington.

Nie Islington, gdzie politycy jedzą hodowane organicznie kurczaki i snują plany dominacji nad światem; nie Islington, gdzie nie masz co marzyć o kupnie domu za mniej niż dwa miliony funtów; nie Islington, gdzie wygodnie się mieszka, jeśli człowiek pracuje w City.

W tym Islington domy komunalne ciągną się bez końca, od Angel po King’s Cross; tu ludzie niemający nic mieszkają tuż obok tych, co mają wszystko, i tym pierwszym wcale się to nie podoba.

Zaparkowałem po drugiej stronie ulicy naprzeciwko knajpy z kebabami przy Holloway Road. Przed lokalem stał purpurowy volkswagen golf.

– Oni mieszkają w tej okolicy – powiedziała Whitestone. – Dog Town Boys. Łażą tu. Będę ich spotykać. A oni będą widywali mnie, Max. Będą mnie widzieli z moim pięknym chłopcem. Z chłopcem, któremu zabrali oczy. Trey N’Dou i jego kumple będą go widywać i będą się z nas śmiali. Wiem to, wiem to, wiem to. Ja coś zrobię. Jeżeli będą się z nas śmiali, zrobię coś, Max. Przysięgam na Boga.

– Posłuchaj mnie, dobrze? Jeśli cię zamkną, na nic się nie przydasz synowi. Dlatego nic nie zrobisz, zgoda? Przestań tak wygadywać, Pat.

Wskazała palcem nędzną ulicę.

– To on. To jeden z Dog Town Boys, który to zrobił. Trey N’Dou.

Z baru z kebabami wyszedł młody człowiek o budowie dorosłego mężczyzny. Jadł z otwartymi ustami.

– To ten? On to zrobił? Masz całkowitą pewność?

Po twarzy Pat Whitestone płynęły łzy.

– Jak my mamy żyć, Max? – zapytała.

* * *

Przez okno naszego mieszkania patrzyłem, jak Jackson wraca z siłowni Freda. Do piersi przyciskał moje stare czterystugramowe rękawice bokserskie Lonsdale.

Mimo późnej pory wciąż było jasno, a z powodu dobrej pogody przed pubami tłoczyli się ludzie. Tuż pode mną, przed wejściem do naszego domu przy Charterhouse Street, stało kilkunastu chłopaków. Jackson szedł prosto na nich. Z wysokości czwartego piętra słyszałem brzęk tłuczonego szkła i śmiech.

Obserwowałem Jacksona.

Patrzyłem na chłopaków.

Zebrałem się w sobie, żeby ruszyć mu na pomoc.

Ale nie potrzebował mojej pomocy.

Chłopcy rozstąpili się, żeby go przepuścić. Nie spojrzeli na niego, a Jackson nie patrzył na nich. Coś w jego posturze kazało im się rozstąpić. Na odgłos klucza w zamku Stan wstał i podreptał do drzwi.

Nie posiadał się z radości na widok Jacksona.

– Cześć, mały – przywitał go mój przyjaciel i podrapał za sporymi uszami. Potem spojrzął na mnie, zauważył mój wyraz twarzy i czekał, aż się odezwę.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziałem.

Jackson skinął głową.

– W porządku. Zdążę wziąć prysznic?

Żadnego: czy stało się coś złego?

Żadnego: o co chodzi, Max?

Chciał tylko wiedzieć, czy zdąży wejść pod prysznic. Spokojna akceptacja faktu, że tej nocy go potrzebowałem. Uśmiechnąłem się. Nigdy bardziej niż w tej chwili nie myślałem o nim jak o bracie. Nigdy też bardziej go nie kochałem.

Wyjrzałem przez wielkie okna na ostatnie promienie letniego dnia.

Przed zmrokiem nie musieliśmy ruszać.

– Zdążysz wziąć prysznic – zapewniłem go.

23

Kiedy jechaliśmy na północ, zbliżała się godzina o tej samej nazwie.

Na jezdni panował niewielki ruch, ale na ulicach wciąż widziało się sporo ludzi, którzy wyciskali ostatnie soki z gorącej letniej nocy; ubrani jak na plażę toczyli się do domów z pubów i barów. Na Farringdon Road pracownicy poczty zmierzali na nocną zmianę do sortowni Mount Pleasant i na ich widok poczułem, że lato ma się ku końcowi. Jackson wpatrywał się w nich, słuchając mnie.

– Pewien szesnastoletni chłopiec został oślepiiony. Ktoś uderzył go w oczy rozbitą butelką. Bez powodu. Żadnych świadków. Nikogo nie aresztowano. Nikt nie poniósł kary. Chłopak nazywa się Justin Whitestone i jest synem mojej szefowej. – Przełknąłem coś twardego i gorzkiego. – Lekarze powiedzieli jego matce, że nigdy nie odzyska wzroku.

 Jackson skinął głową.

 – Kto to zrobił? – spytał cicho.

 – Jest taki mały gang, Dog Town Boys – odparłem. – Działają na terenie między King's Cross a Upper Street. Gość, który od biedy może uchodzić za ich przywódcę, nazywa się Trey N'Dou. Wiarygodny świadek, dziewczyna, wskazała go, ale potem obleciał ją strach.

 Jackson przyglądał mi się uważnie.

 – I chcesz wyrównać rachunki?

 Pokręciłem głową.

– Chcę tylko, żeby ten Trey zniknął. Chcę, żeby wyjechał z miasta. Nigdy go nie zamkną. Wszyscy, którzy widzieli, jak oślepia tego chłopaka, są zbyt przestraszeni, by mówić. Chcę go zmusić do wyjazdu, żeby moja przyjaciółka nie musiała oglądać jego paskudnej gęby, kiedy będzie chodzić z synem po ulicy.

– Co mam zrobić?

– Ochroniać mnie.

Właśnie przejeżdżaliśmy obok stacji King's Cross. Skręciłem w Pentonville Road. Przed nami i w górze widzieliśmy światła dzielnicy Angel.

– Dobra – rzucił Jackson.

* * *

Staliśmy na parkingu na tyłach Liverpool Road.

Niemal pusty parking należał do całodobowego supermarketu. Zaparkowałem w pewnej odległości od purpurowego volkswagena golfa. Po przeciwnej stronie ulicy znajdował się bar Dabs, jedyny znak życia i światła w posepnym szeregu zamkniętych sklepów. Nie sposób było stwierdzić, czy sklepy zamknięto na noc czy na wieczność. Z Dabs dobiegały głębokie dźwięki basu. Na ulicy stali młodzi ludzie, w większości czarni, rozmawiając z bramkarzem. Zastanawiałem się, czy bramkarz może stwarzać problemy.

– To bryka Treya – powiedziałem, wskazując golfa.

– Wchodzimy czy czekamy na zewnątrz?

– Czekamy.

– W porządku – odparł Jackson i zamknął oczy. Mój przyjaciel posiadał typową dla żołnierzy zdolność ucinania sobie drzemki, kiedy nadarzała się okazja. Nie musieliśmy jednak długo czekać. Trey N'Dou wyszedł z baru w towarzystwie chudej dziewczyny w spódniczce

mini. Lekko dotknąłem ramienia Jacksona i momentalnie się obudził. Patrzyliśmy, jak Trey i dziewczyna idą na parking.

– Co robimy, jeśli nie będzie sam? – spytał Jackson.

– Wtedy dajemy spokój.

Trey z dziewczyną zagłębili się w ciemny zakątek parkingu. Na wyłysiałym trawniku dziewczyna uklękła, a on stał nad nią, sprawdzając coś w komórce.

Nie, nie sprawdzał nic w telefonie.

Robił jej zdjęcie.

Kiedy skończyła, wstała, on zapiął rozporek i poszli w stronę Dabs. Dziewczyna znikła w barze, a Trey ruszył do purpurowego golfa, którego światła mignęły dwukrotnie, gdy otworzył go pilotem. Czekaliśmy, aż podejdzie na tyle blisko, że nie będzie mógł uciec.

W końcu skinąłem głową Jacksonowi i wysiedliśmy.

– Hej – odezwałem się, a gdy chłopak zwrócił się ku mnie, popchnąłem go na wóz tak mocno, że się od niego odbił. Odwróciłem go, położyłem jego dłonie na dachu, kopnąłem w nogi, żeby je rozstawił, i zacząłem go przeszukiwać.

Chichotał pod nosem.

– Czuję boczek – powiedział. – Pyszny boczek. Mniam, mniam, ale ta świnia pachnie.

– Zgadza się – odparłem. – Właśnie taki zapach wydzielasz. Należysz do gangu, twardzielu? Ja też. Do największego gangu w mieście.

Obszukałem go, usilnie starając się zapanować nad oddechem i powstrzymać drżenie. Spojrzałem na Jacksona, który spokojnie patrzył przez ulicę na wejście do baru Dabs.

Zacząłem opróżniać workowate spodnie Treya. Najpierw wyjąłem plastikową torebkę z białym proszkiem.

– Co to takiego? Koks? Do siedmiu lat więzienia za posiadanie. – Następnie przyszła kolej na lekki kastet. – Noszenie niebezpiecznej broni w miejscu publicznym? Kolejne cztery lata. Nawet nie muszę ci niczego podrzucać, co, twardzielu? – Potem kupon na loterię. – Właśnie opuściło cię szczęście, Trey. – Zaśmiałem się.

Na koniec telefon komórkowy.

Dotknąłem ikony zdjęć. Miałem przed sobą cały wachlarz opcji. *Wszystkie zdjęcia. Wideo. Ostatnio usunięte.* Wybrałem *Ostatnio usunięte.* Ujrzałem zatłoczony klub. Śmiech. Krzyki. Justin Whitestone, zataczając się, szedł w kierunku aparatu, z oczu płynęła mu krew.

– Ty gnoju – wybuchłem i zdzieliłem go telefonem w głowę. Nogi się pod nim ugięły, ale nie upadł.

– Znam swoje prawa – powiedział ze śmiechem, a ja dostrzegłem coś, czego się nie spodziewałem.

On się mnie nie bał.

A ja chciałem, żeby się mnie bał.

Plan nie mógł się powieść, jeśli nie będzie czuł przede mną strachu.

– Max – powiedział Jackson. – Mamy towarzystwo.

Na parking wolno wtoczył się samochód, z którego dobiegała muzyka. Gdy zataczał łuk, przyglądały się nam cztery twarze – trzy czarne i jedna biała. Samochód zatrzymał się, ale silnik nadal pracował. Czworko drzwi się otworzyło. Kiedy wysiadali, Jackson szedł już w ich stronę.

– Nie ma tu nic do oglądania – zwrócił się do pierwszego, kierowcy, uderzając go dłonią w twarz, tak że tamten zatoczył się i chwycił za krwawiący nos. Dłoń, którą zadał cios, Jackson ułożył w coś na kształt znaku pokoju, po czym starannie wepchnął palec wskazujący i środkowy w oczy kierowcy.

Trzej pozostali skoczyli na mojego przyjaciela.

Jackson stawiał im czoło.

Bokiem prawej stopy kopnął jednego w kolano, następnie lewą w kolano innego.

Na Jacksona spadł grad przypadkowych ciosów, ale nie trwało to długo. Ruszył na przeciwników, wymierzając mocne kopniaki w kolana, a dłońmi i łokciami celując w oczy. Zaczynałem rozumieć jego technikę walki. Kolana i oczy. Właśnie tam mierzył, a trudno jest cokolwiek zrobić, nie mówiąc o walce, jeśli kolana i oczy odmawiają ci posłuszeństwa.

Można tylko podkulić ogon i umknąć.

Co właśnie zrobili.

Wszyscy czterej czmychnęli, czołgając się po ziemi.

Jakoś zdołali dotrzeć do samochodu i odjechali.

Mimo to Trey N'Dou nadal się mnie nie bał. Dostrzegał we mnie jakąś słabość, wstrzeźliwość. Wiedział, że nigdy nie przekroczę pewnej granicy. Spojrzał na mnie z uśmiechem. Wiedział, że nie wydlubię mu oczu ani nie zmasakruję kolan.

– Chcę, żebyś stąd zniknął – powiedziałem, a on zaśmiał mi się w twarz.

– A ja chcę, żebyś robił mi laskę tak długo, aż mnie pokochasz.

– Daj mi go na minutkę – poprosił Jackson i odepchnął mnie na bok.

Chwycił bandziora z Dog Town Boys, podstawił mu od tyłu nogę i pchnął oburącz jego pierś.

Trey N'Dou runął niczym grecki bank.

Wtedy zobaczyłem broń w dłoni przyjaciela.

Zdawało się, że pistolet zmaterializował się znikąd, ale widziałem, jak Jackson sięga prawą ręką do pleców i wyjmuje go spod koszulki Original Penguin, którą mu pożyczyłem.

Młody bandzior zobaczył pistolet w tej samej chwili co ja. Usłyszałem jęk, a potem syk, kiedy zsikał się w obszerne dzinsy. Bez

tchu patrzyłem, jak Jackson siada na nim okrakiem i wpycha mu w usta lufę.

– Nie słyszę – powiedział, gdy chłopak dławił się pistoletem. – Głośniej. Czego chcesz? Nie rozumiemy, co mówisz.

Trey N'Dou, z lufą w ustach, błagał o litość.

Jackson wyjął pistolet.

– Proszę. Proszę. Proszę – nie przestawał błagać chłopak.

Mój przyjaciel strzelił mu między nogami.

Dwukrotnie.

Już mi się zdarzało słyszeć wystrzały na serio. Ten odgłos nieodmiennie mnie szokował: huk zdawał się trwać dłużej, niż powinien, rozrywał powietrze, rozdzierał je i nie kończył się. Tym razem było inaczej. Jak gdyby dwie bomby eksplodowały jedna po drugiej.

Stałem sparaliżowany, w uszach mi dzwoniło, z trudem oddychałem.

Na moich oczach Jackson starannie podniósł obie łuski i wrzucił je do kieszeni.

– Czy ja nie żyję? – spytał Trey N'Dou.

Jackson się zaśmiał.

– Gdybyś nie żył, jeden miałbyś w głowie, drugi w sercu. Posłuchaj mojego przyjaciela. Wynieś się z Angel. Gównu nas obchodzi, czy wyjedziesz do Kingston-on-Thames, czy do Kingston na Jamajce. Twój wybór. Ale wierz mi, lepiej, żebyś nie oglądał jeszcze raz mojej twarzy. Więcej strzałów ostrzegawczych nie będzie.

Na Liverpool Road zapalały się światła.

Przed klubem pojawili się ludzie, którzy przyglądali się nam, kryjąc się za samochodami. Bramkarza nie widziałem. Za to w oddali rozległy się syreny i zastanawiałem się, czy jadą do nas.

– Wynośmy się stąd – powiedziałem.

* * *

Przez dłuższy czas nie odzywaliśmy się do siebie.

Pojechałem do Little Venice i zaparkowałem przy jednym z kanałów, obok szeregu barek mieszkalnych, na których nie paliły się żadne światła. Wyłączyłem silnik.

– Daj mi broń, Jackson.

Mój przyjaciel okręcił się, wydobył pistolet spod koszulki polo i oddał mi go. Poczułem w dłoni ciężar broni – nieco mniej niż kilogram – i od samego jej dotyku serce załomotało mi w piersiach.

– To glock siedemnastka – wyjaśnił Jackson, jakby rozwiewając moje wątpliwości. – Czasami nazywany bezpiecznym pistoletem Glock. Samopowtarzalny, kalibru dziewięć milimetrów, z polimerową obudową i krótkim odbiciem.

– Nie rozumiem.

– Obudowa nie jest ze stali, ale z polimeru, twardego plastiku, dzięki któremu jest znacznie lżejszy. Łatwiej go nosić, łatwiej ukryć. Samopowtarzalny dlatego, że nie wymaga przeładowania po każdym strzale.

– Chciałem powiedzieć: nie rozumiem, dlaczego go masz.

Jackson wzruszył ramionami.

– Obecnie glock siedemnastka to standardowe wyposażenie, chociaż w armii brytyjskiej przez siedemdziesiąt lat preferowano browninga. – Ruchem głowy wskazał pistolet w mojej dłoni. – Ja wolę ten. Mieści się w nim siedemnaście nabojów, stąd nazwa, podczas gdy w browningu tylko trzynaście. Glock siedemnastka jest lżejszy, bezpieczniejszy i skuteczniejszy na małą odległość, kiedy brudasy łapią cię za gardło.

– I po prostu postanowiłeś jeden ukraść?

Wyglądał na urażonego.

– To nie jest kradzież. Armia brytyjska ma dwadzieścia pięć tysięcy takich zabawek. Ja potrzebuję go bardziej niż oni.

– Ty pieprzony idioto.

Patrzył, jak wsuwam pistolet za dżinsy nad tyłkiem. Potem się uśmiechnął. Szczerbaty uśmiech Jacksona Rose’a.

Miałem ochotę walnąć go w twarz.

– Chyba nie odstrzelisz sobie dupy, co, Max? – zapytał.

– Nie. Nie odstrzelę sobie dupy.

– To dobrze. – Zachichotał.

W ustach zupełnie mi zaschło.

– Za to, co dziś zrobiliśmy, mogliby nas zamknąć – powiedziałem.

– Gdyby nas złapali. Ale nie złapią.

– Słyszałeś o CO19, Jackson. To specjalistyczna jednostka policji do spraw broni palnej. Gdyby zobaczyli cię dziś na tamtym parkingu, zastrzeliliby cię.

Patrzył prosto przed siebie.

Zaczynał mieć dość moich uwag.

Westchnął.

– Czyli chcesz, żebym poradził sobie z tym gnojkiem, ale nie chcesz, żebym... Właściwie co, Max? Naruszał jego prawa człowieka?

– Nie mogę iść do więzienia. Mam Scout. Wychowuję córkę. Mam życie. Dom. Rodzinę. Nie mogę uczestniczyć w takich hecach. Nie jestem taki jak ty. – Uruchomiłem silnik. – Ja mam coś do stracenia.

Na jego twarzy ujrzałem przelotnie ból, co mnie ucieszyło.

W milczeniu wróciliśmy do Smithfield przez puste miasto pogrążone w letniej nocy. Moje bmw X5 zawsze jechało parę kilometrów poniżej dozwolonej szybkości.

* * *

W Jacksonie zawsze płonął gniew.

Kiedy byliśmy chłopcami bez rodziców, zawsze myślałem o tym jako o dzikości. Ale to było coś więcej; za szczerbatym uśmiechem krył się głęboki, trwały gniew, który mój przyjaciel miał zabrać ze sobą do grobu.

Zarówno jego, jak i mnie wychował ktoś, kto musiał zastępować rodziców. Moja babcia i jego rodzice adopcyjni. Ale moi rodzice umarli. Rodzice Jacksona odeszli. Może na tym polegała różnica między nami. Miał ojca, który nie chciał jego matki, oraz matkę, która nie chciała Jacksona.

Kiedy człowiek zostaje porzucony w ten sposób, zostaje w nim gniew.

Zawsze czułem na sobie błogosławieństwo. Dopisało mi szczęście, bo trafili mi się tacy rodzice, chociaż wolałbym mieć ich dłużej. Byłem szczęściarzem, mając taką babcię, chociaż wolałbym, żeby trochę mniej lubiła papierosy i nie dostała raka płuc. Miałem szczęście, bo była przy mnie Scout, chociaż do końca życia będę żałował, że nie trafiła jej się rodzina bez rozwodu. Nigdy jednak nie użalałem się nad sobą, nigdy nie czułem takiego gniewu.

Przypuszczam, że należałem do ludzi, którzy uważają, że szklanka jest do połowy pełna. Mój przyjaciel Jackson był typem, według którego szklanka jest do połowy pusta, więc należy ją rozwalić o bar i wymachiwać komuś przed twarzą.

Widziałem jego gniew w młodości, kiedy znajdowaliśmy się w opałach. Teraz jednak gniew był inny, zaostrzony i wypolerowany.

Teraz nauczyli go zabijać.

* * *

Kiedy otworzyliśmy drzwi, Stan wyszedł nam na powitanie. Nie cierpiał być w domu sam, więc pospiesznie rozejrzałem się za małymi kałużami, które czasem zostawiał w chwilach niepokoju. Podłoga wyglądała jednak na suchą.

Jackson patrzył na psa, ale nie na mnie. Klęknął, żeby popieścić małego rudego cavaliera.

– Tylko próbowałem pomóc – powiedział cicho. – Nic więcej.

– I pomogłeś. Na swój szalony, drański sposób pomogłeś.

– Ale ty nie możesz być w pobliżu takich numerów.

– Nie.

– Co znaczy, że nie możesz być w pobliżu mnie.

Długo milczeliśmy.

Jackson spojrzał na mnie i przytaknąłem.

– Zgadza się – potwierdziłem, czując, jak tracę coś bezpowrotnie. – Jesteś zbyt niebezpieczny.

Skinął głową, jakby sprawa została ustalona.

– Spakuję się i ruszam. Pożegnaj ode mnie Scout, dobra?

– Chryste, Jackson, nie musisz się wyprowadzać już teraz.

Mój przyjaciel podniósł się z klęczek i stanął przede mną.

– Myślę, że jednak muszę, Max.

Obaj spojrzeliśmy na Stana. Pies wpatrywał się w nas, a w jego doskonale okrągłych oczach malowała się dezorientacja, bo nie potrafił odczytać nastroju. Sam nie byłem pewien, czy to potrafię.

– Jakie masz plany? – spytałem, a od nieoczekiwanie formalnego tonu własnego głosu ścisnęło mi się gardło.

– Nie wiem. – Jackson wzruszył ramionami. – Będę robił to, do czego wyszkolono mnie w wojsku.

– To znaczy?

W odpowiedzi posłał mi szczerbaty uśmiech.

Stan poczłapał za nim do pokoju.

W progu Jackson odwrócił się.

– Max?

Spojrzałem na niego.

– Myślisz, że ten mały gangster będzie jeszcze niepokoił twoją przyjaciółkę?

– Nie.

Z satysfakcją skinął głową.

– Ja też tak sędzę.

Potem mój najstarszy przyjaciel wszedł do pokoju gościnnego, by spakować swoje rzeczy.

24

Od początku czuło się, że coś jest nie tak.

Jedynym śladem obecności policji, jaki zauważyłem po skręceniu w ulicę, przy której mieszkał Abu Din, było nieoznakowane bmw 3 przed dużym domem komunalnym oraz ten sam młody czarny policjant u wylotu drogi.

Z domu wyszła komisarz Whitestone w towarzystwie Edie Wren i Billy'ego Greene'a. Obie miały na głowach ciemne chusty. Skinąłem głową dwóm policjantom w nieoznakowanym bmw i podszedłem do drzwi wejściowych.

– To cała ochrona? – zapytałem. – Chyba trochę za mało. Dopiero co daliśmy gościowi „ostrzeżenie Osmana”. Uprzedziliśmy mułkę, że jego życiu zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo i zaoferowaliśmy mu ochronę policyjną.

– Szefowa uważa, że to są odpowiednie środki na tym terenie – odparła Whitestone i wskazała dłonią ulicę. Młodzi brodacze naradzali się cicho w kilku grupach, obserwując detektywów. Samotna kobieta, z twarzą i ciałem ukrytymi pod czarną burką, szła do domu z wypchanymi torbami z Tesco. – Przed domem stoi wóz patrolowy z uzbrojonymi funkcjonariuszami – kontynuowała komisarz. – Ludzie z CO19 pozostaną w pobliżu, dopóki nie zgarniemy tych gości. Poza tym przez następne czterdzieści osiem godzin w domu będzie dwóch naszych. Stonowana ochrona to niegłupi pomysł na tym terenie, Max. Nie chcemy na ulicy zbyt wielu mundurowych.

Przytaknąłem, szukając na jej twarzy pod chustą oznak, że wie, co zrobiłem minionej nocy z Jacksonem. Gniewu. Ulgi. Wdzięczności. Niedowierzania. Sam nie wiem, czego się spodziewałem.

Ona jednak tylko popatrzyła na zegarek.

– Możesz wziąć pierwszą zmianę z Billym? Pan Din woli, żeby w nocy w domu przebywali policjanci płci męskiej.

– W porządku.

– Wobec tego Edie i ja zobaczymy się z tobą rano – powiedziała Whitestone.

Wren zdjęła chustę i dodała:

– Albo pod koniec wieków ciemnych. W zależności od tego, co przyjdzie najpierw.

Kiedy odjechały, Billy wrócił do domu, a ja patrzyłem, jak słońce zachodzi nad dachami Wembley. Ostatnie promienie dnia połyskiwały na wielkim białym łuku stadionu górującego nad tą częścią miasta. O dwudziestą godzinę miał się już ku końcowi; w powietrzu czuło się chłód, nieobecny od wielu miesięcy. Tak, już prawie koniec lata. Wiedziałem, że dla Scout trwało wiecznie, ale dla mnie pory roku przemijały w mgnieniu oka.

Podszedłem do młodego policjanta u wylotu ulicy.

– Posterunkowy Rocastle? Mam nocną zmianę. Będziemy w domu.

– Moja szychta trwa do północy.

Widziałem, że się waha.

– Co cię trapi? – spytałem.

– Naprawdę sądzi pan, że oni wrócą?

Wskazałem ręką nieoznakowany wóz patrolowy przed dużym domem komunalnym.

– Jeśli tak, to mam nadzieję, że tamci będą gotowi otworzyć ogień.

Gdy wracałem do domu, ulica pustoszała. Biała kobieta w średnim wieku i mężczyzna wyprowadzali owczarka niemieckiego.

Pozdrowiłem ich skinieniem głowy, ale mnie zignorowali. Na widok dumnego pyska wilczura uśmiechnąłem się i wyciągnąłem rękę, by go pogłaskać.

Kiedy się mijaliśmy, kobieta splunęła.

Na chodniku między nami błyszczała ślina. Zatrzymałem się i obejrzałem na ich plecy. Na białym ciele dostrzegłem tatuaże. Oni też się odwrócili; mężczyzna z przestrawem, kobieta bardziej skora do okazywania pogardy.

Nie łapią, pomyślałem. Nie mają pojęcia, co robimy.

Bez lęku, bezstronnie, chronimy wszystkich.

* * *

Zająłem pozycję w salonie od frontu, Billy w ogrodzie na tyłach domu. Wyglądałem zza koronkowych firanek, podczas gdy Abu Din, w długich szarych szatach, odpoczywał, nie spuszczać mnie z oczu.

– Dlaczego przed moim domem stoi samochód z tymi ludźmi?

– To policjanci przeszkoleni w używaniu broni palnej.

Muła się zaśmiał. Gdy odwróciłem się od okna, przyglądał mi się z rozbawieniem.

– Chyba nie martwi się pan zbyt o własne życie, panie Din.

– Ponieważ nic mi nie zagraża. Nie czas, żebym został *shahidem*. Czy nie mamy na to dość dowodów?

– *Shahid* znaczy męczennik, tak?

– Dosłownie świadek. Ale owszem, *shahid* to także hołd, jaki oddajemy wiernym, którzy poświęcają życie, wypełniając swoje powinności religijne. Mają zapewnione miejsce w raju.

– Może po prostu dopisało panu szczęście.

Uśmiech znikł z twarzy muły.

– Szczęście nie jest potrzebne, *alhamdulillah*. Bogu niech będzie chwała. Mam *tawakul*, polegam na Bogu, więc nie muszę się bać *szejtana*.

– Taka wiara musi być miła.

– A życie bez niej musi być piekłem – odparł, patrząc na mnie zimno.

– Jednego nie rozumiem...

– Och, myślę, że *kuffar* taki jak pan nie rozumie wielu rzeczy.

– Z pewnością. Ale jedna szczególnie nie daje mi spokoju.

– Słucham. Jaka?

– Jeżeli nienawidzi pan tego kraju, jeśli nienawidzi pan życia wśród *kuffarów*, to czemu nie zrobi pan *hidżry*?

– *Hidżry*? Emigracji? Pyta mnie pan, dlaczego stąd nie wyjadę? Przytaknąłem.

– Chyba nikt nie będzie pana zatrzymywał, prawda?

Muła nie wyglądał na urażonego.

– Nie muszę wyjeżdżać, *alhamdulillah*.

– Dlaczego?

– Ponieważ wszystko należy do Boga.

Właśnie wtedy przyjechali.

* * *

Biała furgonetka z hukiem wjechała w ulicę jednokierunkową i raptownie zahamowała, jak gdyby kierowca nagle spostrzegł wóz patrolowy.

– Billy!

Furgonetka z dużą szybkością wyjechała z ulicy na wstecznym. Wóz patrolowy pomknął za nią. Wypadając z pokoju, zobaczyłem na twarzy Abu Dina czyste przerażenie. Billy Greene biegł tuż za mną.

Z domu wyskoczyłem akurat wtedy, gdy biała furgonetka odjeżdżała, ścigana przez wóz patrolowy. U wylotu ulicy, w połowie na chodniku, w połowie na jezdni leżał posterunkowy Rocastle. Tylne światła nieoznakowanego wozu policyjnego zniknęły w dali.

– Wezwij pomoc! – rozkazałem Billy’emu i pobiegłem w kierunku nieruchomego ciała Rocastle’a.

Właśnie wtedy w ulicę wjechała druga furgonetka, tym razem czarna, i ruszyła prosto na mnie.

– Wydymali nas! – rzuciłem.

Billy znajdował się w połowie ścieżki ogrodowej, gdy tylne drzwi furgonetki się otworzyły. Gestem ręki dałem mu znak, żeby szedł dalej.

– Wracaj do domu, Billy! Pozamykaj wszystkie drzwi! Nie spuszczać go z oczu!

Kroki Billy’ego ucichły w głębi ogrodu, potem trzasnęły frontowe drzwi. Usłyszałem szcęk zasuwy, za koronkowymi firankami mignęła przerażona twarz Abu Dina. Odwróciłem się, bo z tyłu furgonetki wysiadały trzy ciemne postacie. Tego wieczoru nie założyli masek Alberta Pierrepointa. Nie byli dobrymi wujkami. Twarze skrywały im maski narciarskie. Nie, nie narciarskie. Taktyczne maski z nomexu.

Kiedy ruszyli w stronę domu, zacisnąłem pięści i zaatakowałem prawą najbliższego. W tym samym momencie złapał mnie skurcz, osunąłem się na kolana, z ust pociekła mi ślina. Jak przez mgłę dotarło do mnie, że obezwładniono mnie paralizatorem. Mięśnie drgały mi gwałtownie z powodu szoku i bólu, kiedy silne ręce podniosły mnie z ziemi i zapakowały na tył furgonetki.

W środku panował zapach, który znałem, ale miałem wrażenie, że było to dawno i daleko stąd.

Słodkawy, mdlący, jak woń rozkładu.

Trzasnęły drzwi.

Mięśnie skurczyły się, zadrżały i zaczęło boleć jeszcze bardziej.
Furgonetka ruszyła.
Dopiero wtedy pojąłem, że nie przyjechali po Abu Dina.
Przyjechali po mnie.

25

Potulny jak baranek wieziony na rzeź, siedziałem na ławce furgonetki z poczuciem, że mój umysł odgrodziła od reszty świata dźwiękoszczelna szyba. Patrzyłem na czarne nomexowe maski dwóch ludzi naprzeciwko; oni obserwowali mnie i przez pewien czas mogłem myśleć jedynie o tym, jak moje mięśnie drgają i kurczą się samoistnie.

W końcu zaczerpnąłem powietrza i próbowałem myśleć, wsysając ból i odpychając go na bok; mówiłem sobie, że będzie coraz lepiej, że dam radę.

Pomyśl.

W furgonetce unosił się zapach, który znałem.

Coś cuchnącego, co kiedyś było słodkie.

Gnijące owoce.

Zwiędłe kwiaty.

Cukier i ludzkie odchody.

Pomyśl.

Wziąłem wdech i ponownie spojrzałem na dwie osoby siedzące naprzeciwko. Ten potężnie zbudowany, który zafundował moim końcówkom nerwowym szok elektryczny i podniósł mnie, jakbym nic nie ważył, siedział obok. Poza tym jeden musiał prowadzić.

Czterech. Cała ekipa. Wszyscy zachowywali milczenie. Żaden nie pokazywał tatuaży ani ozdób mogących pomóc w rozpoznaniu.

Dobrzy byli.

Ale to nie gliniarze.

Gdyby byli gliniarzami – a stale utrzymywało się niewypowiedziane podejrzenie, że może chodzić o samowolnych policjantów – nie obezwładniliby mnie tanim paralizatorem z Europy Wschodniej. „Elementem aresztowania jest fizyczne zapanowanie nad obiektem”, uczono w Hendon już na samym początku.

Oni po prostu położyli mnie na ziemi za pomocą paralizatora za funta i zawlekli do furgonetki. Gliniarze zrobiliby więcej. Nie zakuto mnie w kajdanki. Nie byłem nieprzytomny. Jeśli utrzymam się przy życiu, z każdą chwilą będę nabierał sił.

Patrząc na zamaskowane twarze, zdałem sobie sprawę, że nadal nie odezwali się ani słowem.

– Skoro wszyscy tu siedzicie, to kto jechał białą furgonetką? – spytałem.

– Przyjaciele – mruknął zwalisty gość obok mnie.

– Przyjaciele? – powtórzyłem. – Założę się, że macie mnóstwo przyjaciół, tak?

W ściankę furgonetki grzmotnęła wściekle pięść. Kierowca wysłał jasny komunikat.

Żadnych rozmów!

Za czarną maską z nomexu dostrzegłem wściekle oczy i poczułem, jak trzy postacie z tyłu furgonetki poruszają się nieswojo. Czy za kierownicą siedział przywódca?

Zaśmiałem się i zwróciłem do siedzącego obok człowieka:

– Jesteś ważniakiem, tak? Czyścisz ulice z brudów...

Oddech uwiązał mi w gardle, kiedy tamten przytknął brzytwę do mojej prawej powieki.

Bardzo delikatnie, niemal miłośnie przesunął ostrzem po cienkiej warstwie skóry ochraniającej oko, demonstrując, jak łatwo byłoby ją przeciąć, jak niewiele wysiłku by go to kosztowało, jak żałośnie kruchy jestem.

Myśląc o losie, jaki spotkał Justina Whitestone'a, z całych sił próbowałem opanować oddech. Moje oczy, pomyślałem i poczułem, że serce zaraz mi eksploduje.

Sądziłem, że rozmowa dobiegła końca, ale mężczyzna przytykający brzytwę do mojej powieki nachylił się, żebym tylko ja go usłyszał:

– A ty ochraniasz brudy, mały człowieczku, co? To dlatego nie masz już żadnych przyjaciół. Stoisz przy drzwiach na straży, a Pakistańczycy gwałcą nasze dzieci; dłubiesz w nosie, podczas gdy bogaci zabijają niewinnych; pucujesz buty najgorszym szumowinom. Z nich wszystkich to ty, mały człowieczku, najbardziej zasługujesz na to, żeby wisieć.

Głos wydał mi się znajomy.

Słyszałem go dawno temu, gdzieś daleko. Mięśnie drżały mi z bólu, umysł miałem zamglony od szoku.

Na pewno słyszałem już ten głos.

Zamaskowany przeciwnik ponownie przycisnął brzytwę do mojego oka, mięśnie drgały spazmatycznie od szoku, a ja z całych sił próbowałem trwać nieruchomo.

Może to jednak są gliniarze, pomyślałem.

* * *

Nie zmienili samochodu. Może dostali nauczkę po próbie uprowadzenia Abu Dina. Albo drugą furgonetkę wykorzystano, żeby wywabić wóz policyjny. I mnie nabrać. W każdym razie nie zatrzymaliśmy się.

Jechaliśmy.

Szybko, ale nie przesadnie. Z powodu nocnej pory panował niewielki ruch, ale kierowca, jak na szanującego się przestępcę przystało, nie przekraczał ograniczenia prędkości. Potem zwolniliśmy,

więc pomyślałem, że raczej wjeżdżamy do miasta, niż z niego wyjeżdżamy. Nie wyczułem swobodnego wyjazdu na autostradę, lecz zwolnienie do ślimaczego tempa miejskiego.

Następnie furgonetka zaczęła skakać po nierównościach i zjeżdżać w dół.

Stanęliśmy.

Byliśmy u celu.

Brzytwa przesunęła się po mojej powiece. Czując ukłucie bólu, zakląłem, kiedy strużka krwi spłynęła mi po twarzy jak łza.

– Bądź grzecznym psem, to może umrzesz z oczami – powiedział. – Chyba nie chcesz występować w YouTubie z wywalonymi gałami, co? – Zaśmiał się. – Twoja córka nie chciałaby tego oglądać przez resztę życia, prawda?

Kierowca otworzył drzwi. Potem nie padły już żadne słowa.

Pomogli mi wysiąść na opuszczony podziemny parking. Nie, nie opuszczony. Nieukończony. Dlatego nie parkowały tu żadne pojazdy. Parking był w budowie.

Wszędzie walały się pojemniki po tanim żarciu oraz puste puszki – ślady działalności pracowników budowlanych mozolących się pod ziemią w letnim skwarze. Przypomniało mi się przekonanie Tary Jones, że w pobliżu miejsca egzekucji znajduje się plac budowy.

Trzej zamaskowani ludzie przyglądali mi się przez chwilę, potem się odwrócili. Ten potężnie zbudowany stał za mną. Wielka dłoń pchnęła mnie w plecy, a gdy prowadził mnie przez pusty parking, czułem jego oddech.

Budynek nad nami musiał być ogromny. Galeria handlowa? Biurowiec? Apartamentowiec? Trzej ludzie na przedzie szli szybko, a ilekroć zwalniałem, osiłek niedbale mnie popychał. Kciukiem i palcem wskazującym nadal trzymał brzytwę, więc za każdym razem, gdy mnie klepał, ostrze przesuwało się po moich włosach i skórze.

Dotarliśmy do słabo oświetlonych schodów i ruszyliśmy w dół. U stóp schodów – dwa piętra poniżej? – weszliśmy w szeroki, niski tunel. Spowiała nas całkowita ciemność, ale tamci wiedzieli, dokąd idą. Po nierównym podłożu zmierzaliśmy w stronę dalekich świateł.

Maszyny. Hałas. Coś mignęło.

Kotłownia.

Minąwszy ją, stanęliśmy przed drzwiami. Nie były zamknięte na klucz; wcisnęliśmy się do środka. Jeszcze kilka stopni i znaleźliśmy się w osobliwym korytarzu, jak ze snu.

Powoli weszliśmy gęsiego.

Nie wierzyłem własnym oczom.

Ściany i sufit zbliżały się z każdym krokiem.

Próbowałem oczyścić umysł. Pomyślałem, że moje zakończenia nerwowe wciąż cierpią po przygodzie z paralizatorem.

Ale to się działo naprawdę.

Korytarz robił się coraz węższy. Sufit naprawdę się obniżał. Kiedy dotarliśmy do końca, musieliśmy przyciskać ręce po bokach i pochylać głowy.

U wylotu korytarza znajdowało się pomieszczenie.

Serce mi zamarło. Znałem je.

Ujrzałem białe płytki, zzieleniałe i pożółkłe ze starości i zaniedbania. Zebrało mi się na mdłości na widok kuchennego taboretu, na którym stali Mahmud Irani, Hector Welles i Darren Donovan.

Z tego pomieszczenia biło czyste zło.

Ktoś skierował mi na twarz ostre czerwone światło smartfona. Stojący za mną osiłek ujął moje ręce i usłyszałem brzęk kajdanek. W końcu postanowili zapanować nade mną także fizycznie. Zamierzał skuć mi ręce na plecach, żebym zawisł spokojnie.

– Czy wiesz, dlaczego znalazłeś się na tym miejscu egzekucji?

Wtedy zacząłem walczyć o życie.

Obcasem prawego buta przesunąłem mu po nodze, od rzepki kolanowej do kostki, zdzierając mu skórę pod spodniami, aż wrzasnął z bólu, a kajdanki zadzwoniły o podłogę.

Pozostali rzucili się na mnie, okładając mnie na oślep, trafiając w ucho i ramię, ale nie wyrządzali mi większej krzywdy. Tylko jeden z nich umiał kopać, bo kiedy trafił czubkiem buta w najniższe żebro, poczułem, jak uchodzi ze mnie powietrze. Następnie trafił mnie w skroń.

To wystarczyło, żebym osunął się na kolana.

Osiłek rzucił się na mnie i zamknął mi głowę w mocnym uchwycie, przeklinając mnie, dysząc mi kwaśnym oddechem w twarz. Czerwone światło znikło. Teraz mnie nie filmowali.

– Pieprzony pies! Pierdolony gnój!

To był dobry chwyt. Nie mogłem ruszyć rękami, nogami ani stopami. Dlatego przycisnąłem usta do jego twarzy i zagłębiłem zęby w policzku, przegryzając nomexową maskę i wbijając się w ciało.

Napastnik zawył i spróbował wstać, ale trzymałem go zębami jak pies zdychającego szczura. Byłem jednak osłabiony, brakowało mi tchu, mdliło mnie po dwóch kopniakach, i pozostali odciągnęli ode mnie osiłka.

Poczułem, jak zakładają mi pętlę na szyję.

Nie zawracając już sobie głowy kajdankami, dźwignęli mnie i ni to wciągnęli, ni to wepchnęli na taboret. Chcieli mnie załatwić tak jak Hectora Wellesa; widziałem, jak rozszarpywał sobie gardło z taką siłą, że wyrwane paznokcie zostały w szyi.

Krzyknąłem z wściekłości i grozy.

Siły mnie opuszczały.

Stałem na taborecie, szarpiąc pętlę na szyi. Gdy spojrzałem w górę, zobaczyłem, że jeden z nich przerzucił sznur nad starą rurą

przecinającą poplamiony sufit tego zapomnianego pomieszczenia. Wszystkie zamaskowane twarze patrzyły na mnie; osiłek dotykał maski zbroczonej jego własną krwią.

Ktoś usiłował wykopać spode mnie taboret.

Dwaj zaczęli się przekrzykiwać.

– Czy wiesz, dlaczego...

– Po prostu zrób to!

Taboret poszybował i nagle nie miałem nic pod nogami, a pętla zaczęła się zaciskać na szyi. Oczy odpłynęły mi w tył głowy; przez sekundę, która zdawała się trwać tysiąc lat, szarpałem zaciskający się sznur. W tej niekończącej się chwili poczułem, jak moja głowa groteskowo przekrzywia się na bok, pętla się przesuwająca, i ciężar własnego ciała zaczął mnie zabijać.

Krew przestała napływać do mózgu.

Powietrze przestało napływać do płuc.

Wiedziałem, że umieram.

Spojrzałem na sufit, ale go nie widziałem.

Spojrzałem na sznur, ale go nie widziałem.

Czułem tylko, że się duszę, gdy szarpałem sznur na szyi.

W końcu dłonie mi opadły. Kopałem i wierzgałem, nie byłem w stanie przestać. Stałem na samym skraju bezkresnej ciemności i poczułem słodczy powrotu do domu.

Potem jednak sięgnąłem za siebie, wsunąłem palce pod koszulę i kurczowo złapałem się w krzyżach.

Moje palce natrafiły na plastikową obudowę glocka 17.

Po chwili pistolet znalazł się w mojej prawej dłoni i celując w sufit, pociągałem za spust; w małym pomieszczeniu huk wystrzałów ogłuszał, a ja pociągałem za spust coraz szybciej. Słyszałem ich krzyki i wrzaski, ale nie przestawałem strzelać, mierzyłem w śmiercionośny sznur; potem odgłosy zaczęły dobiegać jakby spod wody, wreszcie nie

słyszałem już nic, tylko nieprzerwane dzwonięcie w uszach; serce zamarło mi z rozpaczy, bo pojąłem, że plan się nie powiódł.

Nadal wisiałem.

Kryjówka przybrała kolor czerwony.

Dopływ krwi do mózgu ustał i ta spiętrzona masa krwi zdawała się wypełniać pokój.

Zamknąłem oczy.

Ręce znów opadły mi wzdłuż ciała. Zacząłem rozwierać palce, pistolet przyjaciela zaczął wysuwać się z dłoni, pragnąłem jedynie nieprzerwanej czerni. Nagle znów poczułem w dłoni kilogram stali i polimeru. Ktoś próbował wyrwać mi pistolet. Wymierzyłem kopniaka.

Potem coś zaczęło się dziać w moich uszach.

Znowu słyszałem ich krzyki.

Wrzaski. Przekleństwa.

Rzucili się na mnie, ciągnęli za nogi, nic nie rozumiałem, ale w końcu do mnie dotarło, że próbują mnie pociągnąć, żebym wreszcie wyzionął ducha na stryczku.

Ta świadomość na tyle dodała mi sił, że zacząłem kopać zamaskowane twarze.

Po raz ostatni uniosłem prawą rękę.

Zrozumiałem własny błąd. Należało strzelać z bliska. Nic innego nie mogło przynieść skutku. Wszystko inne było bezcelowe. Z bliska albo wcale. Z bliska albo śmierć.

Poczułem, jak lufa glocka 17 napiera na sznur z taką siłą, że nieznośne napięcie wokół szyi staje się jeszcze większe.

Wtedy pociągnąłem za spust.

Huk wystrzału rozdarł powietrze, a ja runąłem, uderzając stopami i łokciami w ludzkie ciała i kości.

Upadłem, wciąż trzymając pistolet.

Krew i łzy zalewały mi oczy, dostrzegłem jednak, że tamci biegną w stronę wyłomu w ścianie. Kiedy osilek się przeciskał, wycelowałem mu w plecy i klnąc ochryple, pociągnąłem za spust.

Rozległ się metaliczny szczęk pustego magazynka.

Raz po raz pociągałem za spust, dopóki ostatni z prześladowców nie zniknął w otworze w ścianie. Głowę wypełnił mi biały szum.

Wstałem, wypluwając zakrwawiony strzęp syntetycznego materiału, który musiałem odgryźć z nomexowej maski.

Gdy wsuwałem glocka w dzinsy na plecach, słyszałem drwiący głos przyjaciela:

„Chyba nie odstrzelisz sobie dupy, co?”.

Czując potworny ból w płucach, nabrałem powietrza.

I ruszyłem za tamtymi.

* * *

Ból i wyczerpanie przyprawiły mnie o mdłość, ale wściekłość była jeszcze silniejsza. Przystępując spróchniałe drewno, precisiłem się przez otwór w ścianie, ruszyłem niskim tunelem, aż znalazłem kamienne schody prowadzące jeszcze głębiej pod ziemię. Ruszyłem po nich powoli w ciemności, bojąc się upadku, bojąc się, że na mnie czekają. Wdychana woń musiała pochodzić od sadzy i ścieków.

Odgłos ciężkich maszyn cichł, w miarę jak schodziłem niżej. W dół, w dół, aż wyszedłem na otwartą przestrzeń, gdzie zbiegało się kilka korytarzy: punkt zbiorczy labiryntu tuneli.

Kiedy przystanąłem, odniosłem wrażenie, że z jednego z tuneli dobiegają głosy. Szedłem dalej, podłoże ciągle obniżało się pod moimi stopami. Właśnie wtedy, gdy rozważałem odwrót, bo poczułem, że w ciemności czekają na mnie milczący ludzie, schody się skończyły.

Przed sobą miałem cztery identyczne tunele z łukowatym sklepieniem, szerokie, lecz niezbyt wysokie, przeznaczone do przepuszczania dużej liczby ludzi jednocześnie. Tunele prowadziły chyba w jednym kierunku. Ostrożnie szedłem przed siebie, lekko stawiałem nogi, nasłuchując dźwięków.

Słyszałem jednak tylko własny oddech.

Aż wyszedłem na stację kolejową na końcu świata.

Nad wiekowymi torami znajdowały się dwa perony. Stacja metra, ale niepodobna do żadnej, jaką widziałem. Perony były drewniane. Na czarno-białych kafelkach ścian dostrzegłem resztki plakatów reklamowych, które rozpadły się w poprzednim życiu. Przypominały zdjęcia londyńczyków chroniących się pod ziemią podczas nalotów. W dużym czerwonym kole wypisano czarnymi literami na białym tle nazwę stacji.

B L O O M S B U R Y

Z niedowierzaniem potrząsnąłem głową.

Przecież w Londynie nie ma stacji metra o takiej nazwie.

Patrząc na to widmowe miejsce, wiedziałem, że choćbym czekał sto lat, nie zobaczyłbym tu żadnych pasażerów ani pociągów.

Z dreszczem czystej grozy zastanawiałem się, czy umarłem w tamtym pomieszczeniu z kafelkami zzieleniałymi ze starości.

Dotknąłem obtarcia na szyi i skrzywiłem się z bólu.

Jeszcze nie umarłem.

W głębi tunelu usłyszałem odgłosy.

Podszedłem do krawędzi peronu i spojrzałem w mrok, ale nic nie zobaczyłem. Odgłosy były prawdziwe, nie rozlegały się wyłącznie w mojej głowie. Popatrzyłem na tory. Cztery tory, z czego dwa z izolatorami. Chwilę się nad tym zastanawiałem.

Stacja była nieczynna, lecz to nie znaczyło, że torów nie używano.

Wiedziałem, że na czynnej stacji metra tory z izolatorami zabijają cię natychmiast; pociągi jeżdżą po tych drugich. Wiedziałem też jednak, że nie jest prawdą, jakoby w nieizolowanych szynach nie biegł prąd: było go dość, by zasilać sygnalizację. Kontakt z dowolną szyną metra może spieprzyć ci cały dzień.

Stanąwszy na krawędzi peronu, wziąłem wdech i skoczyłem między dwa najbliższe tory.

Wtedy usłyszałem nadjeżdżający pociąg.

Pospiesznie wdrapałem się z powrotem na peron, czując, jak glock wysuwa się spod dżinsów. Spojrzałem na pistolet na torach w chwili, gdy przebiegał nad nim szczur o rozmiarach wykastrowanego kocura. Pociąg był coraz bliżej. Głęboko w tunelu rozbłysły światła pociągu przeciskającego się przez wnętrza miasta. Zlany zimnym potem, stałem na peronie, a pociąg sunął na mnie niczym lawina.

Nie dotarł do stacji.

W ostatniej chwili skręcił w mrok, oddalając się ode mnie, rozpędzona stalowa mgławica, srebrny pociąg z czerwonymi drzwiami, niebieskim pasem i motorniczym, który widział mnie przez ułamek sekundy.

Patrzył na mnie, jakbym powstał z martwych.

* * *

Motorniczy musiał zatelefonować natychmiast.

Wiedziałem, że każdy telefon na numer 999 zgłaszający ewentualny napad z użyciem broni lub akt terrorystyczny niezwłocznie kierowano do Taktycznego Centrum Broni Palnej, gdzie ktoś w randze inspektora lub wyższej oceniał, czy informacja

kwalifikuje się do wysłania uzbrojonych funkcjonariuszy. Mój przypadek się kwalifikował.

Kiedy po długich, krętych schodach wyszedłem z metra na ulicę, już na mnie czekali.

Uzbrojeni funkcjonariusze z SC&O19.

Nie wzięli mnie za ducha.

Wzięli mnie za terrorystę.

Gdy wkroczyłem w ciepłą letnią noc, zaczęli się na mnie wydierać. Nie wiedziałem, skąd dobiegają głosy, ale czułem w powietrzu buzującą adrenalinę. Potem ujrzałem uniesioną broń. Pistolety Glock. Karabinki automatyczne Heckler & Koch.

– Ręce do góry i klękniij na ziemi!

– Jestem detektyw Wolfe z komisariatu głównego na West Endzie i spełniam wasze polecenie – powiedziałem tak spokojnie i wyraźnie, jak potrafiłem.

– Natychmiast! Wykonać!

Z rękami w górze osunąłem się na kolana na zadziwiająco zimny chodnik w tę ciepłą letnią noc.

Wtedy ich zobaczyłem.

Trzymając palce na spustach, zbliżali się do mnie powoli.

– W prawej kieszeni mam portfel z legitymacją – powiedziałem, wciąż starając się zachować spokój, ale trudno było wysławiać się rozumnie z twarzą przyciśniętą do chodnika.

Ktoś nadepnął mi butem na kark. Dwie dłonie oklepały mnie, dwie inne obszukały kieszenie. Nieznacznie uniosłem dolną część ciała, żeby mogli wyjąć portfel.

– Nie ruszaj się! Nie ruszaj się!

Lufa glocka wbiła mi się w ucho.

Wstrzymałem oddech. Znieruchomiałem.

Nawet po obejrzeniu mojej legitymacji trzymali mnie z twarzą przyciśniętą do chodnika i rozpostartymi szeroko kończynami. Nawet po sprawdzeniu mojego zdjęcia przytrzymywali mi twarz na chodniku, nadeptując na kark obcasem buta numer czterdzieści sześć.

Długo mnie tak trzymali.

Jakby nikomu nie można już było ufać, jak gdyby świat oszalał, jakbyś nie wiedział, kto mógłby chcieć zatańczyć na twoim grobie.

CZĘŚĆ TRZECIA
Śmiertelny mechanizm

Ze szczytu siedziby Nowego Scotland Yardu roztacza się wspaniały widok.

Stojąc na ósmym piętrze, człowiek pojmuje, że ten duży nowoczesny, skromnie anonimowy biurowiec przy Broadway 8-10 w dzielnicy Victoria znajduje się w centralnym punkcie brytyjskiej władzy.

Stojąc w starym garniturze ślubnym od Paula Smitha, wyjrzałem przez okno i porównałem godzinę z mojego zegarka z dwoma cyferblatami Big Bena oznajmiającymi południe. Następnie popatrzyłem na wieże opactwa Westminster, pałacu Westminster oraz na rozpościerające się na północy dachy Whitehall i Downing Street.

Widok zapierał dech w piersiach.

Z portretu uśmiechała się do mnie królowa. Jej Wysokość była młoda, a obraz był w intensywnych kolorach lat sześćdziesiątych, kiedy wszystko było nieco bardziej wyraziste niż w rzeczywistości. Królowa wyglądała jak miła pani, bardzo rada, że Anglia właśnie wygrała Mundial. Oprócz jej portretu na ścianach poczekalni wisiały jedynie plakaty propagujące brytyjską policję. Wszystkie głosiły to samo.

WARTOŚCI POLICJI:

PROFESJONALIZM – UCZCIWOŚĆ – ODWAGA – EMPATIA

Na plakatach przedstawiono definicje poszczególnych wartości. Na jednym opisano PROFESJONALIZM, na innym UCZCIWOŚĆ, na kolejnym ODWAGĘ, wreszcie na ostatnim, tym z królową, EMPATIE. Nie zdążyłem zapoznać się z definicjami, ponieważ do poczekalni zajrzała asystentka.

– Przyjmą pana teraz – oznajmiła.

Wszedłem za nią do sali w rogu najwyższego piętra, gdzie czekały na mnie komendant Swire i komisarz Whitestone. Pierwsza usadowiła się u szczytu długiego stołu konferencyjnego, Pat Whitestone po jej prawej ręce. Daleko w dole Tamiza migotała w ostatnich promieniach letniego słońca jak roztopione złoto.

– Max – powitała mnie komendant. – Jak się masz?

– Dziękuję, w porządku, pani komendant. Nic nie zламаłem.

Szyja bolała mnie tak, jakby ktoś usiłował odkręcić mi głowę; byłem przy tym tak wykończony, że oczy nie zamykały mi się wyłącznie dzięki nieprzerwanemu ciągowi potrójnych espresso z baru Italia. Miałem za sobą długą noc.

Kiedy uzbrojeni antyterrorysty pozwolili mi podnieść twarz z chodnika, zawieziono mnie do głównego na West Endzie, gdzie detektyw Edie Wren, wyciągnięta z łóżka we wczesnych godzinach rannych, odebrała ode mnie tak zwane zeznania na gorąco: przesłuchanie przeprowadzone najwcześniej, jak to możliwe, w celu uzyskania jak największej ilości informacji po poważnym zajściu. Przesłuchanie na gorąco niemal zawsze przeprowadza funkcjonariusz prowadzący dochodzenie, ale komisarz Whitestone czuwała przy łóżku syna w szpitalu. Po przesłuchaniu pojechałem do domu, przespałem się kilka godzin, odwiozłem Scout do pani Murphy, ogoliłem się, włożyłem garnitur i buty, po czym natychmiast przyjechałem do Nowego Scotland Yardu.

– Przykro mi, że nie mogłam sama przeprowadzić przesłuchania na gorąco – powiedziała Whitestone. – Pojawiły się komplikacje z okiem syna i... Przepraszam.

– Nic nie szkodzi – zapewniłem ją, kręcąc głową. Mimo to zastanawiałem się, jak długo Pat Whitestone będzie mogła kierować dużym dochodzeniem w sprawie zabójstw, skoro sprawy osobiste pochłaniały jej tak dużo czasu.

– Detektyw Wren spisała się na medal – wtrąciła komendant.

Obie miały przed sobą notatki Edie.

– Zakładamy, że wybrali ciebie, ponieważ stałeś się publiczną twarzą tego dochodzenia – powiedziała Swire.

Zauważyłem, że Pat Whitestone zarumieniła się z zażenowania i zajrzała do notatek.

– Tak, pani komendant – potwierdziłem.

– Co o nich wiemy, Max? – spytała.

Nie zdziwiły mnie te same pytanie, które Edie Wren zadawała mi podczas przesłuchania na gorąco. Tak to właśnie działa. Zadajesz pytanie raz po raz. Potem zadajesz je znowu. I sprawdzasz, czy pada zawsze ta sama odpowiedź.

– Było ich czterech – odparłem. – Kiedy usiłowali porwać Abu Dina, chyba jednego brakowało. Ale zeszłej nocy stawili się po mnie w komplecie. Są dobrze zorganizowani, zmotywowani i co najmniej paru z nich przeszło szkolenie. Jeden jest od roboty fizycznej. Drugi umie walczyć wręcz. – Wzruszyłem ramionami. – Są twardzi, zmyślni i zupełnie pieprznięci.

– Edie napisała, że jeden z nich z tobą rozmawiał – wtrąciła komisarz Whitestone.

Zacząłem się trząść. Wziąłem głęboki wdech, zatrzymałem powietrze w płucach i powoli je wypuściłem. Nie zamierzałem rozsypywać się na kawałki w tym pokoju.

– Tak. – Ruchem głowy wskazałem notatki. – Powiedział mi, że białą furgonetką, która wymanewrowała wóz patrolowy, jechali, jak to ujął, przyjaciele.

– Znaleźliśmy ją spaloną na parkingu w Notting Hill – zwróciła się Whitestone do komendant. – Szukamy odcisków palców.

– Powodzenia. – Swire zaśmiała się gorzko.

Nie rozumiałem.

– Zaraz. Nasz wóz patrolowy zgubił furgonetkę? Jakim cudem wóz szybkiego reagowania z dwoma wyszkolonymi i uzbrojonymi policjantami zgubił furgonetkę na North Circular.

– Białą furgonetkę prowadził zawodowiec – wyjaśniła Whitestone.

– To nie był młodociany rajdowiec amator. Znał się na rzeczy. Naprawdę umiał prowadzić. Czysty profesjonalizm. Prawie natychmiast zgubił nasz wóz, ponieważ wjechał na North Circular pod prąd.

– Jechał pod prąd?

– Nasi nie mogli jechać za nimi. Zbyt niebezpieczne. Szkolimy ludzi tak, żeby celnie strzelali, a nie prowadzili jak Lewis Hamilton. Dali znać przez telefon, ale kiedy znaleźliśmy białą furgonetkę, stała w płomieniach.

Komendant z irytacją wykrzywiła usta.

– Zabrali cię na miejsce zabójstw, Max. Masz pojęcie, gdzie to może być?

Pomyślałem o kwadratowym pomieszczeniu wyłożonym zniszczonymi kafelkami zzieleniałymi ze starości; o korytarzu, którym mnie prowadzili, gdzie ściany i sklepienie zdawały się na mnie napierać. Czyżby mi się to wydawało? W jasnym świetle dnia nie miałem pewności, jaka część nocy naprawdę się wydarzyła, a co było wytworem rozgorączkowanej wyobraźni. Tam, na dole, czułem jakiś zapach. Słodkawą woń rozkładu zwiędłych kwiatów albo cukru

w ściekach. Ohydna słodycz, którą skądś znałem, a może istniała jedynie w mojej głowie?

– Pojechaliśmy do miasta – powiedziałem. – Gdzieś w centrum. Pod ziemię. Do porzuconego budynku, który musiał być ważny mniej więcej sto lat temu. Ale nie wiem nawet, gdzie mnie znaleźliście. Nikt mi nie powiedział. Na ścianie widziałem chyba tablicę z napisem *Bloomsbury*... Na pewno widziałem napis *Bloomsbury*, ale nie słyszałem o stacji metra o takiej nazwie.

– Stację metra, którą znalazłeś, zamknięto w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku – powiedziała Whitestone. – Pierwotnie nazywała się British Museum. Zamierzali ją nazwać Bloomsbury, ale zmienili nazwę, zanim stację w ogóle otwarto. W tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku, parę lat po zamknięciu, nakręcono tam scenę do filmu *Bulldog Jack*. Producenci umieścili tam nazwę *Bloomsbury*.

– Grała Fay Wray – dodała komendant Swire. – Dziewczyna z *King Konga*.

– Patrzyłem na... plan filmowy?

– Stacja metra była autentyczna – zapewniła mnie Whitestone. – Fałszywa była jedynie tablica z napisem.

– Ale przecież skoro wiemy, że chodziło o tę stację metra, nasze ekipy poszukiwawcze zdołają znaleźć miejsce zabójstw – powiedziałem, lecz komisarz pokręciła głową.

– Szukają, ale to nie takie proste. Londyn ma setki kilometrów nieużywanych torów i dziesiątki porzuconych stacji metra. Znamy tę, z której wyszedłeś, ale nie wiesz, jaki odcinek drogi przeszedłeś ani skąd wędrowałeś.

– A co z psami tropiącymi? Przecież wyszkolone psy potrafią pójść moim tropem z Bloomsbury z powrotem na miejsce zabójstw.

– Wiesz, jak najlepiej zmylić psa tropiciela, Max? – spytała Whitestone.

– Należy podsunąć inne zwierzę, potencjalną zdobycz lub jedzenie – odparłem. – W przestępczym żargonie nazywa się to ukrywaniem piłki. Podsuwa się na tyle mocny zapach, żeby odwieść psa tropiciela od woni, za którą miał pierwotnie podążać. Czy to właśnie zrobili?

– Nie oni. Szczury. Tam, pod ziemią, żyją miliony szczurów. Psy tropiące nie mają szans na podjęcie tropu w świecie pełnym szczurów.

– Chcę, żebyś dziś porozmawiał z profesorem Hitchensem – oświadczyła komendant. – Może przypomnisz sobie z tego miejsca zabójstw coś, co mu się z czymś skojarzy.

– Tak jest, pani komendant.

– Jednej rzeczy nie rozumiem... – powiedziała Whitestone.

Czekałem.

– Dlaczego nie zginąłeś, Max?

Edie Wren opowiedziałem wcześniej wszystko, co pamiętałem, nie wspomniałem jednak o glocku 17. Nie miałem pojęcia, od czego zacząć, i nie chciałem wpakować przyjaciela za kratki.

Wiedziałem jednak, że nasi ludzie musieli już znaleźć pistolet.

– Rura, na której mnie powiesili, zerwała się i uciekli – odpowiedziałem na pytanie Whitestone. – Chyba dopisało mi szczęście.

Obie spojrzały po sobie. Ponieważ wiedziałem, co się święci, uprzedziłem pytanie:

– Poza tym nie umieli dobrze strzelać. Kiedy oddali strzał, udało mi się złapać pistolet. Pewnie już go znaleźliście. Chyba glock. Nie znam się na broni palnej.

Whitestone zajrzała do notatek.

– Owszem, glock – potwierdziła. – Ekipa poszukiwawcza znalazła go na torach tej starej stacji metra. – Przyglądała mi się uważnie tym samym wzrokiem, jakim lustrowała niezliczonych podejrzanych w salach przesłuchań. – Bezpieczny pistolet glock. Lubi go armia brytyjska. Najwyraźniej ze standardowego wyposażenia.

– Z pewnością znajdą na nim moje odciski palców – powiedziałem.

– Strzelałeś do tych ludzi? – spytała komisarz Swire, a jej twarz pociemniała.

Ilekcroć brytyjski policjant używa broni palnej, zaczyna się dochodzenie, w którym traktuje się go jako potencjalnego przestępcę. Zostaje aresztowany. Jest przesłuchiwany. Za pociągnięcie spustu można zapłacić bezrobociem i więzieniem. Nawet jeśli się strzeli do Osamy bin Ladena. Tak właśnie postępuje się z naszymi wyszkolonymi specjalistami od broni palnej, uzbrojonymi funkcjonariuszami z wozów patrolowych oraz członkami zespołów wsparcia taktycznego, inaczej mówiąc z policjantami, którzy z definicji mają nosić broń.

Nie miałem pojęcia, co by ze mną zrobili, i nie paliło mi się, żeby się dowiedzieć.

– Kiedy odebrałem im broń, była już pusta – dodałem. – Pociągnąłem za spust, ale nie było bum. Zabrałem pistolet jako dowód, ale upuściłem, kiedy uskokczyłem przed pociągiem.

Milczenie.

Panie spojrzały po sobie, potem na mnie. Nie były pewne, czy chcą kupić moją bajkę. Doszedłem do wniosku, że mało mnie to obchodzi.

– Co z posterunkowym Rocastle'em? – zainteresowałem się.

– Z kim? – spytała komisarz.

– Z tym mundurowym, który pilnował ulicy. Kiedy mnie zabierali, widziałem, że padł.

– Ach, posterunkowy Rocastle został obezwładniony takim samym paralizatorem, jakiego użyto na tobie – wyjaśniła Whitestone. – Jest pokiereszowany. Zakończenia nerwowe muszą dojść do siebie. Ale przeżyje.

Komendant skinęła głową. Przesłuchanie dobiegło końca.

Już byłem przy drzwiach, gdy zatrzymał mnie jej głos:

– Ostatnia sprawa, detektywie Wolfe. Ministerstwo Obrony zwróciło się do nas z pytaniem o zagosa.

– O zaginioną osobę?

– Tak. – Zajrzała do notatek, choć odniosłem wrażenie, że nie musiała tego robić. – Kapitan Jackson Rose. Ministerstwo Obrony chce się z nim pilnie skontaktować. Rozumiemy, że to pański przyjaciel. Czy wie pan coś o jego miejscu pobytu?

– Mieszkał u mnie przez pewien czas. Potem się wyprowadził. – Patrzyłem na pokerowe twarze obu kobiet. – Co ma do niego Ministerstwo Obrony?

– To sprawa ich, nie policji – odparła Swire i w jej głosie zabrzmiał nagle chłód. – Masz pojęcie, gdzie może przebywać Jackson Rose?

Pomyślałem o domu przy plaży na angielskim wybrzeżu, gdzie nawet w upalne lato woda jest lodowata; myślałem o dwóch chłopcach, którzy wierzyli, że ich przyjaźń będzie trwała wiecznie.

– Nie – odparłem.

Przed siedzibą Nowego Scotland Yardu stała Tara Jones.

W holu budynku płonie wieczny ogień ku czci policjantów poległych w wielkich wojnach dwudziestego wieku. Stojąc przy nim, patrzyłem na Tarę Jones czekającą na ulicy.

Zza bramki bezpieczeństwa patrzyłem, jak z teczką w dłoni stoi przy obracającym się znaku Nowego Scotland Yardu, nieświadoma spojrzeń dwóch młodych detektywów, którzy odwrócili głowy na jej widok. Należała do kobiet, które niezbyt dbają o efekt, jaki wywierają na mężczyznach. Niezbyt albo wcale. Minąłem metalowe drzwi obrotowe, wyszedłem z budynku i zbliżyłem się do niej.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że czeka na mnie.

– Mówili, że nie żyjesz – powiedziała.

– Nie.

– W internecie.

– A zazwyczaj jest taki wiarygodny – rzuciłem z uśmiechem.

Odwzajemniła go. Nadal się nie dotknęliśmy.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Nie mogę narzekać – odparłem. – W porządku. Naprawdę. Mogło być znacznie gorzej.

– Przyniosłam ci to.

Podwójne espresso ze Starbucksa. Liczy się intencja. Wziąłem łyk.

– Dziękuję.

– O Boże, Boże – wykrztusiła, kręcąc głową.

– Co takiego?

– Twoja szyja.

Pod kołnierzykiem koszuli widniała gruba czerwona pręga, a od grdyki do lewego ucha ziała otwarta rana.

Tara dotknęła oburącz mojej twarzy, opuszkami palców macając kości pod skórą. Wtedy wziąłem ją w ramiona i leciutko dotknąłem ustami jej ust. Nie był to tak do końca pocałunek. Raczej sprawdzenie, czy nasze usta do siebie pasują. Pasowały idealnie. Wstępna eksploracja wypadła pomyślnie. Usta Tary pasowały do moich jak żadne inne. Potem powtórzyliśmy próbę, tym razem głębiej. Raptownie odsunęliśmy się od siebie, nagle zdając sobie sprawę, że stoimy pod obracającym się znakiem Nowego Scotland Yardu. Tara ujęła moją dłoń i nie chciała puścić. Ruszyliśmy do samochodu.

Nie uśmiechała się.

– Co się właśnie stało? – spytała, przesuwając ręką po włosach; złota obrączka zamigotała w czarnej lśniącej gęstwinie.

– Nie wiem – odparłem.

Ale to nie była prawda.

Doskonale wiedziałem, co się stało.

Kiedy znajdujemy się najbliżej śmierci, najmocniej łgniemy do życia. Czując na skórze grobowy chłód, tęsknimy za dotykiem ciepłego ludzkiego ciała. Właśnie kiedy dociera do nas, że jesteśmy sami we wszechświecie, potrzebujemy czyichś ust. To najbardziej pierwotny ludzki impuls. Sensem życia jest więcej życia, pomyślałem, wyrzucając do kosza pusty kubek od Starbucksa.

Uścisnąłem dłoń Tary, uśmiechnąłem się do jej nieuśmiechniętej twarzy i w tym momencie była jedyną kobietą na świecie, jakiej pragnąłem.

– Masz ochotę na prawdziwą kawę? – zapytałem.

* * *

Pojechaliśmy do baru Italia.

Mogłem zostawić bmw X5 na podziemnym parkingu komisariatu głównego na West Endzie, a potem poszlibyśmy Regent Street do Soho. To byłoby naturalne postępowanie. Nie chciałem jednak przerywać czararu, nie chciałem, by Tara rozmyśliła się w kwestii prawdziwej kawy, nie chciałem, żeby rozmyśliła się co do mnie.

Kiedy prowadziłem duże bmw wokół St Jame's Park i Trafalgar Square, żeby zagłębić się w wąskie uliczki Soho, czar między nami wydawał się tak kruchutki, jakby lada chwila miał prysnąć.

Tara patrzyła prosto przed siebie, obracała złotą obrączkę na palcu lewej dłoni i zastanawiała się, co, do cholery, ze mną robi.

- Nie musisz jechać do pracy? – zapytała.
- Na resztę dnia dali mi wolne.
- Ponieważ zeszłej nocy tamci ludzie usiłowali cię zabić?
- Niektórzy to mają szczęście.

Na Old Compton znalazłem wolne miejsce, zaparkowałem i poszliśmy do Firth, a po drodze opowiedziałem jej pokrótce historię baru Italia.

– Jest w rękach tej samej rodziny już od trzech pokoleń. Mają własną mieszankę kawy, wynalezioną przez niejakiego signora Angelucciego, który mieszkał nieopodal, a ponieważ ich ekspres Gaggia nie ma filtra do wody, do kawy nie dostają się sole...

Przerwała mi wymownym spojrzeniem.

- Max?
- Co?
- Trochę bredzisz.
- Jestem zdenerwowany.

Wtedy pocałowała mnie w usta. To było miłe. Nasze usta tak świetnie do siebie pasowały. Było to aż śmieszne, ale i podniecające.

Gdy ją objąłem, klapy mojego starego garnituru ślubnego stłumiły jej słowa.

– W porządku – zapewniła. – Przy mnie nie musisz się czuć zdenerwowany.

Odsunęliśmy się od siebie, ujęła mnie pod ramię i ruszyliśmy Old Compton Street w stronę Firth jak prawdziwa para, co było takie naturalne i właściwe.

Uśmiechnęła się na widok zielonego neonu baru Italia.

Trzymając się za ręce, usiedliśmy pod dużym plakatem z Rockym Marciano, który wdowa po bokserze, Barbara, podarowała barowi Italia po jego śmierci, ponieważ Marciano zawsze uwielbiał to miejsce. Ale nie opowiedziałem Tarze o związkach Rocky'ego z barem Italia, żeby znów nie pomyślała, że bredzę. Pocałowałem ją w usta, wychyliłem potrójne espresso, Tara wypła cappuccino, ale nikt nie zwracał na nas uwagi, bo na dużych ekranach AC Milan grał z Inter Milanem i byliśmy po prostu jeszcze jedną parą zagubioną wśród uliczek Soho.

– Nic o tobie nie wiem – rzuciła. – A ty nie znasz mnie.

– Znasz mnie.

– Jakim byłeś chłopcem? – spytała. – Terroryzowali cię silniejsi?

– Nie – odparłem po namyśle. – Byłem trochę inny, bo mieszkałem z babcią. Miałem przyjaciela, który został adoptowany, Jacksona. Moi rodzice zginęli, a on nigdy nie znał swoich. – Na myśl o Jacksonie Rosie jako chłopcu uśmiechnąłem się. – Całymi latami trzymaliśmy się razem.

– Mnie terroryzowali codziennie – powiedziała. – Chodziłam do normalnej szkoły. Potwornie normalnej. Kilku chłopaków twierdziło, że kiedy mówię, wydaję odgłosy jak foka. Wiesz? Kojarzysz, jakie odgłosy wydają foki? Twierdzili, że moja mowa tak właśnie brzmi. –

Ścisnęła mnie za rękę i skrzywiła się na widok mojej miny. – Co się stało?

– Nic.

Chciałem ich wytropić.

Chciałem ich znaleźć.

Chciałem znaleźć się z nimi w jednym pokoju na... och, pół godziny by wystarczyło.

– Teraz jest już dobrze – zapewniła Tara. – Nie rób takiej miny. Uśmiechnij się znowu. Proszę.

– Dobrze.

– To było tylko kilku żalonych idiotów. Dzięki nim stałam się silniejsza. Dzieci zawsze przyczepiają się do kogoś, kto jest trochę inny. A ty – ujęła oburącz moje dłonie i potrząsnęła nimi – mieszkasz z córką. Tylko ty i ona. Słyszałam w pracy. Nie wiem, kto mi powiedział.

– Scout. Ma prawie sześć lat. – Tara czekała na wyjaśnienie, ale ja tylko wzruszyłem ramionami. – Tak bywa. – Uśmiechnąłem się dla złagodzenia tych słów. – Nie planowałem tego. Nikt nie planuje zostać samotnym rodzicem. Tak wyszło. Musieliśmy sobie radzić. I poradziliśmy sobie. Radzimy sobie.

– Musi być ciężko.

Pokręciłem głową.

– Dzięki Scout jest łatwo. Zresztą, nie jesteśmy sami. Jest Stan, nasz pies. Ludzie bardzo nas wspierają. – Pomyślałem o pani Murphy i jej rodzinie. Pomyślałem o przyjaciółce Scout, Mii, i jej rodzinie. Pomyślałem o kolegach i koleżankach z głównego na West Endzie, którzy ilekroć przyprowadzałem Scout do pracy, zawsze znajdowali wolne biurko, długopisy i papier do rysowania. Pomyślałem o Edie Wren. – Otaczają nas ludzie, którym zależy na tym, żeby nam się udało.

– Nie wiem, jak to robisz. Aaron, mój mąż, i ja jesteśmy zmordowani, chociaż mamy opiekunkę.

Nie chciałem słuchać o jej mężu Aaronie. Nie chciałem teraz o tym myśleć. Nie dzisiaj. Nie tutaj. Dotknąłem włosów Tary. Lśniących, rozkołysanych, bajecznych włosów. Od dłuższego czasu o tym marzyłem.

– Muszę je umyć – powiedziała.

– Tak, haniebne. – Uśmiechnąłem się. – Że też masz czelność wychodzić tak z domu.

– Żartowniś. Nigdy wcześniej nie widziałam cię w garniturze. – Wsunęła palce pod klapy mojej marynarki.

– W tym garniaku szedłem do ślubu – odparłem, gdy spojrzałem na jej dłonie i spostrzegłem, że niebieska wełna marynarki świeci ze starości. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłem. Mój garnitur ślubny był stary.

Tara zbliżyła twarz do mojej.

– Powinieneś sprawić sobie nowy – szepnęła.

Pocałowała mnie kawowo, po czym zsunęła się ze stołka.

– Czas wracać do rzeczywistości – rzuciła.

Kiedy ruszyliśmy do głównego, utknęliśmy w korku na Shaftesbury Avenue, więc włączyłem koguta i samochody błyskawicznie zaczęły zjeżdżać nam z drogi.

– O Boże!

Tara zsunęła się nisko na siedzeniu, zaśmiewając się trochę z radości, trochę z zażenowania, gdy dwutonowa syrena wyła, światła pulsowały, a Londyn ustępował nam z drogi.

Przez całą drogę na Savile Row śmialiśmy się do rozpuku.

Dopiero kilka godzin później, kiedy Scout zasnęła na kanapie z książką *Podoba mi się ten wiersz*, a dzwony Świętego Pawła zaczęły

wydzwaniać godzinę, uzmysłowiłem sobie, że Tara nie mogła słyszeć syreny.

Ze snu wyrwała mnie komórka wibrująca na nocnym stoliku i zataczająca małe kółka, jakby żyła własnym życiem. Postawiłem stopy na podłodze. Szósta rano, a niebo wciąż było niemal czarne. Dni stawały się krótsze.

W słuchawce rozległ się kobiecy płacz. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że dzwoni Alice Goddard.

– Oni wypuszczają jednego z nich! Uniewinnią go! Max, zabicie mojego męża ujdzie mu na sucho!

– Powoli, Alice. Co się dzieje?

W końcu zdołała opowiedzieć. Jeden z członków bandy, która zabiła Steve’a Goddarda, usiłował zaskarżyć wyrok.

– Który? – spytałem, choć mogłem się domyślić.

– Ten, co filmował telefonem. Jed Blake. Pamiętasz go? Mówi... Mówi, że nie brał w tym udziału, że nie miał nic wspólnego z zabójstwem...

Pamiętałem wszystkich trzech. Tchórz. Słabeusz. I osiłek. W Pierwszym Sądzie Old Bailey zadzierali nosa, ale kiedy spotkałem się z nimi w sali przesłuchań numer dwa w komisariacie głównym na West Endzie, nieco im zrzędyły miny.

Osiłek siedział z beznamiętną twarzą, zbyt tępy, by pojąć, czego się dopuścił. Słabeusz na moich oczach zmoczył spodnie w obawie przed wyrokiem.

I wreszcie tchórz, Jed Blake, płaczący za matką, z głową w dłoniach, jak gdyby nie mógł znieść widoku sali przesłuchań, raz po

raz powtarzał, że nie tknął pana Goddarda, że tylko skierował na niego telefon i nacisnął *Nagrywaj*.

– Posłuchaj mnie, Alice. Wygląda na to, że ten dupek Jed Blake ubiega się o prawo do apelacji. Sędzia na procesie uznał, że wszyscy trzech działali razem. Teraz adwokat Blake’a prawdopodobnie będzie argumentował, że wyrok nie był sprawiedliwy, ponieważ nie działali razem. – Słowa utknęły mi w gardle, ale musiałem jej to jasno wyłuszczyć. – Ponieważ Blake tylko filmował zajście i nie brał udziału w biciu.

Usłyszałem cichy płacz Alice, do której dotarło, że to nie senny koszmar. To było jej życie.

– Ale co to wszystko oznacza? – spytała bardzo cicho. – On chyba nie wyjdzie na wolność, prawda?

– Jeśli odwołają się od wyroku, nie mam pojęcia, co może się wydarzyć. Nie jestem prawnikiem. Nawet gdybym nim był, nie potrafiłbym przewidzieć. Jeśli jednak Blake ubiega się o apelację, musi wypełnić formularz PP, Podstawy i Przesłanki do Apelacji, w którym musi przedstawić argumenty adwokata wykazujące błędy procesowe. Jeżeli sędzia zaakceptuje formularz PP, powędruje on do sądu apelacyjnego w Sądach Królewskich na Strandzie. Jeśli tamtejszy sędzia uzna, że wyrok był niesprawiedliwy, Blake może wyjść na wolność. Naprawdę mi przykro.

Przykro mi, że ten świat nie chce zostawić cię w spokoju. Przykro mi, że w żaden sposób nie mogę tego naprawić. Przykro mi, że twojego męża skopano na śmierć za to, że chronił rodzinę.

– Będę tam z tobą – obiecałem. – Nie musisz przechodzić przez to sama. W sądzie będę stał tuż przy tobie.

Alice Goddard zdążyła się już jednak rozłączyć.

Przeszedłem przez mieszkanie, stanąłem przy dużym oknie i patrzyłem, jak słońce wschodzi nad dachami Smithfield i Barbican

i pierwsze promienie złocą kopułę katedry Świętego Pawła. Blżej mnie, na szczycie gmachu sądu Old Bailey, królowała bogini sprawiedliwości z zawiązanymi oczami, w wyciągniętej lewej ręce dzierżąca wagę, w prawej miecz.

Chociaż opaska na jej oczach miała uczynić wszystkie jej sądy bezstronnymi i mądrymi, obecnie symbolizowała tylko przypadkowość, bezmyślność i okrucieństwo ich decyzji.

Stan obserwował mnie bacznie z koszyka, a gdy podszedłem do drzwi i włożyłem buty, przydreptał zachwycony, machając ogonem, z okrągłymi oczami błyszczącymi z podniecenia. Na ulicy kroczył obok mnie tak swobodnie, stara skórzana smycz zwisała tak luźno, że wydawała się całkiem zbędna. Właśnie mijaliśmy Smiths of Smithfield, gdy nieoczekiwanie rzucił się na jezdnię.

Smycz się naprężyła i tuż obok głowy Stana przemknęła czarna taksówka, trąbiąc donośnie.

Klęknąłem, żeby przyjrzeć się pyszczkowi psa. W wielkich czarnych oczach miał szaleństwo, z rozdziawionej mordki wysunął się język, różowy jak kornwalijska szynka organiczna. Stan niuchał poranne powietrze, rozkoszując się sobie tylko dostępną wonią.

– Co z tobą, Stan? Chryste, mogłeś zginąć!

Wtedy po przeciwnej stronie Charterhouse Street spostrzegłem kobietę z białym miniaturowym pudelkiem. Spojrzałem na Stana. Dyszał i nie patrzył mi w oczy. Z niedowierzaniem pokręciłem głową.

– To dlatego byłeś gotów zginąć? – spytałem. – Żeby obwąchać suczkę? – Zbliżyłem twarz do jego pyszczka i Stan w ramach przeprosin polizał mnie po nosie. – Posłuchaj mnie. Nie każ mi tego robić. Nie chcę cię zabierać do weterynarza, rozumiesz? Nie chcę cię... kastrować. Ale zrobię to, jeśli dalej będziesz się rzucał między samochody.

Przez resztę spaceru nie odzywałem się do niego. Załatwiał swoje sprawy w West Smithfield, ja czytałem na ławkach cytaty z *Olivera Twista* – fragment o tym, jak Bill Sykes ciągnie Olivera przez targ mięsny Smithfield – a Stan raz po raz zerkał w moją stronę.

Jakbym akurat ja powinien go zrozumieć.

* * *

Kiedy wróciliśmy, Scout już nie spała.

W piżamie stała na palcach na stołeczku w kuchni i myszkowała w szafkach.

– Robię ci śniadanie – oznajmiła. – Jackson nauczył mnie gotować.

– Co szykujesz, Scout?

– Grzankę z dżemem.

– Brzmi nieźle. Nie wpakuj sobie palców do tosterka.

– Tatooo. – Uniosła brwi.

– Potrzebujesz pomocy, aniołku?

– Nie.

– Cieszysz się, że niedługo wrócisz do szkoły i spotkasz się z przyjaciółmi?

– Naprawdę muszę się skupić.

– Przepraszam.

Tak więc Scout przyszykowała nam śniadanie, Stan zwinął się w koszu, ja zaś wyjąłem plastikowe torby z nowiutkimi ubraniami szkolnymi, żelazko oraz szpulki tasiemek z imieniem i nazwiskiem, które ciągnęły się bez końca jak dni dzieciństwa mojej córki. *Scout Wolfe. Scout Wolfe. Scout Wolfe. Scout Wolfe.*

Oczy nagle zaszły mi łzami, gdy tak stałem z żelazkiem nad tymi tasiemkami i szkolnymi ubraniami, patrząc, jak Scout hojnie smaruje dżemem truskawkowym grubą kromkę razowca. Stan wstał

i przydreptał do kuchni, oblizując się i słusznie zakładając, że wkrótce z nieba zaczną spadać chleb.

Wierzchem dłoni otarłem oczy i tępo wpatrywałem się w trzymane tasiemki. *Scout Wolfe*, głośiły. *Scout Wolfe*.

Z całego serca pragnąłem dla córki i siebie prawdziwej pełnej rodziny, rodziny podobnej do wszystkich innych na świecie, rodziny, w której nikogo nie brakuje, nikt nie zniknął, nie odszedł; tęskniłem za tą rodziną tak bardzo, jak tylko może tęsknić człowiek, który swoją stracił.

Potem weszła pani Murphy w zielonym ciepłym płaszczu, przywitała się ze Scout, ze mną i Stanem; oznajmiła, że po raz pierwszy czuje w powietrzu jesienny chłód, po czym łagodnie odebrała mi żelazko oraz tasiemki z nazwiskiem Scout Wolfe.

– Ja to zrobię – powiedziała.

– Nie jestem w tym zbyt dobry – przyznałem.

– Proszę się nie martwić – pocieszyła mnie. – Córka będzie pana kochać za pańskie serce, nie za zajęcia domowe.

– Gdzie jest pokój egzekucji, Hitch? – spytałem.

Pora była na tyle wczesna, że ostatnia poranna mgła płynęła nad dachami Mayfair, gdy wszyscy staliśmy przed wielką mapą Londynu pokrywającą ścianę sali numer jeden w komisariacie głównym West Endzie przy Savile Row 27.

Komisarz Whitestone. Edie Wren. Billy Greene. Tara Jones. Doktor Joe Stephen. Oraz historyk z okazałą jajowatą głową i zmarszczoną w skupieniu twarzą.

– Nie może być daleko – powiedziałem. – Obstawiam, że z miejsca, gdzie teraz stoimy, można tam dojechać taksówką za dziesięć funtów. Dokąd oni mnie zabrali, Hitch?

– Przebywałeś w ciemności, Max – odparł profesor Hitchens, wskazując mapę olbrzymią głową. Poplamione nikotyną palce wyciągnął ku szarozielonej aglomeracji zamieszkaney przez dziesięć milionów ludzi. – W innym Londynie ukrytym pod powierzchnią. W *London Under* Acroyd świetnie pisze o tym podziemnym mieście. *Stąpaj ostrożnie po londyńskich chodnikach, ponieważ stąpasz po skórze* – cytował z pamięci, zamykając oczy. – *Ta kamienna sieć składa się z rzek i labiryntów, tuneli i komnat, strumieni i jaskiń, rur i przewodów, źródeł i przejść, krypt i ścieków, pełzających stworzeń, które nigdy nie ujrzą światła dziennego.*

– Ale to było prawdziwe. – Dotknąłem pręgi na szyi, która biegła aż do ucha. – To nie były mityczne podziemia. To nie była fantazja. To miejsce tam jest. Nie wierzę, że nie można go znaleźć.

– Ekipy poszukiwawcze wciąż tam są – powiedziała Whitestone. – Psy tropiące świetnie się bawią, uganiając się za szczurami. Ale nic nie znaleźli, a komendant zakończy akcję pod koniec dnia. – Moja przełożona przyjrzała mi się uważnie. – Nadal nie pojmuję, jak wyszedłeś.

– Ja też nie – przyznałem.

– Nie rozumiem też jeszcze jednej rzeczy...

Czekałem.

– Dlaczego tego nie nagrali? – pytała. – Czemu nie jesteś na YouTube?

– Może uznali, że zabicie gliniarza nie rzuci dobrego światła na grupę #przywroccie – podsunęła detektyw Wren. – Gdyby załatwili naszego Maxa, mogliby stracić sporo zwolenników na Twitterze. Ludzie zaczęliby ich usuwać z grupy przyjaciół na Facebooku albo protestowaliby na Change.org. Może obawiają się trolli.

– Nie wydaje mi się, żeby tak bardzo liczyli się z opinią publiczną – powiedziałem. – Zanim wszystko trafił szlag, zobaczyłem czerwone światło. Oni zamierzali to nagrać. Raczej nie mają oporów przed zabiciem policjanta. Uważają, że chronimy ludzi, których nienawidzą. – Zwróciłem się do Hitchensa: – Naprawdę nie masz pojęcia, dokąd mnie zabrali?

– Podziemny Londyn ciągnie się bez końca, Max – odparł. – To nie jest inne miasto, ale tysiąc miast. Dziesięć tysięcy miast. Czego dokładnie szukają ekipy? Przejścia nieużywanego od stu lat? Wiesz, ile jest w Londynie nieużywanych stacji metra? South Kentish Town, zamknięta w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku. Lords zamknięta w trzydziestym dziewiątym. North End zamknięta w tysiąc dziewięćset szóstym. Tam są dwadzieścia trzy porzucone stacje metra i Bóg wie ile kilometrów nieużywanych torów.

– Tak, ale większość tych opuszczonych stacji znajduje się dalej niż stacja British Museum. – Postukałem w Charterhouse Street na mapie.
– To jest serce miasta. Taro, czy nie wspominałaś, że w pobliżu jest jakaś duża budowa?

Tara wyświetliła film umieszczony przez zabójców w internecie tej nocy, kiedy uciekł im niedoszły członek Klubu Wisielców, Abu Din. Postacie stały w cieniu. Kiedy kamera powoli sunęła po ścianie ze zdjęciami zabitych żołnierzy, szczęśliwych, dumnych, młodych twarzach Szóstki z Sangin, Tara podwyższyła głośność hałasów w tle.

– To nie jest ruch uliczny, prawda? – spytałem.

– Nie – przyznała, śledząc wykres skaczący na ekranie laptopa. – Ten hałas czasami ustaje, a ruch uliczny trwa nieprzerwanie. Według mnie, w pobliżu miejsca egzekucji znajduje się duża budowa.

– Przecież cały Londyn jest placem budowy – zauważyła Edie Wren.

– Nie takim – upierała się Tara. – To nie jest dom w Hampstead czy Chelsea przerabiany dla rosyjskiego oligarchy. Brzmi jak budowa na dużą skalę... może fundamenty pod wysokościowiec. To by zawężyło poszukiwania, prawda?

– Z pewnością. – Uśmiechnąłem się do niej.

Odwróciła wzrok, przygryzła wargę i wsłuchiwała się w hałas, jednocześnie obserwując wykres. Nie mam pojęcia, w jaki sposób nagrała ten odgłos, ale dla mnie brzmiał jak majsterkowanie bogów.

– Czy to są tysiące ton betonu i stali wlewane pod ziemię? – zapytała Whitestone. – Możliwe.

Gdy nagranie dobiegło końca, zwróciłem się do profesora Hitchensa.

– Widziałem coś, czego nie można zobaczyć na żadnym z ich filmów – powiedziałem. – Prowadzili mnie korytarzem, który stale się zwężał. Wyłożony był takimi samymi kafelkami jak miejsce egzekucji.

Białe kafle zniszczone ze starości. Tak stare, że nie sposób ich już nazwać białymi. Bardziej zielone niż białe. Takie same widziałem w pokoju egzekucji i w korytarzu, który zwęzał się z każdym krokiem, sufit się obniżał, ściany się zbiegały. Jak ze złego snu. Ale to się działo naprawdę. Słyszałeś kiedyś o czymś takim?

Pokręcił głową.

– Główny problem polega na tym, że nie potrafisz nam powiedzieć, czy po ucieczce z tego pomieszczenia szedłeś prosto, czy kołowałeś – powiedział. – Nie wiem, czy stacja, na której cię znaleziono, leży tuż obok, czy kilka kilometrów od miejsca egzekucji. – Spojrzał na Whitestone. – Nie sposób przesadzić, kiedy mówi się o rozmiarach podziemnego Londynu. Wszystkie te zapomniane tunele, chodniki, których próżno szukać na mapach, opuszczone przejścia... Istnieje równoległy Londyn złożony z wielu warstw czasu geologicznego.

– Doceniamy pańską pomoc, profesorze – zapewniła go komisarz.

– Daj spokój, Hitch – rzuciłem, pokazując zdjęcie pokoju egzekucji. – Przyjrzyj się dokładnie! Te kafelki muszą mieć co najmniej sto lat. Nic ci to nie przypomina?

– Żałuję, że nie mogę bardziej pomóc. – Przyłożył do ust palce poplamione nikotyną.

Poczułem, jak pręga na szyi zaczyna mi pulsować z powodu frustracji, ale pogłaskałem profesora po wielkiej łysej jajowatej głowie, żeby go pocieszyć.

– Nie ma sprawy, Hitch.

Nie jesteś jedynym historykiem w mieście, pomyślałem.

* * *

W Czarnym Muzeum jest zimno i ciemno.

Niska temperatura ma pomóc w konserwacji mikroskopijnych fragmentów ludzkiego ciała, które nadal przylegają do niektórych eksponatów – liczących nawet sto czterdzieści lat – podczas gdy słabe oświetlenie ma zapobiegać blaknięciu. Półmrok ma jednak jeszcze jeden efekt: najbardziej sekretnemu pomieszczeniu w Londynie nadaje aurę cichej groźby.

Kiedy przyszedłem do sali 101 w Nowym Scotland Yardzie, sierżant John Caine właśnie kończył oprowadzać tuzin mundurowych kadetów z akademii policyjnej w Hendon.

– Daj mi parę minut, Max – poprosił.

Zająłem miejsce na końcu grupy zwiedzających.

Wśród młodych mężczyzn i kobiet panował nastrój powagi. Policja Metropolitalna uważa Czarne Muzeum – lub Muzeum Zbrodni, bo coraz częściej używa się tej oficjalnej nazwy – za źródło wiedzy. Z pewnością można się tu dowiedzieć o naturze ludzkiej więcej, niż człowiek chciałby wiedzieć.

Nieopierzeni policjanci patrzyli na wysoką półkę, gdzie wystawiono kolekcję masek pośmiertnych, trójwymiarowych odlewów gipsowych głów straconych mężczyzn i kobiet. Wszystkie miały ciemnobrunatną barwę palonej kawy, oprócz najstarszej, która z upływem lat stała się kruczoczarna. Wszystkie głowy były gładkie, oczy – zamknięte. Na tym jednak podobieństwa się kończyły; maski pośmiertne zdjęto z twarzy młodych i starych, grubych i chudych mężczyzn i kobiet.

– Czy one są prawdziwe? – zainteresował się młody policjant, który golił się chyba zaledwie raz w tygodniu.

– Wszystkie są prawdziwe, ale żadna was nie ugryzie – zapewnił John Caine, stając na tyłach grupy. – Te maski zdjęto ze zmarłych natychmiast po wykonaniu wyroku śmierci za zabójstwo.

Odchrząknął, a kadeci oderwali wzrok od makabrycznych masek, aby wysłuchać jego mowy na zakończenie.

– Mam nadzieję, że dzisiejsze zwiedzanie wam się podobało. – Przyglądał się młodym ludziom bystrymi, błyszczącymi oczami. – Kiedy zasilicie szeregi Policji Metropolitalnej, każde z was otrzyma numer identyfikacyjny. Mało kto wie, że numery te są wydawane kolejno i zwyczaj ten datuje się od początków policji. Mam też nadzieję, że będziecie dziś mieli okazję obejrzeć wystawę poświęconą dzielnym mężczyznom i kobietom poległym na służbie. Każda z tych osób posiadała numer identyfikacyjny i wy również je otrzymacie. Pierwszy taki numer wydano posterunkowemu Williamowi Atkinsonowi w tysiąc osiemset dwudziestym dziewiątym roku, numer jeden. Pierwszego dnia służby, a zarazem w pierwszym dniu, gdy po ulicach Londynu chodził policjant, dwudziestego dziewiątego października tysiąc osiemset dwudziestego dziewiątego roku posterunkowego Atkinsona zwolniono za pijaństwo w miejscu publicznym.

Śmiech. Sierżant Caine pozwolił sobie na ironiczne wykrzywienie ust.

– Wiem jednak, że przyniesiecie chlubę Policji Metropolitalnej i pokoleniom ludzi, którzy służyli przed wami. Dbajcie o siebie i o kolegów. Dziękuję i do zobaczenia.

Kadeci nagrodzili go brawami.

Po odprowadzeniu ich do windy na pierwszym piętrze Caine wrócił i spojrzał na moją szyję.

– Max, jesteś jedynym znanym mi człowiekiem, którego wygląd poprawił się w wyniku powieszenia. – Potem, pierwszy raz w życiu, przelotnie mnie objął. – Witaj z powrotem w domu. Nastawię wodę na herbatę, dobrze? Twój ludzie nadal niańczą Mustafę?

– Abu Dina? Nie, pilnuje go ktoś stąd. Antyterrorysty z SO15.

– Czyli apologety terroryzmu pilnują policjanci, którzy strzegą nas przed terrorystami? Ktoś ma rozwinięte poczucie ironii.

Postawił na biurku dwa kubki z herbatą. Jego, jak zwykle, miał napis NAJLEPSZY TATA ŚWIATA. Hasło na moim głosiło NIE WSZYSCY WĘDROWCY SIĘ GUBIĄ.

Napiłem się mocnej słodkiej herbaty. John Caine zawsze wsypywał mi bez pytania trzy łyżeczki cukru.

– Muszę się dowiedzieć, gdzie byłem, John. Musimy znaleźć miejsce, w którym powiesili Mahmuda Iraniego, Hectora Wellea i Darrena Donovana...

– Oraz ciebie.

– Oraz mnie. To samo miejsce zbrodni, a nikt z głównego nie ma zielonego pojęcia, gdzie może się znajdować. Zatrudnił historyka z King's College, ale nawet on pudłuje.

John upił herbaty.

– Opowiedz mi o tym dokładnie – poprosił.

Tak też zrobiłem. Opowiedziałem mu wszystko. Od momentu, gdy biała furgonetka wywabiła wóz patrolowy sprzed domu Abu Dina, aż do pojawienia się czarnej. Od niewyobrażalnych spazmów wywołanych przez paralizator do jazdy na miejsce egzekucji. Opowiedziałem, jak walczyłem o życie.

Wyznałem nawet to, co zatałem przed resztą. Czułem, że muszę to komuś opowiedzieć.

Opisałem Johnowi Caine'owi, w jaki sposób uchroniłem się przed powieszeniem.

– Zaczekaj. Miałeś broń?

– Glocka siedemnastkę. Należał do mojego przyjaciela, byłego żołnierza. Nie zdradzę ci jego nazwiska, dobrze?

– Nie muszę wiedzieć, jak on się nazywa, Max. Ale miałeś przy sobie broń?

– Odebrałem ją przyjacielowi w obawie przed tym, co mógłby nią zrobić. Wziąłem ją ze sobą do domu Abu Dina, bo uważałem, że tamci nie zawahają się mnie zabić, aby dopaść mułłę. Potem zamierzałem pozbyć się pistoletu, wyrzucić go z mostu do Tamizy. – Pomyślałem o młodym Steviem Goddardzie i jego nożu. – Albo wyrzucić do kanału.

Na wspomnienie pistoletu w dłoni i tego, że chciałem ich zastrzelić, oblewałem się zimnym potem. Złamałem chyba dość przepisów dotyczący broni palnej, by wyrzucili mnie na zbity pysk albo posłali do pierdła. W duchu dziękowałem niebiosom, że pistolet znaleźli nasi.

– Nadal masz tego glocka? – spytał.

– Nie.

– Grzeczny chłopiec.

Pistolet przestał go obchodzić. W Czarnym Muzeum znajduje się sporo broni palnej, ale sierżant John Caine nieszczerze się nią interesował.

– Potem pobiegłeś za nimi – powiedział.

– W tym punkcie wszystko zaczyna się zamazywać. Byliśmy pod ziemią. Oni uciekli jeszcze głębiej. Panowały ciemności, schody wiodły do tunelu, który z kolei prowadził do chodnika z łukowatymi kolumnami przeznaczonego dla tłumów ludzi. Początkowo wyglądało to jak stadion piłkarski, była w tym jakaś epicka atmosfera, jakby miały tamtędy przechodzić tysiące ludzi.

– Okazało się, że to opuszczona stacja metra.

– British Museum. Słyszałeś o takiej?

Pokręcił głową.

– W Londynie jest masa nieużywanych stacji metra. Zamykają je od tysiąc dziewięćsetnego roku. Przydawały się podczas nalotów, ale potem nie bardzo. Czyli znaleźli cię przed Muzeum Brytyjskim. To praktycznie w centrum, Max.

– Wiem. – W milczeniu piliśmy herbatę. Czułem, jak cukier zaczyna działać. – I jeszcze jedno – dodałem. – Kiedy prowadzili mnie na miejsce egzekucji, szliśmy korytarzem jak z koszmaru, jak z upiornej bajki. Zwężał się jak w *Alicji w Krainie Czarów*. Sufit się obniżał, ściany się do siebie zbliżały, na końcu ręce przylegały mi do ciała i pochylałem głowę.

John Caine nagle pobladł.

– To jest Chodnik Trupa – powiedział. – Nie bez powodu sufit się obniżał, a ściany zwężały, Max. To dlatego, że kiedy człowiek, mężczyzna lub kobieta, wiedział, że zamierzają go powiesić, walczył jak szalony. Korytarz się zwężał, aby łatwiej było zapanować nad skazańcami.

Pręga na szyi mi pulsowała.

– Gdzie jest ten Chodnik Trupa? – zapytałem.

– Chcesz powiedzieć: gdzie był? – poprawił mnie Caine. – Chodnik Trupa znajdował się w więzieniu Newgate. Ale Newgate zrównano z ziemią ponad sto lat temu.

– Chodnik Trupa był w więzieniu Newgate – powiedziałem komisarz Whitestone, do której zadzwoniłem w drodze do samochodu. – Niech profesor Hitchens nie wychodzi. Będę za pięć minut.

Na krótką drogę na Savile Row 27 włączyłem koguta i spodziewałem się, że w sali numer jeden powitają mnie podnieceni ludzie. Oni jednak spojrzeli na mnie tak, jakby właśnie dobiegał końca kolejny długi dzień. Whitestone. Edie Wren. Billy Greene. Tara. Oraz profesor Hitchens, który na czterech biurkach rozłożył starą mapę Londynu w kolorach czarnym i złotym.

Komisarz Whitestone posłała mi smutny uśmiech.

– Wygląda to na wiatr w polu, Max – powiedziała. – Przykro mi.

– Co to znaczy? – spytała Tara.

– Fałszywy trop – wyjaśniłem. – Celowe skierowanie śledztwa na fałszywe tory. Ale...

– Więzienie Newgate już nie istnieje – włączył się profesor Hitchens. – Musisz wbić to sobie do głowy, Max. Nie mam pojęcia, dokąd cię zabrali, ale to nie mogło być Newgate. Oto mapa Londynu Charlesa Bootha z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Nazywali ją „mapą nędzy”, ponieważ pierwotnie miała pokazywać biedne części miasta. Czarny kolor oznacza biedotę, złoty bogactwo. – Palec wskazujący Hitchensa postukał w środek mapy. – Co tu jest napisane?

Wpatrywałem się w mapę. I oto, między targiem mięsnym Smithfield a katedrą Świętego Pawła, w samym sercu miasta...

– Więzienie Newgate – przeczytałem.

– Zgadza się. Jak widzisz, pod koniec dziewiętnastego wieku więzienie Newgate było wyraźnie widoczne. Teraz spójrz na mapę nędzy, którą ten sam Booth wykreślił w tysiąc dziewięćset trzecim roku, zaledwie cztery lata później.

– Nie ma Newgate – stwierdziłem.

– Ponieważ w tysiąc dziewięćset drugim Newgate zrównano z ziemią – oznajmił Hitchens. – Więzienie stało przez blisko tysiąc lat, ale na początku dwudziestego wieku zostało całkowicie zburzone. Na tym miejscu zbudowano Centralny Sąd Kryminalny, czyli Old Bailey. Iście symboliczny gest. Jeden rodzaj brytyjskiej sprawiedliwości, średniowiecznej, brutalnej, kierującej się odwetem, u progu nowego stulecia zastąpiono inną odmianą brytyjskiej sprawiedliwości, nowoczesną, uczciwą i prawą.

– Czyli z Newgate nic nie zostało? – spytała Whitestone. – Zupełnie nic?

Hitchens zaczął zwijać mapy.

– Obok Old Bailey jest bardzo miły pub, Viaduct Tavern, z resztkami cel Newgate w piwnicy. W tych celach osadzano dłużników, do dwudziestu osób. Podobno smród był tak silny, że mógł udusić konia. Widziałem te piwnice i niezbyt pasują do opisu detektywa Wolfe'a. Właściwie wcale nie pasują. Twój znajomy z Nowego Scotland Yardu ma rację, Max. Twój opis idealnie pasuje do korytarza w więzieniu Newgate, znanego jako Chodnik Trupa. Zwęzał się stopniowo, aby skazaniec nie mógł się odwrócić, żeby walczyć lub uciec. Chodnik nie istnieje jednak od ponad stu lat.

Wszyscy patrzyli na mnie niemal z politowaniem.

– Ale on był prawdziwy – upierałem się. – Szedłem tym korytarzem.

– Struktura Newgate jest dobrze udokumentowana – powiedział Hitchens. – Więzienie figuruje na pierwszej mapie Londynu, wykreślonej w tysiąc pięćset siedemdziesiątym piątym roku przez Georga Brauna i Franza Hogenberga. Newgate stanowiło najbardziej znany symbol krwiożerczego brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości. Ktokolwiek cię porwał, doskonale wiedział, co robi. Ci ludzie wiedzieli, co przypomina tamten korytarz. – Hitchens wsunął mapy do torby i otarł dłonią spocone czoło. – Ale wierz mi, to nie mogło być Newgate.

– Chcę sprawdzić ten pub – oświadczyła Whitestone. – Viaduct Tavern.

– Nie ma tam wiele – rzucił Hitchens. – Z pewnością nic, co...

Komisarz uciszyła go, unosząc dłoń, i w tej niepozornej kobiecie dostrzegłem błysk stali. Tego lata jej świat został rozbity na kawałki, ale nadal prowadziła śledztwo w sprawie zabójstw i życzyła sobie obejrzeć piwnice Viaduct Tavern.

To nie była propozycja.

* * *

Pół godziny później wszyscy zeszliśmy do piwnicy pubu Viaduct Tavern na Newgate Street. W ścianach wyrąbano cele mogące pomieścić duże zwierzęta. Zimne, mroczne cele cuchnęły dawną grozą. Znajdujący się nad nami pub był ciepłym, radosnym miejscem położonym całe lata świetlne od tego starodawnego siedliska horroru. Cele zaprojektowano tak, jakby miały tłumić ludzkie krzyki. Poczulem ciarki.

Whitestone i Wren patrzyły na mnie.

– Coś wygląda znajomo? – spytała komisarz.

– Nie tutaj mnie zabrali – odparłem. – Tamto miejsce wyglądało zupełnie inaczej. – Ogarnęło mnie zniechęcenie. – Jak mówiłem, fałszywy trop.

– W porządku. – Whitestone poklepała mnie lekko po plecach. – W każdym śledztwie napotykamy fałszywe tropy, Max, i to był jeden z nich.

Weszliśmy na górę do pubu. Viaduct Tavern jest pięknym wiktoriańskim pomieszczeniem z sufitem z kutej miedzi, nadającym pubowi ciepłą czerwonawą poświatę. Po piwnicznej stęchliźnie tu człowiek czuł, że w końcu może swobodnie odetchnąć. Ze znużeniem osunąłem się na najbliższe krzesło.

– Myślę, że zasłużyliśmy na kolejkę – powiedziała Whitestone. – Zamówię.

– Mają tu pierwszorzędne piwa. – Hitchens się rozochocił.

Ujrzałem, że Tara Jones wymyka się na dwór. Poprosiłem o gazowaną wodę mineralną z podwójnym espresso, po czym wyszedłem za nią. Patrzyła w niebo. Ogarnąłem wzrokiem kopułę katedralną bielejącą w blasku księżyca.

– Piękna, prawda? – rzuciłem.

– Nie patrzyłam na Świętego Pawła – odparła.

Wtedy zobaczyłem, na co patrzyła.

Olbrzymie czarne kontury dźwigów na tle nocnego nieba, gigantyczne konstrukcje, przy których nawet najwyższe lśniące wieże wyglądały jak karły, dźwigi budujące wysokościowce jutra.

* * *

Odwiozłem Tarę do domu, co okazało się zadziwiająco proste. Nikt nie zwrócił szczególnej uwagi, kiedy zaproponowałem, że podrzucę ją

do Canonbury. W samochodzie była jakby nieobecna, a gdy dotknąłem jej ręki, pokręciła głową.

– Nie chciałbyś zostać takim facetem, Max – powiedziała.

– Jakim?

– Cynicznym romantykiem. Mężczyzną, któremu na wczesnym etapie ktoś łamie serce, więc przez resztę życia ugania się za mężatkami. Nic nie ryzykuje, zostawia za sobą zdemolowane małżeństwa, które, w większości przypadków, nawet nie zdają sobie sprawy, że zostały zdemolowane. – Zerknęła na mnie. Uśmiechnąłem się do jej pięknej twarzy, ale nie odwzajemniła uśmiechu. – Kobiety będą się do ciebie garnąć – ciągnęła. – Najróżniejsze kobiety. Nie popełniaj błędu polegającego na tym, że pragnie się tylko tego, czego nie można mieć. Nie stań się takim człowiekiem. Mówię serio. Jesteś lepszy niż ktoś taki.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – rzuciłem ze śmiechem.

Ale wiedziałem doskonale, a ona poznała to po mnie.

Gdy dotarliśmy do Canonbury Square, powiedziała, że mogę ją wysadzić na rogu. Odparłem, że odwiozę ją pod dom; nie oponowała. Rozumiałem jednak, że nie mogę pocałować jej na dobranoc przed domem.

Szła ścieżką. Gdy drzwi się otworzyły, mogłem odwrócić wzrok, ale zmusiłem się do patrzenia. W oświetlonym przedpokoju pojawił się jej mąż z koszulą wypuszczoną na spodnie i kieliszkiem czerwonego wina w dłoni, człowiek sukcesu pod koniec pracowitego dnia. Na moich oczach pocałowali się przelotnie. Właściwie nie był to pocałunek, lecz szybkie muśnięcie ust. Gest serdeczny, świadczący o bliskości, nawet miłości, tej cichej, stonowanej miłości, jaka przychodzi po latach.

Ale nie było w nim głodu.

Jak w naszych kawowych pocałunkach w barze Italia.

Z mężem łączyło ją coś całkiem innego.

* * *

Drzwi się zamknęły, a ja pojechałem do domu, gdzie czytałem o więzieniu Newgate, aż niebo rozjaśnił świt.

Czytałem o wybudowaniu na skraju rzymskiego fortu więzienia, miejsca kary, które wykwitło w tak zwyczajnym momencie historycznym, że nikomu nie przyszło do głowy, żeby zarejestrować lub zapamiętać to zdarzenie.

Za oknami targ mięsny kipiał nocnym życiem, ja zaś czytałem, że na przestrzeni wieków Newgate stało się siedliskiem udręki, chorób i korupcji; nieustannie niszczone i odbudowywane, spłonęło doszczętnie w wielkim pożarze w 1666 roku, po czym znów powstało, niczym nieuleczalna choroba.

Czytałem o tyfusie szalejącym w brudnych czarnych otchłaniach Newgate. Czytałem o Rob Royu i Casanovie, którzy tam gnili; o Robin Hoodzie i Kapitanie Kiddzie, którzy tam umarli; o tłumach londyńczyków stojących w kolejce, by oglądać więzienną grozę, przybywających na publiczne egzekucje; o Charlesie Dickensie, który widział w Newgate piętno wiecznego wstydu Londynu.

Kiedy całkowita czerń nocy zaczęła krwawić i przechodzić w mleczny świt, czytałem, jak na początku dwudziestego wieku Newgate rozebrano cegła po cegle, jak gdyby miasto postanowiło wyciąć wrzód, który wrastał w jego serce od blisko tysiąca lat.

W końcu nastał ranek, jeden z tych zimnych i jasnych, kiedy słońce wydaje się nagle snem. Ogoliłem się, wziąłem prysznic, wyprowadziłem Stana, zrobiłem śniadanie dla Scout i przekazałem ją pani Murphy.

Potem udałem się do sądu Old Bailey, by czekać na sprawiedliwość.

Czekając w Centralnym Sądzie Kryminalnym na Alice Goddard, wpatrywałem się w kawał rozbitego szkła umieszczony w ścianie u stóp głównych schodów.

Ząbkowany kawał szkła miał rozmiary sporego talerza. W dole tętniło życie sądu Old Bailey, a szkło połyskiwało w złocistym świetle wczesnego jesiennego ranka. Członkowie palestry w perukach i togach, czarno odziani prawnicy taszczący tekturowe pudła z dowodami, sędziowie, ławnicy, świadkowie oraz podsądni – najczęściej młodszy, biedniejszy i czarniejszy niż reszta – w najlepszych garniturach lub upranych strojach sportowych.

Przynajmniej wydawało mi się, że jest to kawałek rozbitego szkła. Nie mogłem jednak pojąć, jak się tam znalazł. Może miałem zwidy. Centralny Sąd Kryminalny ma najlepszą ochronę spośród wszystkich budynków publicznych w kraju. Nie wolno tu wnosić komórek, toreb, jedzenia ani napojów. Skąd więc w ścianie przypadkowy odłamek szkła?

– To po bombie IRA z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku – odezwał się ktoś za moimi plecami.

Przyjrzałem się mówiącemu. Solidnie zbudowany mężczyzna z kilkudniowym zarostem. Na ciemnym garniturze nosił plaketkę.

ANDREJ WOZNIAK. WOŹNY SĄDOWY.

Znałem go.

To właśnie on zastąpił mi drogę, kiedy zabójcom Steve’a Goddarda się upiekło.

Rosły mężczyzna, który powstrzymał mnie przed popełnieniem głupoty.

Podał mi rękę, a ja ją uścisnąłem.

– Wtedy jeszcze mnie tu nie było – wyjaśnił. – Ale rozumiem, że IRA dała czadu. Jedna ofiara śmiertelna i dwustu rannych w jeden dzień. – Skinieniem głowy, niemal z uśmiechem wskazał rozbite szkło osadzone w ścianie. – Trzymamy to na pamiętkę.

– Miejmy nadzieję, że nie spadnie sędziemu na perukę – powiedziałem.

– Siedzi dość głęboko. – Wozniak się roześmiał. – Chyba jesteśmy bezpieczni.

Obecność tego człowieka dodawała otuchy. Choć w Centralnym Sądzie Kryminalnym rozpatruje się najpoważniejsze sprawy w kraju, to procesy zwykłych bandytów są tu chlebem codziennym. Woźni z Old Bailey muszą być – znacznie bardziej niż przeciętni policjanci – sprawnymi ludźmi o zdolnościach dyplomatów i bramkarzy.

Za plecami Wozniaka ujrzałem wchodzącą do sądu Alice Goddard. Tuż za nią szły dzieci, Stephen i Kitty. Zdałem sobie sprawę, że cała rodzina wygląda znacznie starzej niż w nocy, kiedy ich poznałem. Dzieci na progu dorosłości, pani Goddard udręczona stresem, przedwcześnie postarzała. Pomachała do mnie. Masywnie zbudowany woźny sądowy nadal wpatrywał się w odłamek szkła osadzony w ścianie sądu Old Bailey.

– Tyle lat – powiedział. – Tylko pomyśl.

* * *

Gang trzech skurczył się do jednej osoby.

Jed Blake, w najlepszym garniturze, sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Siedząc na ławie oskarżonych, szukał na galerii

znajomych twarzy. Tamtej nocy, kiedy zginął Steve Goddard, byli bandą. Gdy ich aresztowano, przesłuchiowano i postawiono w stan oskarżenia, byli bandą.

Z pewnością każdy z nich był inny. Tchórz. Słabeusz. Osilek terroryzujący słabszych. Mimo to stanowili bandę. Tak się czuli, kiedy ich przyprowadzono i umieszczono w oddzielnych pokojach. Nawet gdy poszli siedzieć za nieumyślne spowodowanie śmierci, mieli poczucie, że są bandą. Teraz jednak Jed Blake samotnie siedział na ławie oskarżonych i bardzo mu zależało na wystąpieniu z bandy; jego adwokat w peruce i todze argumentował z akcentem ludzi wykształconych, że doszło do straszliwego naruszenia sprawiedliwości.

Twierdził bowiem, że ci młodzi ludzie nigdy bandą nie byli.

– Wysoki Sądzie, to nie było wspólne przedsięwzięcie – tokował. – Mój klient był przekonany, że idzie z przyjaciółmi grać w piłkę w lokalnym parku. Nie brał żadnego, powtarzam: żadnego udziału w nieumyślnym spowodowaniu śmierci. Wysoki Sądzie, mój klient jest młodym człowiekiem o nienagannym charakterze. Twierdzenie o jego współudziale oparto na fakcie, że filmował napaść.

Sędzia zmarszczył brwi i spojrzał zza okularów na dygoczącego młodzika. Na szyi Jeda Blake'a widniał tatuaż w kształcie ust. Nigdy wcześniej takiego nie widziałem. Chyba się nie przyjmą. Kiedy Blake ukończy sześćdziesiątkę, te usta będą wyglądały idiotycznie.

– Czy rozumie pan, co sugeruje pański obrońca? – zapytał sędzia.

– Słucham? – Jed Blake wyrwał się z zamyślenia. – Co takiego, proszę pana?

Na czerwonej twarzy sędziego odmalowała się irytacja.

– Młody człowieku, do sędziów zasiadających w Centralnym Sądzie Kryminalnym należy się zwracać „Wysoki Sądzie”, niezależnie od

tego, czy przewodniczą w procesach Sądu Najwyższego czy Okręgowego. Rozumie pan?

– Tak... Wysoki Sądzie.

– Dobrze. Pański adwokat, pan Gikes twierdzi, że nie zamierzał pan wyrządzić krzywdy fizycznej zmarłemu panu Goddardowi. W prawie zwyczajowym istnieje tak zwana zasada współuczestnictwa. Zgodnie z nią, wszystkie osoby uczestniczące w przedsięwzięciu przestępczym ponoszą odpowiedzialność za wszelkie wynikające z niego skutki. A zatem, jeżeli banda zabija człowieka, wówczas wszyscy jej członkowie ponoszą odpowiedzialność za jego śmierć niezależnie od tego, kto zadał śmiertelny cios.

Jed Blake rozdziawił usta, próbując nadażyć.

– Jest pan tu dzisiaj – mówił dalej sędzia – aby odwołać się od wyroku nieumyślnego spowodowania śmierci, ponieważ jakoby nigdy nie należał pan do bandy, która dopuściła się tego zabójstwa. Co pan ma do powiedzenia na swoją obronę?

– Proszę... Wysoki Sądzie – wykrztusił chłopak, po czym wybuchł płaczem, zasmarkując się niemiłosiernie. Przez minutę w sali sądowej słychać było tylko jego płacz.

Sędzia odchrząknął.

– Czy chce pan szklanę wody? – spytał.

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Czy chce pan zrobić piętnastominutową przerwę?

– Nie, Wysoki Sądzie. Dziękuję za troskę, Wysoki Sądzie. To bardzo miłe z pana strony, Wysoki Sądzie.

Blake otarł dłonią nos, po czym uśmiechnął się zuchowato. Marszcząc czoło, sędzia przyglądał się mu zza okularów.

– Co pan robił przed domem pana Goddarda?

– Myślałem, że zagramy w piłkę, Wysoki Sądzie. – Szczurza twarz Blake'a ściągnęła się w chytrym wyrazie. – Sfilmowałem to tylko

dlatego, że robiłem coś na komórcie, kiedy on... ten człowiek wyszedł z domu. Bałem się go, Wysoki Sądzie. Widziałem, że stracił panowanie nad sobą, był zły, Wysoki Sądzie. Moi kumple się wygłupiali, Wysoki Sądzie. Nie wiem, jak doszło do tej sprzeczki. Zamarłem. Nawet go nie tknąłem. To nie byłem ja. To moi kumple, Wysoki Sądzie. Zostałem skazany zupełnie niesłusznie.

Sędzia zastanawiał się przez pewien czas.

– Zezwalam na apelację – oświadczył w końcu.

Powiodłem wzrokiem po galerii. Krępe wytatuowane kobiety wiwatowały jak na meczu piłkarskim. Matka i siostry Blake, może także dziewczyna.

Adwokat puszył się z dumy.

– To nie jest uczciwe, prawda, Max? – odezwała się cicho pani Goddard.

Popatrzyłem na kamienną twarz jej syna, Steve'a juniora, na łzy milczącej córki, Kitty. W końcu spojrzałem na Alice.

Serce mi pękało, bo nawet teraz czuła, że musi mówić cicho.

– Nie – przyznałem. – To nie jest uczciwe.

* * *

U stóp schodów patrzyłem na odłamek szkła po bombie IRA, osadzony głęboko w ścianie.

„Tyle lat. Tylko pomyśl!”

Tłumy w sądzie Old Bailey zaczęły się przeredzać.

Ja jednak stałem, trapiiony nieuchwytną myślą, wpatrywałem się w pozostałość z dawnej wojny.

„Tylko pomyśl”.

W końcu ruszyłem w górę po sądowych schodach, choć nie miałem pewności, czego szukam.

Wszedłem do długiej okazałej jadalni. Stół nakryto dla około pięćdziesięciu osób. Z portretu z autografem uśmiechał się do mnie książę Walii.

Wtedy to zobaczyłem. Ciężką czarną żelazną kołatkę przymocowaną do twardego drewna, starodawną, lecz bez śladów. Drewno zbrązowiało z upływem lat.

Kołatka z więzienia Newgate. Czarna jak grób. Zrozumiałem, skąd pochodzi stare powiedzenie: „Czarny jak kołatka z Newgate”. Gdy tak patrzyłem, po raz pierwszy naprawdę do mnie dotarło, że właśnie tu stało kiedyś więzienie Newgate.

„Tyle lat”.

„Tylko pomyśl”.

Opuszczałem jadalnię w chwili, gdy wchodził do niej kelner.

– W czym mogę pomóc? – spytał, ale go minąłem i zszedłem po schodach do marmurowego holu Old Bailey.

TYLKO DLA PERSONELU, głosił napis na drzwiach. Otworzyłem je i ruszyłem długim korytarzem z gabinetami po jednej stronie. Mijałem je, zaglądając do środka. Pomieszczenia były ciasne, przelotnie migały mi przed oczami wygaszacze ekranów, na biurkach walały się resztki lunchu, na twarzach pracowników malowało się typowe popołudniowe ośpienie. Ludzie nie zwracali na mnie uwagi. Na końcu szeregu gabinetów znajdowały się nieoznakowane drzwi. Ponieważ nie były zamknięte na klucz, wszedłem na klatkę schodową, zbiegłem na dół i zagłębiłem się we wnętrzościach budynku. Z dala dobiegał łoskot i sapanie urządzeń, jak w maszynowni wiekowego oceanicznego statku pasażerskiego. Trafiłem do starej kotłowni.

Tu, w piwnicy, panowało zielonkawe światło. W końcu korytarza znajdowały się kolejne nieoznakowane drzwi; te były zamknięte.

– Dobrze się pan czuje?

Odwróciwszy się, zobaczyłem Andreja Wozniaka.

– Chcę tylko coś sprawdzić – wyjaśniłem mu. – Ma pan klucz do tych drzwi?

– Mogę się postarać.

– Dzięki.

Po kwadransie woźny sądowy wrócił. Gdy odsunąłem się, przekręcił klucz i otworzył drzwi. Przystąpiłem próg i ruszyłem w dół po kolejnych schodach. Jedyne światło dochodziło z kotłowni. Było tu chłodniej niż na górze i z każdą chwilą robiło się ciemniej, gdy czując nad sobą ciężar miasta, schodziłem coraz niżej. Wozniak towarzyszył mi, idąc tuż za mną.

Wszedłem do pokoju, który opuszczono wiele lat temu.

– Co tu jest? – spytałem.

– Magazyny – odparł woźny sądowy. – Z powodu wilgoci nie przechowujemy tu papierów, bo gniją.

Szedłem dalej. Jeden pusty pokój za drugim, wilgoć wyłaniała się spod popękane go i obłazącego tynku.

A potem pchnąłem spróchniałe drewniane drzwi i w końcu znalazłem się w pokoju, który poznałem.

Pokoju z białymi kafelkami zzieleniałymi ze starości.

Pokoju w kształcie sześcianu.

Wdychałem woń rozkładu.

– Udało się panu? – spytał Wozniak.

W pierwszej chwili pomyślałem, że ma na myśli panią Goddard.

– Zezwolili chłopakowi na odwołanie się od wyroku – odparłem. – Twierdzą, że nie było współuczestnictwa.

– Miałem na myśli pańskie śledztwo – wyjaśnił Wozniak. – Są jakieś postępy?

To był pokój jak ze snu. Wszystko wyglądało odrobinę inaczej, niż powinno. Nie widziałem taboretu. Tego, na którym postawili Mahmuda Iraniego, Hectora Wellesa, Darrena Donovana. I mnie.

Nie było ciemno. Z kotłowni nad nami sączyło się zielonkawe światło. Lustrowałem wzrokiem podłogę.

Poza tym z sufitu nie zwisał sznur.

Musiałem się pomylić. To nie mogło być tutaj.

Za bardzo się starałem.

– Pytałem o tę drugą sprawę – wyjaśnił Wozniak. – O Klub Wisielców.

– Znajdziemy sprawców – zapewniłem go. – Nie można tak sobie chodzić i mścić się.

– Przecież to nie jest zemsta. – Zaśmiał się. – To sygnał. Ktoś mówi: „To nadal jest nasz kraj. Nie możecie tu robić, co wam się żywnie podoba. Nie pozwolimy wam”.

– To jeden punkt widzenia na tę sprawę.

Wtedy to dostrzegłem. Matowy poblask łuski.

Podniosłem ją z podłogi i obejrzałem.

Zużyta łuska, pomyślałem.

To tutaj.

Z łuską w dłoni odwróciłem się z uśmiechem do Wozniaka.

I zobaczyłem coś, czego zarost nie mógł całkiem ukryć.

Ślady zębów, które zostawiłem na jego twarzy.

W głębi kwadratowego pokoju wyłożonego niszczącymi kafelkami znajdowały się drzwi, a ja już wiedziałem, co za nimi jest.

Nie tyle drzwi, ile czarna szpara w ścianie, przez którą mógł się precyzyjnie człowiek. Niespiesznie, nie patrząc na rosłego woźnego, podszedłem do szpary i ujrzałem korytarz.

To nie był sen.

Miałem przed sobą zwężający się korytarz z obniżającym się sufitem.

– Chodnik Trupa – rzucił Wozniak. – Zwęża się po to, by skazany nie odchodził od zmysłów na widok szubienicy. Masz pojęcie, co musieli czuć? Na dworze huczał tłum. Skazańcy wiedzieli, że czeka ich agonía. Chodnik Trupa znajdował się na tyłach więzienia. Pierwotnie łączył więzienie z pobliską salą sądową i stał się najpraktyczniejszym sposobem transportowania nieszczęśników na stryczek. Ten korytarz to tylko fragment całego labiryntu. Mało kto wie, że tu, pod ziemią, zachowała się tak wielka część Newgate.

– Widziałem dość – odparłem.

– Może zbyt wiele – powiedział Wozniak i cicho zamknął drzwi.

Do pokoju nadal sączyło się zielonkawe światło, a ja po raz pierwszy dostrzegłem wysoko na ścianie kratkę wentylacyjną. Poczulem się tak, jakbym oddychał powietrzem umarłych.

– Newgate było zgrabnym pomysłem – rzuciłem. – Szkoda, że nikt na to nie wpadł. Ale kto mógł wiedzieć, że zachowała się tutaj tak duża część więzienia?

Wozniak nie drgnął. Zbliżyłem się do niego i stanąłem na odległość wyciągniętej ręki.

Czas i odległość, pomyślałem. Przypomnij sobie boks w siłowni Smithfield ABC. Przypomnij sobie te ciężkie godziny. Przypomnij sobie lekcje Freda.

– Trzeba przyznać, że przywołując Newgate, ty i twoi kumple wyszliście na świrów – powiedziałem.

Zaśmiał się gorzko.

– Myślę, że wyszliśmy na ostatnich normalnych ludzi na świecie – sprostował. – Straciliśmy gwałciciela dziewczynek. Straciliśmy kierowcę, który przejechał niewinnego chłopca i zbiegł. Straciliśmy śmierdzącego ćpuna, który zniszczył starego człowieka walczącego o jego wolność. I my mamy być świrami? Ty ochraniaś te szumowiny. Trzymasz im płaszcz, kiedy popełniają zbrodnie. Troszczysz się o ich prawa człowieka, kiedy gwałcą nasze dzieci.

– Zamknij się – rozkazałem. – Jesteś aresztowany...

Wtedy mnie kopnął.

Bokiem prawej stopy trafił mnie w przeponę, powietrze uleciało ze mnie i runąłem w tył.

Poczułem, jakby pierwszy raz w życiu kopnął mnie ktoś, kto znał się na rzeczy.

Wozniak podniósł mnie, pociągając za klapy ślubnego garnituru. Gdy poprawiał chwyt, usłyszałem trzask rozdzieranego materiału. Ważę osiemdziesiąt kilo, a on cisnął mnie na środek pomieszczenia, jakbym był lekki jak piórko. Runąłem na ziemię i spodnie z tyłu się rozdarły.

Zobaczyłem, że woźny sądowy dotyka klapy swojej marynarki i wyjmuje zza niej staroświecką brzytwę. Stary numer ochroniarzy: gdyby ktoś chwycił go za klapę, szybko by tego pożałował.

Ruszył na mnie.

Próbowałem się przeturlać, ale jak na tak potężnie zbudowanego mężczyznę był szybki; z brzytwą w prawej dłoni stanął nade mną, zobaczyłem, że poprawia pozycję, usłyszałem własny krzyk, a potem Wozniak runął na mnie jak bomba. Wszystkie siły, jakie mi pozostały, włożyłem w cios prawą pięścią w jego serce. Stracił dech i skrzywił się z bólu.

Ale to go nie powstrzymało.

Cholera, pomyślałem. Ten prawy prosty zawsze działał.

Wozniak przygniótł mnie potężnym cielskiem, ale niezupełnie tak, jak planował. Jednym kolaniem uciskał mi klatkę piersiową, drugim przygniatał mi lewe ramię, w prawej dłoni wciąż trzymał brzytwę, ale skręcał ciało po jedynym ciosie, jaki zdołałem zadać.

Jednak go trafiłem. Ciężko oddychał, jego pot kapał mi na twarz. Wolną ręką ucisnął moją prawą, ale mało w tym było siły.

Tak to już jest z potężnie zbudowanymi ludźmi. Łatwo się męczą.

– Mały człowieczku – powiedział, kiedy miotałem się jak ofiara w paszczy większego zwierzęcia, próbując go kopnąć – nie rozumiesz, że powinieneś być po naszej stronie? Nie widzisz, że wykonujemy za was robotę? Czyżbyś był tak głupi...

Oswobodziwszy prawą rękę, wetknąłem kciuk w jego lewe oko. I tam zatrzymałem. Gdy oderwał się ode mnie z wrzaskiem, udało mi się wstać i spróbowałem kopnąć go prawym butem w kolano. Zdałem sobie sprawę, że usiłuję walczyć jak Jackson Rose, mierzyć w kolana i oczy. Niestety, kopiąc raz po raz, trafiałem w goleń, w mięsień łydki, górne udo, wszędzie, tylko nie w kolano.

Cofnął się, zasłaniając dłonią oczy, a ja ruszyłem za nim, nie przestając kopać.

Nabrałem głęboko powietrza i wycelowałem.

W końcu go trafiłem – moja prawa stopa wylądowała na jego kolanie. Złożył się, zaryczał jak ranny niedźwiedź i próbował mnie

dziabnąć brzytwą, którą trzymał w prawej dłoni. Coś ostrego przesunęło się po moim czole, poczułem ciepło i wilgoć, ale jeszcze nie ból; zrozumiałem, że skaleczył mnie ostrzem.

Miał już jednak dość.

Podobnie jak ja.

Osunąłem się na kolana; krew płynęła, plamiąc mi ręce, którymi próbowałem osłonić oczy. Tymczasem mój przeciwnik zwinął się pod ścianą i jęcząc, starał się oszacować straty. Osłabiony od utraty krwi i z powodu szoku wywołanego cięciem brzytwy, spojrzałem na swoje dłonie. Gdy podniosłem wzrok, zobaczyłem, jak Wozniak, kuśtykając, przeciska się przez szparę w ścianie sekretnego pokoju.

Podążyłem za Wozniakiem. Wszedłem do szerokiego, niskiego tunelu, który czekał tam całe wieki.

Odnalazłem kamienne schody prowadzące w miejskie głębiny i ruszyłem nimi; słyszałem przed sobą woźnego sądowego, który wydawał wściekle odgłosy rannego zwierzęcia. Posuwaliśmy się powoli. Raz spojrzałem na telefon, ale nie było zasięgu. Znajdowaliśmy się w przeszłości.

Schody się skończyły.

– Wozniak! Wozniak! – zawołałem.

* * *

On jednak brnął dalej, więc szedłem w ślad za nim, coraz głębiej w to inne, zapomniane podziemne miasto, gdzie u stóp schodów rozwidlały się cztery jednakowe tunele z łukowatym sklepieniem, szerokie, lecz niezbyt wysokie, przeznaczone dla tłumów ludzi, którzy nie żyli już od blisko stu lat.

Wreszcie dotarłem na stację z dwoma drewnianymi peronami po obu stronach starych torów, gdzie na dużym czarnym kole widniała

nazwa stacji, wypisana czarnymi literami na białym tle:

B L O O M S B U R Y

Na moich oczach Wozniak znikł na końcu peronu i pokuśtykał w ciemność. Zobaczyłem go ponownie, gdy w tunelu rozbłysło światło i zaczęło się zbliżać, wijąc się w mroku. Patrzyłem, jak Wozniak kuśtyka ku światłu, olbrzymi mężczyzna, ledwo trzymający się na nogach.

Zatrzymawszy się na skraju peronu, patrzyłem, jak znów znika w ciemności. Światło nadjeżdżającego pociągu nadal się zbliżało i chociaż wiedziałem, że nigdy nie dotrze do tej opuszczonej stacji, dotrze do człowieka utykającego w ciemności.

– Wozniak!

Zniknął, ale usłyszałem, jak pociąg skręca i pędzi ku życiu i innej stacji, gdzie czekali pasażerowie, ludzie dojeżdżający do pracy i turyści; usłyszałem zgrzyt stalowych kół, kiedy motorniczy pociągnął hamulec bezpieczeństwa, bo zobaczył, o wiele za późno, człowieka kuśtykającego w mroku.

Nie widziałem, jak Wozniak zginął, a jeśli wydał odgłos, to go nie słyszałem.

Pozostałości więzienia Newgate były teraz miejscem zbrodni.

Głęboko we wnętrzościach sądu Old Bailey nasi ludzie czekali przy obwodzie wyznaczającym ogrodzony obszar, który na rozkaz komisarz Whitestone zaczynał się w kotłowni. Technicy, fotografowie, specjaliści od medycyny sądowej wciskali się w białe kombinezony z tyveku, zakładali ochraniacze na buty oraz maski, czekali na sygnał kierującej śledztwem. Stażysta Billy Greene pomagał młodemu policjantowi rozciągnąć taśmę. Greene trzymał notes, w którym mieli się podpisywać ludzie wchodzący i wychodzący z miejsca zdarzenia.

W kwadratowym pokoju z niszczącymi kafelkami Whitestone i ja staliśmy na podkładkach mających zapobiec zatarciu śladów. Oczy mojej szefowej lustrowały zza maski pomieszczenie.

– Czyli w tej celi trzymali skazanych, zanim wyprowadzali ich na szubienicę – powiedziała. Zdjęła okulary i przetarła je. Najwyraźniej myślała o granicy miejsca zbrodni. – Wiem, gdzie to się zaczyna, ale nie wiem, gdzie powinno się kończyć – wyznała.

Postać w białym tyvekowym kombinezonie precyzyjnie przesuwała się przez szparę w ścianie prowadzącą na Chodnik Trupa. Edie Wren odgarnęła z czoła niesforny kosmyk rudych włosów.

– Tunel prowadzi stąd, czyli z Newgate, do kościoła St Sepulchre's i pochodzi z tysiąc osiemset siódmego roku. Egzekucje przyciągały tłumy. Kiedy podczas którejś wywrócił się stragan z pasztecikami, zginęło dwadzieścia osiem osób. Dlatego wybudowano tunel, żeby

kapłan idący do skazańca na ostatnią posługę nie musiał się przeciskać przez ciżbę.

– Od tunelu odchodzą co najmniej jedne schody – powiedziałem. – Byłem tam. Ciągną się w nieskończoność.

– Zamknijcie obwód na drugim końcu tunelu – poleciła Whitestone po chwili namysłu.

– Tak jest – odparła detektyw Wren i zniknęła w Chodniku Trupa.

– Mam powiedzieć osobie odpowiedzialnej za miejsce zbrodni, żeby wpuściła techników? – spytałem.

– Daj mi chwilę – poprosiła Whitestone.

Wiedziałem, że każdy oficer kierujący śledztwem ceni sobie pierwsze spojrzenie. Mimo tych wszystkich podkładek, kombinezonów i niebieskich rękawic po rozpoczęciu pracy to miejsce już nigdy nie będzie wyglądać tak samo.

– Czyli nikt dotąd nie wiedział, że coś takiego istnieje? – spytała komisarz. – Trudno w to uwierzyć.

– Nie objęto tego konserwacją – wyjaśniłem. – Jest tylko ta cela i Chodnik Trupa. Podobnie jak cele w pubie po drugiej stronie ulicy. Nie wydano nakazu konserwacji. Nie ma żadnej niebieskiej tabliczki. Te podziemia przetrwały dzięki kaprysowi historii. Nie są otwarte dla turystów. Nie są otwarte dla nikogo. Wątpię, czy choć jeden procent pracowników Centralnego Sądu Kryminalnego był w tym miejscu lub wie o jego istnieniu. Pewnego dnia zlikwidują kotłownię i te podziemia po prostu znikną. Zresztą nikt nie będzie po nich płakać, ponieważ Newgate nigdy nie stanowiło powodu do dumy. Ani dzisiaj, ani dawniej. Wprost przeciwnie. Odkąd Charles Dickens odwiedził Newgate w tysiąc osiemset trzydziestym szóstym roku, to więzienie było źródłem narodowego wstydu.

– Idealne miejsce zbrodni. Śmierć dosłownie czuć w powietrzu. Ilu ludzi powieszono w Newgate?

– Tysiąc sto sześćdziesiąt dziewięć osób, nie licząc Mahmuda Iraniego, Hectora Wellesa i Darrena Donovana.

– Czy wiemy, w jaki sposób Wozniak wchodził tu z ulicy?

– Poprosiłem ludzi z ekip poszukiwawczych, żeby przekopali wszystkie podziemne parkingi pod okolicznymi biurami. Może to trochę potrwać, ale znajdą.

– Prowadziłeś to śledztwo, Max – powiedziała komisarz. Jej wzrok padł na plamę krwi na podłodze. Obok leżał kawałek materiału z mojego garnituru ślubnego.

– Miałaś sporo na głowie – odparłem. – Jak się ma Just?

– Wkrótce wyjdzie ze szpitala. Wraca do domu.

– Odwiozę was – zaoferowałem, bo bardzo pragnąłem zrobić coś dla nich dwojga, naprawić coś, chociaż wiedziałem, że nigdy nie zdołam. Twarz mi płonęła, bo to była żałośnie nieadekwatna propozycja: przewieźć matkę z synem z jednego końca Holloway Road na drugi.

Ale Whitestone spojrzała na mnie z wdzięcznością.

– To będzie wielka pomoc, Max – zapewniła, a potem ruchem głowy wskazała drzwi i znajdujący się za nimi ogrodzony obszar. – Wprowadź ich.

* * *

Zapuszczaliśmy się coraz dalej w głąb miasta.

Przy świetle latarek w naszych komórkach Whitestone i ja przeszliśmy Chodnikiem Trupa i zagłębiliśmy się w podziemny tunel łączący Newgate z kościołem St Sepulchre's. Idąc w dół po kamiennych schodach, ostrożnie stąpaliśmy w ciemności, aż dotarliśmy do czterech jednakowych tuneli z łukowatym sklepieniem

i po przejściu jednym z nich ujrzelśmy dwa drewniane perony opuszczonej stacji metra British Museum.

Głęboko w tunelu widzieliśmy światła ekipy pogotowia zbierającej szczątki Andreja Wozniaka.

– Kim on był? – spytałem. – Co mówią o nim w Centralnym Sądzie Kryminalnym?

– Najwyraźniej bardzo dobrze wykonywał swoją pracę – odparła Whitestone. – Woźny sądowy, z którym nikt nie chciał zadzierać.

– Tak – potwierdziłem. – Raz zastąpił mi drogę. Po wyroku w sprawie Goddarda. Mogłem wtedy popełnić głupstwo, którego żałowałbym przez całe życie.

– Z tego, co mi mówią, był typowym woźnym z Old Bailey. Wiesz, jacy oni są. W sumie to świetni goście. Zachowują spokój i opanowanie w obecności wszystkich szumowin, z jakimi mają do czynienia.

– Powiedział mi, że jesteśmy po tej samej stronie. A zaraz potem próbował wyciąć mi oko.

– Był samotny, nigdy się nie ożenił, nie miał dzieci, trzydzieści dziewięć lat. Trzecie pokolenie Anglików polskiego pochodzenia. Jego dziadek przyjechał tu w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku, żeby latać w RAF-ie na myśliwcach Hurricane.

– Polscy lotnicy... Było ich dwadzieścia pięć tysięcy. Największy niebrytyjski wkład w Bitwę o Anglię.

W tunelu widzieliśmy światła pogotowia, słyszeliśmy nawoływania, pociąg, który zakończył żywot Andreja Wozniaka, srebrzył się.

– Co się z nim stało? – spytałem. – W jaki sposób woźnego sądowego stał się jednym z mścicieli? Musiało być coś więcej niż tylko oglądanie codziennej parady drani.

– Miał narzeczoną, innego wyznania niż on. Wozniak był katolikiem, a rodzina dziewczyny gwałtownie się sprzeciwiała temu związkowi i wykopali ją z domu. Wydziedziczyli. Uznali ją za dziwkę tylko dlatego, że się zakochała. Miała na imię Priti. Nikogo nigdy nie skazano, ale padła ofiarą napaści. Kiedy wracała z pracy do domu, podszedł jej krewny i oblał twarz Priti kwasem.

– Jezu Chryste!

– Najwyraźniej dziewczyna nie mogła z tym żyć. Nie poradziła sobie z oddzieleniem od rodziny ani z tym, co rodzina zrobiła z jej twarzą. Może nie umiała spojrzeć w oczy Andrejowi Wozniakowi. Litość. Smutek. Wściekłość. Może doktor Stephen potrafi ci to wyjaśnić. Bo ja nie. Wiesz, jakie jest największe kłamstwo na świecie?

– Jakie?

– Że wszystko dzieje się z jakiegoś powodu. To nieprawda. Niektóre rzeczy są zupełnie nieuzasadnione. Pewne rzeczy, takie, które ranią najbardziej, kompletnie nie mają sensu. Są rzeczy, które nie mają i nigdy nie będą miały sensu.

Poczułem, że moja szefowa w tej samej mierze mówi o Andreju Wozniaku i jego narzeczonej, co o sobie i synu. W milczeniu słuchałem, jak oddycha w ciemności. Potem poprawiła okulary i ciągnęła:

– Pewnej nocy Wozniak wrócił do domu i zobaczył, że Priti się powiesiła. Dostał pół roku urlopu. Do pracy wrócił na początku tego lata, tuż zanim zgarnęli i powiesili Mahmuda Iraniego. Wiedziałeś, że Irani miał córkę?

Nawet nie musiałem się zastanawiać.

– Była narzeczoną Wozniaka – powiedziałem. – Priti.

Whitestone przytaknęła.

– Nikogo nie skazano za napad na tę dziewczynę. Przynajmniej do powrotu Wozniaka z urlopu. Przypuszczam, że teraz ktoś już poniósł

karę. Ale gdzie on znalazł pozostałych?

Pomyślałem chwilę.

– W szeregach ludzi mających podobne jak on doświadczenia – odparłem. – Opuszczonych przez system. Upokorzonych przez gładkich adwokatów. Ludzi czujących obrzydzenie na widok złoczyńców, którym zbrodnie uchodzą na sucho.

Zbliżały się do nas białe oślepiające światła wydzielające ciepło.

Ujrzeliśmy spocone, udęczone twarze mężczyzn i kobiet niosących w workach upiorny ładunek.

– Znalazł ich w sądzie Old Bailey – dokończyłem.

Patrzyłem, jak Tara Jones przechodzi przez salę numer jeden. Nie spuszczałem z niej wzroku. Nie mogłem oderwać od niej oczu. Myślałem, że pośle mi sekretny uśmiech. Ona jednak tylko położyła na moim biurku grubą teczkę.

– To może ci się przydać – powiedziała.

W tezcze znajdowała się analiza biometryczna głosu z przesłuchań Paula Warboysa i Barry’ego Wildera. Tara wróciła do swego biurka przygarbiona, z włosami opadającymi na twarz, jak gdyby zostało utracone coś cennego. Ale nie mogłem dociec, co to mogło być.

– Zobacz, Max – powiedziała Edie Wren.

Na użytek doktora Joego Stephena puściła na dużym ekranie HD nagranie z porwania Abu Dina. Czarno-biały film z kamery przemysłowej przedstawiał tłum mężczyzn klęczących na ponurej ulicy w Wembley. Przed wiernymi stał w asyście paru osiłeków Abu Din w długich szarych szatach, kierując palce wskazujące w niebo, jakby przewidywał deszcz.

– Mam przewinąć do furgonetki, doktorze? – spytała detektyw Wren.

– Niech film leci w normalnym tempie – poprosił doktor Stephen. Teraz patrzyliśmy wszyscy: Wren, Billy Greene, komisarz Whitestone i ja. Oraz Tara; z uniesionym podbródkiem, wodziła oczami od ekranu do ust psychologa.

– Czego dokładnie szukamy, doktorze? – spytała Whitestone.

– Tego, co chcą przed nami ukryć – odparł.

Na obrzeżach tłumu wiernych dostrzegłem masywną sylwetkę posterunkowego Rocastle'a stojącego przed Philipem Maldinim na wózku, za którym stała jego siostra Piper. Dłonie położyła na ramionach brata, który uniósł tablicę z napisem:

Mój kraj – pokochaj go albo wynocha

Po chwili rozpętał się chaos.

Posterunkowy Rocastle puścił się biegiem, rozpaczliwie krzycząc coś przez krótkofalówkę przymocowaną do ramienia. Siostra Philipa Maldiniego usiłowała stanąć między wózkiem z bratem a tym, co zbliżało się ulicą. Następnie wierni zaczęli powstawać z klęczek.

Wskazywali na coś palcami. Krzyczeli. Ratowali się ucieczką.

W kadr wjechała czarna furgonetka; wydawało się, że wpadnie w tłum, lecz nagle wskoczyła na chodnik, by nie uderzyć w Maldinich.

Furgonetka stanęła.

Tłum się rozpiezchł.

Abu Din groził palcem furgonetce.

– Tutaj nie wolno parkować, koleś – powiedziała Wren i wszyscy się roześmialiśmy.

Potem śmiech zamarł nam w gardle, gdy z furgonetki wysiadł Albert Pierrepoint. I jeszcze jeden Albert Pierrepoint. Zamaskowane twarze lustrowały wzrokiem ulicę. W górze ekranu widziałem leżącego na brzuchu posterunkowego Rocastle'a, który wzywał pomoc. Kiedy odwrócił głowę, by spojrzeć na ulicę, za kierownicą furgonetki dało się dostrzec trzeciego Alberta Pierrepointa wciskającego gaz na sprzęgło.

– Zatrzymaj – polecił doktor Stephen.

Edie Wren wcisnęła klawisz i obraz zastygł.

W całkowitym milczeniu patrzyliśmy na trzy maski Alberta Pierrepointa na ekranie.

– Te maski pełnią dwojaką funkcję – wyjaśnił psycholog. – Są nie tylko symboliczne. Owszem, ci, którzy je wkładają, uważają się za wcielenie sprawiedliwości. Owszem, wierzą, że wymierzają karę nikczemnikom. Owszem, wierzą, że są spadkobiercami Pierrepointa. Wszystko to prawda. Ale te maski mają też praktyczny cel: skupiamy się na nich. Patrzymy na nie. Odwracają naszą uwagę, mylą zmysły.

Do sali wszedł profesor Hitchens. Odłożywszy kask motocyklowy na biurko, począł do ekspresu z kawą. Podszedłem do jego biurka, wziąłem kask i z całej siły rzuciłem nim w historyka. Kask trafił go mocno w górną część ciała, a na Hitchensa chlusnęła fontanna cappuccino.

– Max, ty świrze!

– Wiedziałeś! – zawołałem. – Wiedziałeś, że chodzi o Newgate, profesorze. Odegrałeś małą farsę, ale od samego początku wiedziałeś! Cofał się przede mną z przestrawieniem w oczach.

– Nie! – zapewnił.

Edie Wren i Billy Greene złapali mnie za ręce, ale się wyrwałem.

– Dalej, Hitch – rzuciłem. – Newgate! Ludzkie zoo. Gabinet potworności. Pomnik okrucieństwa tego wielkiego miasta. *Odrażający ściek zezwierzęcenia i zepsucia*. Dalej! Przecież jesteś jednym z czołowych historyków tego miasta! Twierdzisz, że nie wiedziałeś, że pod Old Bailey nadal są pozostałości Newgate? Nie wierzę ci, profesorze.

– Wiedziałeś? – spytała Whitestone stalowym głosem. – To prawda? Hitchens przesunął dłońmi po koszuli zachlapanej kawą.

– Nie – odparł i po chwili wahania dodał: – Nie od razu...

– Jezu Chryste! – wybuchła komisarz.

– Początkowo nie mogłem w to uwierzyć – tłumaczył się historyk. – W głowie mi się nie mieściło, że mogą się powazyć. Ale miejsce straceń przeniesiono z Tyburn do Newgate, więc to miało sens.

– Kiedy się dowiedziałeś? – Whitestone aż pobladła od tłumionej furii.

– Wiedział od początku – powiedziałem.

– Nie, nie od początku! – zaprotestował.

– Hamowałeś to śledztwo. – Komisarz mówiła niemal szeptem, ale nigdy nie widziałem jej tak wścieklej. – Przez ciebie o mały włos nie zginął jeden z moich ludzi. Wiesz, co to znaczy, profesorze? Przeszkadzałeś w dochodzeniu w sprawie zabójstwa. Stałeś na drodze sprawiedliwości. Ukrywałeś dowody. Myślisz, że wytrzymałbyś w pudle trzy lata? Nie sędzę.

W oczach historyka pojawiło się prawdziwe przerażenie. Nie bał się, że walnę go w mordę. Bał się, że trafi za kraty.

– Przysięgam, że na początku nie wiedziałem – upierał się. – Dopiero kiedy zabrali Abu Dina. Kiedy uciekł i zaczęli pokazywać zdjęcia Szóstki z Sagin na ścianach... na ścianach...

– Newgate – dokończyłem, kręcąc głową. – Co ty z tego miałeś? Dlaczego to zataiłeś? Kim jesteś, żeby pozwalać tym świtom karać śmiercią i osądzać?

W oczach Hitchensa błysnął gniew.

– A kim ty jesteś, żeby im zabraniać? Popatrz na męty, które oni powiesili. Mahmud Irani, gwałciciel dzieci, który okaleczył rodzoną córkę. Hector Welles, zamożny bankowiec, który przejechał chłopca sportowym wozem! Darren Donovan, ćpun, który zakończył życie weterana wojennego!

Chwyciłem go za kark.

– Nie zrobiłem nic złego – zajęczał, próbując się uwolnić. – Nigdy cię nie okłamałem! Nigdy nie chciałem, żeby spotkało cię coś złego,

Max!

Z trudem panowałem nad gniewem. Trzymałem go za klapy i nie chciałem puścić. Hitchens osłonił twarz dłońmi. Widziałem palce pożółkłe od nikotyny. Nie zamierzałem go uderzyć, a on o tym wiedział.

I ta wiedza dodawała mu odwagi.

– Myślisz, że się na tym skończy? – spytał. – Kiedy ich złapiesz? To będzie trwało nadal. Oni rozniecili ogień, który nie zgaśnie, dopóki nie wypalimy brudów z tego narodu.

Nagle dotarł do mnie jego zapach. Lata papierosów i taniej wody kolońskiej, którą próbował to zamaskować. To przywiodło mi na myśl inny zapach, cameli bez filtra, perfum Jimmy Choo i gumy do żucia Juicy Fruit. Roześmiałem się na głos.

– W furgonetce unosił się pewien zapach – zwróciłem się do Whitestone. – Słodko-mdląca woń, jakby zwiędłych kwiatów czy gnijących owoców. Smród maskowany słodkim zapachem. – Patrzyłem na swoją szefową. – Już wiem, skąd pochodził.

– Co chcesz powiedzieć? – spytała.

Puściłem Hitchensa. Całkiem przestał mnie obchodzić. Za to jego zapach – cuchnących skrętów i hektolitrów wody kolońskiej – otworzył drzwi, które dotychczas pozostawały zamknięte. Za tymi drzwiami unosiła się przykra woń papierosów, perfum oraz gumy do żucia.

Klepnąłem grubą teczkę przyniesioną przez Tarę.

– Dawajcie ich tu – rozkazałem. – Paula Warboysa, Barry’ego Wildera i Philipa Maldiniego.

Whitestone i Wren spojrzały po sobie.

– Tego dzieciaka na wózku? – spytała komisarz.

– Całą trójkę. Przywieźcie ich tu migiem. Nie aresztujcie ich. Mają tu przyjść dobrowolnie. Ale na wypadek, gdyby odmówili, chcę,

żebyśmy mogli ich doprowadzić.

– W jaki sposób? – spytała Whitestone.

– Ta trójka ma zostać uznana za istotnych świadków. Warboys. Wilder. Maldini. Można to załatwić, prawda?

Komisarz pokręciła głową, ale wyrażało to raczej powątpiewanie niż odmowę. Zadaniem osoby prowadzącej śledztwo jest ustalenie istotnych świadków, zapisanie swojej decyzji w aktach sprawy i ewentualnie uzasadnienie w sądzie, dlaczego daną osobę uznano za istotnego świadka. Jeśli teraz coś poszłoby nie tak, to nie ja za to odpowiem, lecz prowadząca śledztwo.

– Pat, chciałbym, żebyś mi w tej sprawie zaufała – poprosiłem.

Przyglądała mi się chwilę.

– W porządku – odparła w końcu.

– A co mamy zrobić z nim, pani komisarz? – spytała Edie Wren, wskazując Hitchensa.

– Zabierzcie go sprzed moich oczu – rozkazała Whitestone.

* * *

Godzinę później cztery osoby z naszej grupy prowadzącej dochodzenie znalazły się w sali monitoringu komisariatu głównego na West Endzie.

W ciemnym pomieszczeniu dziewięć ekranów pokazywało nagrania na żywo z dziewięciu kamer przemysłowych. Wszystkie otaczały kwartał wokół budynku przy Savile Row 27. Jedna była skierowana na podziemny parking pod komisariatem głównym. Inna patrzyła na północ, na Boyle Street. Jeszcze inna na południe, na Clifford Street. Trzy kamery obejmowały Burlington Gardens. Trzy ostatnie lustrowały Savile Row, na północ, południe oraz na schody pod dużą niebieską latarnią.

– Idą – zakomunikował Greene.

Patrzyliśmy, jak pod komisariat podjeżdżają Barry i Jean Wilderowie. Stanęli pod niebieską latarnią, Jean Wilder wściekle zaciągała się papierosem.

– Czego właściwie szukamy? – spytała Whitestone.

– Patrz – poprosiłem.

Pod komisariat podjechała czarna taksówka. Taksówkarz pomógł Piper Maldini wyjąć z samochodu wózek inwalidzki brata. Philip usiadł na wózku i pozdrowił Barry’ego Wildera nieznacznym skinieniem głowy.

– Czy, waszym zdaniem, Barry Wilder i Philip Maldini wyglądają na przyjaciół?

– Nie.

– To dlatego, że nigdy wcześniej się nie spotkali – wyjaśniłem. – A teraz spójrzcie na Jean Wilder i Piper Maldini.

Dwie kobiety plotkowały w najlepsze jak stare przyjaciółki.

Jean Wilder cisnęła papierosa na chodnik i natychmiast wyjęła następnego. Piper Maldini podała jej ogień. Starsza kobieta lekko dotknęła jej ręki.

– Czy one wyglądają wam na obce sobie osoby? – zapytałem.

– Co usiłujesz powiedzieć, Max? – spytała Whitestone, przyglądając mi się uważnie.

– Rozbieżności w analizie głosu przeprowadzonej przez Tarę nie wynikały z tego, że Barry Wilder i Paul Warboys byli winni – odparłem. – Nawet nie z tego, że kłamali. Ich przyczyną był fakt, że Paul Warboys i Barry Wilder nie mówili nam całej prawdy.

Oczy wszystkich były zwrócone na mnie.

– W furgonetce pachniało dymem papierosowym tłumionym przez woń perfum i gumy do żucia – ciągnąłem. – Mnóstwo cameli bez filtra zamaskowanych sporą ilością perfum Jimmy Choo oraz gumy Juicy

Fruit. Doktor Stephen powiedział, że maski odwróciły naszą uwagę, i miał rację. W ten sposób przeoczyliśmy najbardziej oczywisty fakt.

Na ekranie wyświetlającym wejście na posterunek Piper Maldini i Jean Wilder nagle uniosły głowy i popatrzyły na obserwującą ich kamerę.

– Trzy osoby z tej grupy to kobiety – dokończyłem.

Cała czwórka czekała przed salami przesłuchań.

Poruszając wściekle szczękami, Jean Wilder patrzyła, jak nadchodzimy korytarzem. W ciasnym przejściu woń cameli bez filtra, perfum Jimmy Choo i gumy Juicy Fruit niemal przyprawiała mnie o mdłości.

Kiedy Jean Wilder spojrzała mi w oczy, zrozumiała, że wiem.

– Jednej rzeczy nie rozumiem – powiedziałem.

– Myślę, że wielu rzeczy nie rozumiesz! – Zaśmiała się gorzko.

Zerknąłem na Piper Maldini. Właśnie do niej dotarło, że jest po wszystkim; zacisnęła mocno usta. Może było po wszystkim, kiedy Andrej Wozniak znikł pod stalowymi kołami pociągu. A może klub kontynuowałby działalność dopóty, dopóki wszyscy by zginęli. Nigdy się tego nie dowiemy.

– Dlaczego Darren Donovan? – spytałem Jean Wilder. – Miałycie uzasadnione powody, żeby nienawidzić Mahmuda Iraniego, podobnie jak Andrej Wozniak. Warboysowie mieli powód, by nienawidzić Hectora Wellesa, który zabił ich wnuka. – Wskazałem głową rodzeństwo Maldini, których urodziwe śniade twarze zbladły w oświetleniu komisariatu. – Rozumiem też, dlaczego nienawidzicie kogoś takiego jak Abu Din – dodałem cicho, po czym spojrzałem na wściekłą twarz Jean Wilder. – Rozumiem nawet, czemu zapalałaś nienawiścią do mnie za to, że stanąłem ci na drodze i zacząłem cię ścigać.

Pokręciła głową.

– Wierz mi, że nie zrozumiesz.

– Nic nie mów, Jean – poprosił ją mąż.

– Zamknij się – odparła. – Nie darzymy cię nienawiścią dlatego, że zacząłeś nas ścigać. Nienawidzimy cię, ponieważ zawsze stoisz po stronie mętów. Ochraniasz ludzi, którzy gwałcą nasze córki, bo bardziej troszczysz się o ich prawa człowieka niż o nasze dzieci. To fakt. Masz to gdzieś. Nie łapiesz. Naprawdę nie rozumiesz. Dlatego cię nienawidzimy.

Spojrzałem na Piper Maldini.

– Kiedy wprowadzono Abu Dina, było was tylko troje – powiedziałem. – Początkowo myślałem, że to dlatego, że ty, Piper, codziennie stałaś na tamtej ulicy w Wembley i jeden z wiernych mógłby cię rozpoznać, nawet za maską Alberta Pierrepointa. Ale chodziło o coś innego, prawda?

Dziewczyna jeszcze nie odezwała się ani słowem. Jej brat siedzący na wózku inwalidzkim przekrzywił głowę, by spojrzeć na siostrę.

On nie wiedział, pomyślałem.

Nie wiedział aż do teraz.

– Prowadziłaś białą furgonetkę – ciągnąłem. – Zazwyczaj nie pełniłaś funkcji kierowcy, ale tamtej nocy tak było, prawda? I dobrze się spisałaś.

– Chcę adwokata – oświadczyła Piper, kręcąc głową.

– Z pewnością będziesz go potrzebować – wtrąciła Whitestone.

Jean Wilder ze śmiechem wyjęła papierosy.

– Tu nie palimy – uprzedziła ją Edie Wren.

Tamta puściła jej słowa mimo uszu.

Zapaliła, chciwie się zaciągnęła i popatrzyła na mnie, mrużąc oczy w dymie.

– Że też musisz pytać, dlaczego załatwiliśmy tego śmierdzącego ćpuna. – Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. – Twój mały policyjny

mózdzek nie rozumie, dlaczego ktoś może chcieć zlikwidować kogoś takiego: narkomana, który okradł z renty i praktycznie zabił starego weterana wojennego. Nie pojmujesz, prawda? Nie rozumiesz, że ten kraj ma się lepiej bez takiego ćpuna. Darren Donovan umarł, ponieważ zasługiwał na śmierć. Ponieważ wasze prawo jest zbyt łagodne, by radzić sobie z kimś takim. Ponieważ wasze sądy są zbyt przepełnione, wasi prawnicy zbyt głacy, a policjanci, biedne baranki, zbyt przepracowani. – Papieros sprawiał jej wyraźną przyjemność. – Ktoś musiał to zrobić. Padło na nas. Darren Donovan zasłużył na stryczek. Czy to nie wystarczający powód?

– Jak to się odbyło? – spytałem i spojrzałem na Barry’ego Wildera. – Czy Andrej Wozniak skontaktował się z wami, kiedy w Old Bailey sądzono Mahmuda Iraniego?

– Mój mąż nie miał z tym nic wspólnego – zaznaczyła Jean Wilder. – Zostaw go w spokoju, dobra?

– Zostawić go w spokoju? – powtórzyłem. – Nikt nie może na to liczyć. Wiesz, ile w tym kraju dostaje się za współudział w zabójstwie? Dożywocie.

– To robiły kobiety – powiedziała pospiesznie Piper Maldini z dłonią na wózku inwalidzkim brata. – Zawsze i tylko kobiety, od samego początku. Andrej skontaktował się z Jean. Jean zwróciła się do mnie...

– Andrej Wozniak przyprowadził też Doll Warboys – dodałem. – Gdzie ona jest?

– Ich adwokat właśnie nas poinformował, że państwo Warboysowie uprzejmie odmawiają stawienia się na przesłuchanie dobrowolnie – oznajmiła Edie Wren. – Zmuszają nas do tego, żebyśmy uprzykrzyli im życie.

– Prawdopodobnie są w drodze na lotnisko – powiedziałem. – Billy, sprawdź dzisiejsze odloty do Hiszpanii ze wszystkich londyńskich

lotnisk. Nie wolno im wejść na pokład.

Billy pobiegł do sali.

Piper Maldini stała przed bratem, osłaniając go.

– Rozumie pani? – zwróciła się do komisarz Whitestone, rozpaczliwie błagalnym tonem. – To zawsze był tylko Andrej i kobiety. Kobiety. Tylko my.

– Bo nasi mężczyźni byli za słabi – dodała Jean Wilder, a jej mąż opuścił głowę. – Za bardzo się bali tego, co może się stać, jak ich złapią. – Zgasiała papierosa na podłodze i natychmiast zapaliła następnego.

– Tutaj nie wolno... – zaczęła detektyw Wren.

– Mam raka płuc, złotko – przerwała jej Jean. – Faza terminalna. Wszędzie przerzuty. Złośliwe guzy większe od twoich piersi. Nie boję się raka. Nie boję się umrzeć. Więc czemu niby miałabym się bać ciebie, mała ruda suko?

– Ponieważ jestem małą rudą suką, która aresztuje cię za zabójstwo – powiedziała Edie Wren, robiąc krok do przodu.

Jean Wilder zamierzyła się na nią prawą ręką, ale mąż w porę jej przeszkodził. Piper Maldini krzyczała coś do Jean Wilder, podczas gdy komisarz Whitestone usiłowała ją odciągnąć.

Nikt nie zwracał szczególnej uwagi na młodego człowieka na wózku.

* * *

Godzinę później Paul Warboys otworzył drzwi swojej posiadłości w Essex.

Ilekcioć się spotykaliśmy, ostatni z londyńskich gangsterów, zasługujący na miano celebryty, nosił strój, jakby był na Majorce – krótkie spodenki, hawajską koszulę i skórzane sandały – albo

w Brentwood w hrabstwie Essex: sportową koszulę, lekkie bawełniane spodnie i buty Asics.

Dzisiaj jednak miał na sobie strój ślubny.

Paul Warboys przyjął mnie w pełnej gali. Czarny surdut, szare spodnie i jasna cytrynowa kamizelka. Biała koszula, niebieski krawat, biały goździk w butonierce. Kwiat był świeży, ale cały strój, choć uszyty przez mistrza z Savile Row, wyglądał na czterdziestoletni.

Warboys obdarzył mnie uśmiechem, z którego biła autentyczna serdeczność.

– Witaj, Max.

– Wybierasz się na ślub, Paul? Sądziłem, że może jedziesz na lotnisko.

– Ja nie uciekam. Nigdy tego nie robiłem i nie zamierzam.

Zerknął na Billy’ego Greene’a, potem na bmw X5 na żwirowym podjeździe.

– To wszystko? – zdziwił się. – Tylko ty i ten młodziak?

– To wszystko – przyznałem.

– Mogłeś przyjechać z całą obstawą.

– Nie ma takiej potrzeby, prawda?

– Nie ma. – Pokręcił głową. – Mimo to doceniam gest, Max.

– Andrej Wozniak nie żyje – powiedziałem. – Aresztowaliśmy Jean Wilder i Piper Maldini za zabójstwo Mahmuda Iraniego, Hectora Wellesa i Darrena Donovana. Zostaje tylko Doll Warboys. Tylko twoja żona.

Odsunął się, by mnie przepuścić.

Do holu przydreptał biały angielski bulterier. Pies miał małe czarne oczka, iskrzące się życiem, oraz czoło biegnące pochyło przez całą długość głowy.

Poznał mnie i obwąchał mi dłoń.

– Cześć, Bullseye. Witaj, stary druhu.

– Dopiero dzisiaj się dowiedziałem – powiedział Paul Warboys.

Nie odezwałem się. Wyczułem zmianę nastroju i zobaczyłem, jak jego opalona twarz ciemnieje. Gniew, który przed laty pomagał mu w starciach z Krayami i Richardsonami, nigdy nie był głęboko ukryty.

– Możesz mi wierzyć albo nie, mam to gdzieś – rzucił. – Ojciec Doll, mój zmarły teść, był taksówkarzem. Kiedy miała dziesięć lat, kazał jej jeździć po Walworth Road. Doll siedziała w taksówce, ledwo sięgała głową nad kierownicę, a stary zaśmiewał się z tyłu. – Uśmiechnął się ciepło na to wspomnienie. – Jazdę po Londynie miała we krwi. Ona zna te ulice. Umie prowadzić. Dlatego ich woziła, Max. Tylko to robiła. Chryste, mogłaby być babcią ich wszystkich. Była kierowcą. Z powodu tego, co ten skurwiel zrobił Danielowi. Dwa lata za zabicie dziecka! – Chwycił mnie za rękę i chociaż miał swoje lata, cieszyłem się, że mam przy sobie Billy’ego. – Doll była kierowcą. Już ci mówiłem: to nie mój styl. Gdybym chciał załatwić skurwiela, nie użyłbym sznura. Max, ona tylko prowadziła.

Poklepałem go po mocarnej ręce.

– Później możemy o tym porozmawiać, Paul – powiedziałem łagodnie. – Teraz musisz mnie zaprowadzić do żony.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu. Potem Warboys przesunął dłonią po rzednących włosach i uśmiechnął się smutno. Opór nie miał sensu.

– Ona czeka – rzucił.

Weszliśmy za nim na górę do sypialni. Kiedy pchnął drzwi, zobaczyliśmy Doll Warboys leżącą na kapie łóżka.

Stojący u mojego boku Billy krzyknął.

Doll Warboys, w sukni ślubnej, leżała z zamkniętymi oczami, przyciskając do martwej piersi bukiet świeżych kwiatów.

Szybko podszedłem do łóżka i sprawdziłem jej puls. Jej skóra o fakturze papieru była bardzo zimna. Na stoliku nocnym leżało

kilkanaście buteleczek z lekarstwami oraz do połowy opróżniony kieliszek czerwonego wina. Przeczytałem nalepki. Zolpidem. Zaleplon. Zepiclone.

Dość proszków nasennych, by uśpić cię na wieczność.

Billy wzywał karetkę. Wciąż jeszcze był na tyle młody, że wierzył, że nigdy nie jest za późno na pomoc. W końcu jednak wszystkim nam brakuje czasu.

Spojrzałem na Paula Warboysa patrzącego na kobietę, którą poślubił dawno temu.

– Po tylu latach suknia ślubna wciąż na nią pasuje – powiedział.

To nie był koniec.

Dwie kobiety, które przeżyły, zostały zatrzymane i przebywały w więzieniu Jej Królewskiej Mości w Holloway, zwanym czasem Zamkiem Holloway. Tam, w izolatkach, miały pozostać aż do procesu w Centralnym Sądzie Kryminalnym, niemal zawsze nazywanym Old Bailey.

Jean Wilder i Piper Maldini mogłyby uniknąć procesu, gdyby przyznały się do zabójstwa, ale nie chciały tego zrobić. Królewska Prokuratura powiadomiła nas, że żadna z nich nie będzie się ubiegać o uniewinnienie. Jean Wilder i Piper Maldini pragnęły mieć swoje pięć minut w sądzie. Prawdopodobnie zamierzały oznajmić całemu światu, dlaczego zamordowały Mahmuda Iraniego, Hectora Wellesa i Darrena Donovana. Jak wszyscy ludzie wiary, których kres się zbliżał, marzyły o porwaniu za sobą tłumów.

Ten ostatni etap śledztwa oznaczał, że następne parę miesięcy nasz zespół dochodzeniowy spędzi przy biurkach na najwyższym piętrze budynku przy Savile Row 27. Sporo się słyszy o złotej godzinie po zabójstwie. Cóż, teraz czekały nas prozaiczne tygodnie aresztu przed procesem: porównywanie dowodów, przygotowywanie aktu oskarżenia, długie dni byle jakich posiłków przy biurku oraz morze kawy.

Robota papierkowa właśnie się rozpoczęła. Mogliśmy się spodziewać regularnych wizyt prokuratorów pracujących nad tą sprawą. Policja prowadzi dochodzenie, bada i aresztuje, natomiast

prokuratorzy starają się, by oskarżenie miało ręce i nogi w sądzie. Przynajmniej w teorii. Tak więc nasze śledztwo nie zostało zakończone, ale pozostało już tylko dopięcie szczegółów.

Dlatego też, gdy nazajutrz po aresztowaniach kobiet wszedłem do sali numer jeden, zastałem Tarę Jones uprzątającą biurko.

* * *

Poza nami nie było nikogo. Stałem przed Tarą, która odgarnęła z twarzy lśniące włosy, a obrączka migotała jak srebro czy złoto na czarnym aksamicie. Bez uśmiechu wkładała akta do tekturowego pudła.

– Postawić ci kawę? – spytałem. – W barze Italia? Twoim ulubionym?

– A co stanie się potem, Max?

– Nie wiem – odparłem.

Twoje usta, myślałem. Kawowe pocałunki. Twoje oczy patrzące na moją twarz. Twoje dłonie w moich. Potem jeszcze jedno potrójne espresso, zanim wrócę do pracy. Nie najgorsza perspektywa.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej tuż nad łokciem. Z powodu nagłego ochłodzenia miała na sobie sweter, więc moje palce musnęły kaszmir. Nie cofnęła ręki, ale właśnie w tym momencie do sali wparował Billy Greene, zawołał radośnie: „Dzieńdoberek wszystkim!”, po czym rzucił na biurko plecak, wyjął przygotowane przez mamę kanapki i włączył komputer. Patrzyłem na Tarę i widziałem w jej oczach coś, czego nigdy nie miałem przekroczyć.

– Mam ci powiedzieć, co się wydarzy, Max? – spytała niemal szeptem, chociaż Billy już zapatrzył się w ekran, jedząc kanapkę od mamy. – Jeśli sięgniemy po to, czego chcemy, to nas nie uszczęśliwi.

– To znaczy? – spytałem, choć wiedziałem doskonale.

– Nie ma szczęśliwych zakończeń, Max. Bez względu na to, co byśmy zrobili. Niezależnie od naszych kłamstw, od tego, kogo byśmy zranili. Ty i ja nie jesteśmy sobie pisani. Wiesz, że to prawda.

– Ja chcę tylko potrójne espresso – powiedziałem. – Chyba nie odmówisz człowiekowi potrójnego espresso, prawda?

– Tego bym nie zrobiła. – Pokręciła głową.

– Ale najpierw muszę coś zrobić. Syn Pat Whitestone wraca dziś do domu. Poczekasz na mnie?

Tara dotknęła mojej dłoni i wreszcie się uśmiechnęła.

– Proszę, Max. Idź.

* * *

Czekałem przed głównym wejściem do szpitala Whittington. Oprócz mnie stał tam tylko mężczyzna o pustych oczach, w szlafroku, zaciągający się papierosem tak, jakby zawierał on całe powietrze na planecie.

Wcześniej spodziewałem się, że moja szefowa i jej syn wyjdą w asyście komitetu pożegnalnego złożonego z lekarzy i pielęgniarek, oni jednak sami przekroczyli przeszklone drzwi: Justin w ciemnych okularach, matka lekko podtrzymywała go za rękę, oboje tego samego wzrostu. Whitestone niosła małą walizkę i papierową torbę z apteki. Matka i syn zdawali się poruszać w zwolnionym tempie, przystosowując się do nowej rzeczywistości. Nie mówili wiele, ograniczali się do praktycznych szczegółów dotyczących zejścia po szpitalnych schodach i dotarcia do bmw X5, które zaparkowałem na miejscu dla lekarzy, zostawiając włączony silnik, na wypadek gdybym musiał przestawić samochód.

Potem odwiozłem ich do domu. Ze szpitala Whittington na północnym krańcu Holloway Road do ich trzypokojowego mieszkania

w Islington na drugim końcu tej samej ulicy. W miarę jak zbliżaliśmy się do Angel, bary z kebabami powoli ustępowały miejsca kawiarniom, a zamiast sklepów z tanim badziewiem wyrastały sklepy z antykami.

Prowadziłem. To wszystko. Czułem, że to niewiele, właściwie tyle co nic. Chciałem zrobić więcej. Chciałem powiedzieć Pat Whitestone coś, na czym mogłaby się potem oprzeć. Jechałem w milczeniu, zerkając w lusterku wstecznym na nastolatka w ciemnych okularach i jego drobną matkę o jasnych włosach, też w okularach; samochody na Holloway Road wlokły się, a oni mieli przed sobą nowe życie.

Whitestone pomogła Justinowi wejść do sypialni, a gdy wróciła do salonu, powiedziałem jej jedyną rzecz, jaką miałem do zaoferowania.

– Tara Jones rozmawiała ze mną o głuchocie. Stwierdziła, że zawsze traktowała ją jako utrudnienie, nie jak kalectwo. – Pokręciłem głową. – Wiem, że łatwo jest mówić, Pat.

– Rozumiem, co ona ma na myśli – przytaknęła. – Życie człowieka nie musi zależeć od najgorszych rzeczy, jakie mu się przytrafiły. Choćby nie wiem jak było ciężko, to nie musi być cała historia. – Uśmiechnęła się. – Max, patrzę na niego i to nadal jest mój chłopiec. To ciągle jest on. Mój Just. To się nie zmieniło i nigdy się nie zmieni. On wciąż jest moim dzieckiem. – Roześmiała się, zdjęła okulary i wierzchem dłoni otarła oczy. – To brzmi jak tani sentymentalizm.

– Brzmi prawdziwie – poprawiłem ją, potem wskazałem laptop na stole w jadalni i spytałem: – Mogę ci coś pokazać?

– Proszę.

Połączyłem się z internetem.

– Tak sobie myślałem. Popatrz.

Na ekranie widniało logo złożone z dwóch sylwetek, człowieka z psem u boku.

– W tym kraju co godzinę ktoś traci wzrok – powiedziałem. – Jednak każdego roku organizacja zajmująca się psami przewodnikami pomaga tysiącom niewidomych i słabo widzących. Szkolą psy, najlepiej krzyżówki labradora z golden retrieverem, potem pies jest z tobą przez sześć czy siedem lat i przechodzi na emeryturę. Zdarza się, że człowiek ma w życiu osiem psów. Myślę, że ty i Justin...

– Warto o tym pomyśleć, Max.

Zjechałem w dół strony. Niektóre psy łączyły w sobie wielką urodę z ogromną powagą.

– *Nie spoczniemy, dopóki niewidomi oraz słabo widzący nie będą mogli poruszać się z taką samą swobodą, jak wszyscy inni* – przeczytałem.

– Max?

Spojrzałem na swoją szefową.

– Zrobiłeś już dość – powiedziała.

Mierzyliśmy się wzrokiem.

Zrozumiałem, że ona wie. Może nie знаła wszystkich szczegółów tamtej nocy, kiedy pojechaliśmy z Jacksonem Rose'em do Angel, żeby rozmówić się z przywódcą gangu Dog Town Boys. Wiedziała jednak dość. Naturalnie. Przecież komisarz Pat Whitestone jest najlepszym detektywem z wydziału zabójstw w głównym na West Endzie.

– Damy sobie radę – rzuciła, wyglądając przez okno. – My dwoje.

Skinąłem głową w stronę okna. Była to jedna z tych osobliwych chwil, kiedy miasto wydaje się całkowicie wyludnione.

– To dobra dzielnica – powiedziałem.

– Teraz tak – przyznała.

* * *

W drodze powrotnej do głównego z trudem oparłem się pokusie włączenia koguta. Bmw zaparkowałem pod dużą niebieską latarnią przed Savile Row 27, a ponieważ brakowało mi cierpliwości na windę, wbiegłem na najwyższe piętro.

Sala numer jeden świeciła pustkami.

Sprawdziłem komórkę, ale nie dostałem żadnej wiadomości. W porządku. Cieszyłem się, że oszczędzono mi SMS-a. Nie był potrzebny. I tak zrozumiałem. Robiło się chłodno, cienie się wydłużyły, wkrótce w domach na Canonbury Square zapalą się światła.

Tara Jones wróciła do domu.

Lato nas opuściło.

W przedpokoju czekały nowe szkolne buty. Mundurek Scout nie był już tak komicznie duży jak rok temu i zakładała go bez mojej pomocy. Znowu zawitał do nas wrzesień, ale różnił się od wszystkich innych wrześni.

– Poradzę sobie – powiedziała moja córka, dzielnie walcząc z guzikami żółtej bluzki. – Nawet ze skarpetkami.

Przez okno widziałem kopułę katedry Świętego Pawła na tle nieskazitelnie błękitnego nieba, ale z ust tragarzy ze Smithfield leciała para.

Pierwszy dzień roku szkolnego uczciliśmy śniadaniem w Smiths w Smithfield: dla mnie owsianka z miodem, dla Scout naleśniki, sok winogronowy dla nas obojga oraz najlepsze potrójne espresso po tej stronie Soho. Potem ruszyliśmy do szkoły, kopiąc liście i kasztany. Scout owinęła sobie smycz Stana podwójnie wokół nadgarstka, kosmaty psi ogon sterczał dumnie niczym pawi ogon, oczy migotały niecierpliwie, a sierść miała dokładnie ten sam kasztanowy odcień co jesienne liście.

Czuło się upływ czasu, czuło się nawet orzeźwiający smak porannego powietrza, ale to było przyjemne.

Kiedy Stan i ja pożegnaliśmy Scout przed szkolną bramą, z zaskoczeniem uświadomiłem sobie, że moja córka nie jest już najmłodsza ani najniższa. Z uśmiechem dołączyła do swej najlepszej

przyjaciółki Mii, a Stan zaskowyczał, widząc, że odchodzi. Ona oczywiście się nie obejrzała.

* * *

W drodze powrotnej Stan pochwycił zapach labradorki obsikującej latarnię po przeciwnej stronie ulicy i bez ostrzeżenia rzucił się między samochody.

Wyciągnąłem go spod kół furgonetki z kwiaciarni, a po powrocie do domu natychmiast zadzwoniłem do kliniki weterynaryjnej Well. Stan wycofał się na kanapę i obserwował mnie żałośnie, z łbem wspartym na przednich łapach w typowej pozie cavalierów.

– Przykro mi, Stan – powiedziałem, odkładając słuchawkę. – Ale co mam zrobić?

Świat toczył się dalej i nic nie mogło go zatrzymać.

* * *

– On jest grzeczny, kiedy jest na smyczy – powiedziała Scout do weterynarza w piątkowy wieczór. – Grzecznie chodzi też bez smyczy. Po prostu...

Moja córka pokręciła głową, umilkła i wszyscy troje popatrzyliśmy na Stana na stole weterynaryjnym. Pies podskoczył, żeby polizać mnie po twarzy, oparł mi łapy na piersi, demonstrując bezwarunkową miłość i nawet teraz, za pięć dwunasta, próbował się przypodobać, wciąż święcie przekonany, że uchronię go przed jego losem.

Weterynarz zaśmiał się, podrapał go za uchem i dokończył zdanie za Scout.

– Po prostu dorastasz, prawda, Stan?

Weterynarz imieniem Christian znalazł Stana od szczeniaka. Robił mu pierwsze szczepienia, zakładał czip i leczył, kiedy obawialiśmy się, że Stan zapadł na infekcję bakteryjną dróg oddechowych. Pomimo lęku przed strzykawkami i awersji do wszelkiej fizycznej niewygody Stan zawsze cieszył się na wizyty u Christiana w klinice dla zwierząt. Podobało mu się, że poświęcają mu uwagę, gustował w smakołykach, które trzymali w recepcji, radowały go spotkania z innymi psami i tak egzotycznymi zwierzętami jak koty i chomiki.

Teraz jednak przyszliśmy porozmawiać o kastracji i na samą myśl robiło mi się niedobrze.

– Sterylizacja nie jest tak prostą rzeczą, jak się powszechnie uważa – powiedział Christian. – Każdy pies jest inny. Niektóre jej potrzebują. Inne nie. Jeśli wykonasz zabieg zbyt wcześnie, zmienisz charakter psa. Wykonany za późno, w najmniejszym stopniu nie zmieni psiego charakteru.

Wszyscy spojrzeliśmy na Stana. Nie chciał zostawić mnie w spokoju. „Jeśli tylko zechcesz, możesz mnie przed tym uratować”, zdawał się mówić, pchając mi się w objęcia.

– Czy twój pies jest wysterylizowany, Christianie? – zwróciła się do weterynarza moja córka.

Ten poprawił okulary i odparł:

– Nie. Musicie jednak zdecydować, co jest właściwe dla Stana. Czy stwarza dla siebie niebezpieczeństwo, ponieważ osiągnął dojrzałość seksualną.

Scout i ja spojrzeliśmy po sobie.

Doskonale znaleźliśmy odpowiedź.

Umówiliśmy się, że przyjdziemy ze Stanem rano.

* * *

Minąwszy wielką łukowatą bramę targu mięsnego, przeszliśmy do rzędu sklepów po drugiej stronie placu. W sklepach panowały mrok i cisza, ale z mieszkań nad nimi dobiegała muzyka.

MURPHY & SYN
USŁUGI HYDRAULICZNE I GRZEWCZE
GODNI ZAUFANIA I SOLIDNI

Weszliśmy po schodach do mieszkania. Drzwi otworzyła pani Murphy, wokół której kłębiły się dzieciaki z psem. Scout i Stan wbiegli do środka, ponieważ to był ich drugi dom. W mieszkaniu pani Murphy jak zwykle było tłoczno; uśmiechnąłem się, słysząc, jak witają moją córkę i psa.

– Wstąpisz na herbatę? – spytała pani Murphy. – Jest cała banda. Duży Mikey, Mały Mikey, Siobhan i dzieciaki. Musisz zobaczyć, jak Maleństwo Mikey łązi po mieszkaniu jak po swoich włościach.

- Z radością bym został, ale muszę lecieć.
- Do pracy? – Z dezaprobatą zmarszczyła brwi.
- Do siłowni Freda.
- Nie zapominaj o obronie – poradziła mi.

* * *

To była jedna z tych nocy, kiedy rozpaczliwie potrzebowałem treningu. Fred to dostrzegł i z radością dał mi wycisk.

– Masz wielkie szczęście, że możesz ćwiczyć – powiedział, przeciągając mnie przez jeden ze swych ulubionych zestawów.

Dziesięć trzyminutowych rund boksowania w worek, a między nimi, zamiast minutowej przerwy, dziesięć powitań słońca i dwadzieścia pompek. Ilekroć opuszczałem gardę, Fred walił mnie

w ucho kawałkiem popękanej skóry; rundy mijały, aż straciłem rachubę i ogarnęło mnie takie wyczerpanie, że zbierało mi się na mdłości.

– Tej nocy będzie ci się dobrze spało – zapewnił mnie Fred.

Zazwyczaj byłyaby to prawda, jednak po powrocie do domu, kiedy Scout myła zęby, a ja gasiłem światło, Stan obserwował mnie wielkimi pełnymi uwielbienia oczami, przekonany, że nadchodzący weekend będzie pełen zabawy, przekonany, że nigdy bym go nie zdradził, a jego miłość i ufność były tak bezwarunkowe, że wzbudzały we mnie wstyd.

Wyczerpany, wpełzłem do łóżka.

I nie mogłem zasnąć.

* * *

Rano Stan zachorował.

Wydałał obficie z obu stron. Jego posłanie było upaskudzone. Ohydny płyn lepił się do koszyka, koca oraz wspaniałej sierści Stana. Pies leżał nieruchomo w wodnistej brei, z tępym niedowierzaniem wpatrywał się w Scout i we mnie, nie pojmując, co się wydarzyło minionej nocy.

Włożyliśmy go do wanny i wykąпалиśmy. Po usunięciu większości brudów pies odzyskał swój naturalny biszkoptowy zapach, a ja zadzwoniłem do weterynarza.

– Och, biedny Stan – powiedziała miła recepcjonistka z kliniki weterynaryjnej Well. – Pewnie coś zjadł. Lepiej przełóżcie zabieg na inny dzień.

Scout troskliwie zajmowała się Stanem w wannie. Fontanny wymiotów i wulkaniczna biegunka wprowadziły biedaka w stan otępienia. Wyglądał jak żalosne chucherko, o połowę mniejszy niż

zwykle, z przemokniętą sierścią. Kiedy jednak zobaczył, jak stoję uśmiechnięty w drzwiach łazienki, w czarnych oczach błysnęło nagle stare uwielbienie psikusów.

Park Hampstead Heath czekał na nas.

* * *

Nawet we wrześniu niektórzy pływali w stawie.

W oddali widzieliśmy roześmianych kąpiących się ludzi. Gdy szliśmy na przełaj przez wielkie Pryor's Field, Stan zostawał w tyle, by polować na drobne fruwające stworzenia w wysokiej trawie, potem, wołany przez Scout, doganiał nas. Później, kiedy znaleźliśmy się w gęstym lesie oddzielającym stawy od najwyższego punktu Hampstead Heath, moja córka trzymała Stana bliżej siebie. Młody lis chyłkiem przeciął nam drogę, spojrział na nas i zniknął. Brnęliśmy dalej, teren ciągle się wznosił, aż wychynęliśmy spomiędzy drzew na Parliament Hill, spowici w błękit nieba; miasto rozpościerało się pod nami, widok zapierał dech w piersiach, jak gdyby Londyn należał do nas.

Zaczęła wibrować moja komórka.

DZWONI EDIE WREN.

– Chodzi o Abu Dina – oznajmiła Edie. – Nie uwierzysz. Ktoś właśnie sprzątnął drania.

* * *

Niedzielne popołudnie w Muzeum Wojny.

W muzeum tłoczyli się zwiedzający, ale w piwnicy, w niewielkim gabinecie Carol, odgłosy ludzi wydawały się odległe jak wspomnienia

wojenne starego weterana. Carol zręcznie obróciła wózek inwalidzki, zamykając za nami drzwi. Na swoim iMacu słuchała wiadomości.

– Masz coś o operacjach specjalnych w Afganistanie? – spytałem.

– Trochę – odpowiedziała, po czym się zawahała. – Wiesz, że ci żołnierze, którzy zginęli, Szóstka z Sangin, należeli do regularnych sił zbrojnych. Nie mieli związku z operacjami specjalnymi.

– Wiem.

– Dostęp do wszystkiego, co ma związek z OS, jest ograniczony, Max.

Skinąłem głową. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. W końcu Carol westchnęła.

– Niczego nie wolno ci wynosić – uprzedziła.

Położyła na biurku grubą zieloną teczkę oznaczoną UKSF, po czym zręcznie i głośno manewrując wózkiem w ciasnym biurze, zaparzyła dla nas po kubku mocnej jak siekiera herbaty – w Muzeum Wojny nie robią potrójnego espresso.

Wertowałem zdjęcia jednostek specjalnych w Afganistanie. Niekończące się fotografie ciężkozbrojnych ludzi w okolicy przypominającej powierzchnię Księżyca. Wszyscy mieli zasłonięte twarze. Twarze rozmyte do poszczególnych pikseli, zaczernione, zamazane. Ludzie mieli na sobie cywilne ubrania, kamuflaż i kurtki polarowe, a kamienisty teren wyglądał tak, jakby panował tam albo upał, albo mróz, bez stanów pośrednich.

To było chyba najsurowsze miejsce na ziemi, ale ludzie wyglądali wesolutko; dumnie pozowali z karabinami maszynowymi tam, gdzie chyba nigdy nic nie mogło wyrosnąć.

Wielu z nich nosiło brody, ale kilku było ogolonych. Sącząc mocną herbatę, w końcu go znalazłem, pozującego z profilu, w koszulce z krótkimi rękawami i drelichowych spodniach z kieszeniami pełnymi sprzętu. Karabin trzymał pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Przeczytałem: *To zdjęcie zamieszczono wyłącznie z uwagi na broń. Karabin maszynowy M249 SAW Para, ze składaną kolbą i magazynkiem na dwieście nabojów. Agent jest w cywilnym ubraniu.*

Górną połowę twarzy agenta zaczerniono, ale wyraźnie było widać uśmiechnięte usta.

Szczerbatego uśmiechu mojego najstarszego przyjaciela nie sposób było z niczym pomylić.

– Widziałeś to? – spytała Carol.

Patrzyła na ekran iMaca. Niebieskie światła omiatały ponurą ulicę w Wembley. Policja właśnie zakładała kordon.

WIADOMOŚCI BBC: MUŁŁA SZERZĄCY NIENAWIŚĆ
ZAMORDOWANY

Carol obróciła wózek, by na mnie spojrzeć.

– To prawda? – spytała. – Ktoś właśnie zabił tego drania?

– Najwyraźniej – odparłem.

– Powiesili go?

Zamknąłem zieloną teczkę.

– Zastrzelili – powiedziałem i łyknąłem herbaty. – Jeden w głowę i jeden w serce.

OD AUTORA

O dziwo, pozostałości więzienia Newgate istnieją do dziś. To prawda, że z najbardziej niesławnego więzienia w kraju nie zostało wiele, ale wszystko, co odkrył Max Wolfe – cela skazańców, Chodnik Trupa, zwięzający się i obniżający jak korytarz z koszmaru – nadal leży głęboko pod sądem Old Bailey.

Pozostałości Newgate nie konserwuje się ani nie odnawia, ponieważ nikt nie jest dumny z najbardziej niesławnego londyńskiego więzienia, gabinetu tortur liczącego osiemset lat, ludzkiego zoo, *brudnej osi, wokół której wolno kręciło się życie brytyjskiego społeczeństwa*. Zgodnie z przypuszczeniem Maxa, pewnego dnia te resztki więzienia zostaną usunięte podczas szaleńczej przebudowy, ale na razie wciąż tam są. Wystarczy, że zejdziesz do piwnicy sądu Old Bailey. I będziesz szedł dalej.

Co do Alberta Pierrepointa, którego nazwisko i twarz zapożyczyli sobie zabójcy, to w połowie dwudziestego wieku był on państwowym katem, który powiesił 435 osób, w tym 202 nazistów uznanych za winnych zbrodni wojennych.

Z czasem kara śmierci zaczęła budzić obrzydzenie Pierrepointa, który po przejściu na emeryturę prowadził pub. W swojej autobiografii napisał: *Moim zdaniem, dzięki karze śmierci osiągnięto jedynie zemstę*.

To bez wątpienia prawda. Ale, jak pyta Maxa Wolfe'a sierżant John Caine w Czarnym Muzeum: „Co jest złego w odrobinie zemsty?”.

Tony Parsons, Londyn 2015